

WICZ

IA

III

WICK

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXI

RODZINA POŁANIECKICH
CZĘŚĆ VII.

WARSZAWA

NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

(DODATEK BEZPŁATNY)

1900

28427



821.162.1-3

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Ноября 1899.



LII.

Nazajutrz pani Polaniecka odebrała list od męża, że tego dnia nie wróci, jedzie bowiem oglądać kolonię, położoną z drugiej strony miasta. Następnego za to dnia wrócił i przywiózł z sobą Świrskiego, który oddawna był obiecał Bigielom i Polanieckim, że ich na letniem mieszkaniu odwiedzi.

— Wyobraż sobie, — rzekł po przywitaniu się z żoną Polanięcki — że ten Buczynek, który oglądałem, leży o miedzę od Jaśmienia starego Zawilowskiego; dowiedziawszy się o tem, odwiedziłem staruszka, który ma się niedobrze — i niespodzianie znalazłem w Jaśmieniu pana Świrskiego. Pomógł mi oglądać Buczynek, i dom bardzo mu się podobał. Jest też ładny ogród, duży staw i trochę lasu. Niegdyś był to znaczny majątek, ale grunta rozprzedano, tak, że przy dworze mało się pozostało.

— Ładna, bardzo ładna rezydencya — rzekł

Świrski. — Dużo cienia, dużo powietrza i dużo spokoju.

— Kupisz? — spytała Marynia.

— Być może. Tymczasem chciałbym nająć. Zamieszkalibyśmy tam przez resztę lata i przekonali się, czy nam dobrze. Właściciel tak jest pewien, że nam się tam pobyt spodoba, iż zgadza się na wynajęcie. Bylbym mu zaraz dal zadatek, ale wołałem wiedzieć, co o tem myślisz.

Maryni żal było trochę towarzystwa Bigielów, ale, zauważywszy, że mąż patrzy pilnie w jej oczy i że ma widocznie ochotę zamieszkać przez resztę lata u siebie, oświadczyła, że zgadza się najchętniej.

Bigielowie poczęli się sprzeczać i kłaść veto, lecz gdy Polaniecki przedstawił im, że tu chodzi o wypróbowanie domu, w którym prawdopodobnie oboje z Marynią będą mieszkali każdego lata, do końca życia, musieli przyznać, że powód jest słuszny.

Polaniecki zaś rzekł:

— Jutro tedy najmę i co potrzeba jeszcze ze sprzętów przeniosę z Warszawy, a pojutrze będziemy się mogli przenieść.

— To zupełnie, jakby pan chciał stąd jak najprędzej uciec — odpowiedziała pani Bigielowa: — po co taki pośpiech?

Ostatecznie stanęło na tem, że państwo Polanieccy przeniosą się za cztery dni do Buczynka. Tymczasem podano obiad, podczas którego Świrski począł opowiadać, jakim sposobem Polaniecki znalazł go w Jaśmieniu u Zawilowskich.

— Panna Helena chciała, — rzekł — żebym malował portret ojca, i życzyła sobie, żeby to mogło odbywać się w Jaśmieniu. Pojechałem, bo mi i tęskno za robotą, a przytem staruszek ma ciekawą głowę. Ale nie mogło z tego nic być. Oni tam we dworze mają dwulokciowe mury, przez co w pokojach złe światło. W tych warunkach nie chciałem malować, a następnie znalazła się i druga przeszkoda, bo model dostał ataku pedogry. Doktor, którego wzięli z sobą na wieś, mówił mi, że to stan nie jest dobry, i że się może źle skończyć.

— Żal mi pana Zawilowskiego, — rzekła Marynia — bo to widocznie zacny człowiek. I panna Helena biedna. W razie jego śmierci zostanie zupełnie sama. A czy on zdaje sobie sprawę ze swego stanu?

— I zdaje i nie zdaje, jak to on: zawsze oryginal. Niech pani spyta męża, jak go przyjął.

Polaniecki uśmiechnął się i rzekł:

— Zwiedzając Buczynek, dowiedziałem się, że Jaśmień tuż, i postanowiłem tam pojechać.

Panna Helena zaprowadziła mnie do ojca, ale on kończył sobie właśnie różaniec i nie przywitał się ze mną, póki nie odmówił ostatniej Zdrowaśki. Potem zaczął mnie przeproszać i powiada tak: «Bo to tam matadory niebieskie swoją drogą, a z Nią człek śmielszy i po staremu: jak Ona się zmiłuje, to i dobrze, bo Jej niczego nie odmówią».

— Co to za typ! — zawołał Świrski.

Bigielowie poczęli się śmiać, pani Marynia rzekła jednak, że jest w takiej ufności coś wzruszającego, na co Świrski zgodził się, Polaniecki zaś mówił dalej:

— Potem wspomniał mi, że mu czas myśleć o testamencie, a ja nie zaprzeczałem, jak się zwykle robi, bo mi chodziło o naszego Zawilka. Powiedziałem mu natomiast, że to jest kwestya czysto prawna, na którą nigdy nie za wcześnie — i że nawet zupełnie młodzi ludzie powinni o tem myśleć.

— To i moje zdanie — wtrącił Bigiel.

— Mówiliśmy też i o młodym Zawilowskim — rzekł Polaniecki: — staruszek pokochał go serdecznie.

— Jakże! — zawołał Świrski. — Jak się dowiedział, że byłem w Przytułowie, zaraz zaczął się o niego dopytywać.

— To pan był w Przytułowie? — spytała pani Polaniecka.

— Cztery dni, pani — odrzekł malarz. — Ogromnie lubię Osnowskiego.

— A panią Osnowską?

— O niej wypowiedziałem moje zdanie w Rzymie i, o ile pamiętam, rozpuściłem język, jak bicz.

— Pamiętam i ja. Był pan bardzo niegodziwy. Cóż młoda para?

— A nic. Szczęśliwa. Ale jest tam panna Ratkowska: ogromnie miła panna! Bez mała, żem się w niej nie zakochał.

— Masz tobie! A mówił mi Staś, że pan się we wszystkich kocha.

— Stale, pani. To jest: stale we wszystkich, a zatem stale.

Bigiel, usłyszawszy to, zastanowił się dobrze i rzekł:

— To jest sposób, żeby się nigdy nie ożenić.

— Niestety, drogi panie! — zawołał Świrski. — To też i jest.

Poczem, zwróciwszy się do Maryni, rzekł:

— To może pan Stanisław mówił pani i o dalszej naszej umowie? Jak mi pani powie: «Żeń się!» — żenię się! Taki był układ z pani mężem, i dlatego chciałbym, żeby pani zobaczyła pannę Ratkowską. Jej na imię Stefania, to znaczy:

Uwieńczona. Ładne imię, prawda? Ciche jakieś stworzenie, nieśmiałe, bojące się pani Anety i panny Castelli, ale widocznie poczeiwe. Miałem tego dowód. Jak chodzi o jaką pannę, to wszystko uważam i notuję w pamięci. Przyszedł raz przy mnie do Przytułowa żebrak, z twarzą, jak jaki pustelnik z Tebaidy. Pani Osnowska i panna Castelli powypadały do niego z aparatami fotograficznymi, i nuż go fotografować z boków, z przodu — ile wlaźło, a staremu może się chciało jeść. Poddawał się w nadziei jałmużny, ale było mu widocznie przykro. Prości ludzie mają tego rodzaju pojęcia. Otóż żadna z tych pań tego nie spostrzegła, a przynajmniej na to nie zważała. Obchodziły się z nim, jak z rzeczą — i dopiero panna Ratkowska powiedziała im, że starego upokarzają i męczą. To mała rzecz, ale dowodzi serca i delikatnych uczuć. Kręci się tam koło niej ten piękny Kopowski, ale ona nie zachwyca się nim tak, jak te panie, które się nim bawią, malują go, wymyślają dla niego kostiumy, przebierają i nieledwie na rękę noszą, jak lalkę. Nie. Ona mi sama powiedziała, że ją Kopowski nudzi, i to mi się także podoba, bo on ma tyle rozumu, ile galka u laski.

— Pan Kopowski — rzekł Bigiel — potrzebuje, o ile slyszalem, pieniędzy, a panna Rat-

kowska niebogata. Wiem, że jej ojciec, umierając, został dłużny bankowi sumę, która z procentami wyniosłaby do dnia ostatniego ubiegłego miesiąca...

— Co nam do tego? — przerwała pani Bigielowa.

— Właściwie, to masz słuszość; to nie nasza sprawa.

— A jak wygląda panna Ratkowska? — spytała Marynia.

— Panna Ratkowska? Ona nie jest piękna, ale ma słodką twarz, bladą cerę i ciemne oczy. Pani ją zobaczy, bo te panie mówiły, że mają chęć wpaść tu któregokolwiek dnia. A ja namawiałem, bo mi chodziło o to, żeby ją pani zobaczyła.

— Dobrze! — odpowiedziała, śmiejąc się, Marynia. — Zobaczę i wydam wyrok. Ale jeżeli będzie pomyślny?

— Oświadczam się, słowo daję! W najgorszym razie dostanę odkosza. Jeśli pani powie: «Nie» — to pojedę na kaczki! W końcu lipca można już strzelać...

— O to poważne zamiary! — rzekła pani Bigielowa: — żona albo kaczki! Pan Zawilowski takby się nie wyraził.

— Bo i po co rozumować, skoro się kocha? — rzekła Marynia.

— Ma pani słuszość, to też ja mu zazdrozczę — nie panny Castelli, chociaż sam się w niej kochałem — o nie! ale właśnie tego stanu, w którym się już nie rozumuje.

— A cóż pan ma przeciw pannie Castelli?

— Nic, pani. Winienem jej wdzięczność, bom dzięki jej miał swoją porę złudzeń. Dlatego nie będę o niej nigdy źle mówił, chyba mnie ktoś bardzo pociągnie za język — więc niech mnie panie nie ciągną.

— Ale owszem! — rzekła pani Bigielowa. — Musi nam pan o obojgu opowiadać. Proszę tylko na werendę, bo kazałam tam podać kawę.

I po chwili znaleźli się na werendzie. Bigielęta rozbiegły się różnokolorowem stadkiem między drzewami, kręcąc się naksztalt jasnych motyli. Bigiel częstował Świrskiego cygarami, Marynia zaś, korzystając z chwili, przysunęła się do męża, który stał nieco z boku, i podniósłszy na niego swoje dobre oczy, spytała:

— Coś ty taki milczący, Stachu?

— Zmęczony jestem — odpowiedział. — W mieście upał, a w naszym mieszkaniu można się udusić. Nie mogłem spać, bo i Buczynek załaził mi do głowy.

— A ja ciekawam tego Buczynka — wiesz? naprawdę ciekawam. Dobrześ zrobił, żeś go zobaczył i najął — bardzo dobrze.

I patrzała na niego z przymileniem, lecz, widząc, że wyglądał istotnie nie swój, rzekła:

— My tu zagadamy pana Świrskiego, a ty może pójdziesz trochę odpocząć.

— Nie... nie mógłbym zasnąć — odpowiedział Połaniecki.

Tymczasem Świrski mówił:

— Niema nic wiatru. Żadna gałązka ani się poruszy. Prawdziwy letni dzień! Czy państwo uważają, że w czasie upału i w chwilach takiej ciszy cały świat wydaje się jakby zamysłony? To, pamiętam, Bukacki zawsze mawiał, że jest w tem coś mistycznego — i że chciałby umierać w taki słoneczny dzień... ot, tak sobie: siedzieć w fotelu, potem zasnąć i wsiąknąć w światło...

— I nie umarł w lato — zauważył Bigiel.

— Ale na wiosnę... i w pogodę. Przytem na ogół biorąc, nie męczył się, a to nadewszystko.

Tu umilkł na chwilę, poczem dodał:

— Bo śmierć — z tem się można i trzeba pogodzić, i to mnie nigdy nie oburzało; ale po co istnieje cierpienie, to dalibóg, przechodzi ludzkie pojęcie.

Nikt nie podniósł tej uwagi, więc Świrski, strzepnąwszy popiół z cygara, rzekł:

— Ale mniejsza z tem. Po obiedzie i przy czarnej kawie można znaleźć weselszy temat.

— O Zawilku, niech nam pan powiada o Zawilku! — zawolala pani Bigielowa.

— Zawilek podoba mi się. Widać we wszystkim, co on robi i mówi, lwi pazur — i wogóle to niepospolita organizacya... ogromnie bujna. Przez te parę dni w Przytulowie poznaliśmy się trochę bliżej i zaprzyjaźnili. Nie macie państwo pojęcia, jak Osnowski go pokochał. I z nim, z Osnowskim, mówilem otwarcie, że się boję, czy taki Zawilek może być szczęśliwy z temi paniami.

— Ale dlaczego, panie? — spytała Marynia.

— To tak trudno określić, gdy się nie ma żadnych faktów. Ale to się czuje. Dlaczego?... Bo one to są natury zupełnie odmienne. Widzi pani, te wszystkie wyższe aspiracye, które dla Zawilowskiego są duszą życia, dla tych pań są tylko przyborem, czemś w rodzaju koronki przy sukni. To się wkłada od gości, a na codzień chodzi się w szlafroku — i to już jest ogromna różnica. Boję się, czy zamiast poszybować jego lotem, one nie będą chciały, by dreptał przy nich ich gęsim truchcikiem — i czy tego, co w nim jest, nie rozmieniają na drobne dla opędzenia swoich codziennych towarzyskich wydatków. A przecież w nim coś jest! Nie przypuszczam, żeby miały nastąpić jakieś katastrofy, bo nie mam prawa odmawiać im zwykłej,

zdawkowej uczciwości, ale może nie być szczęścia. Powiem państwu tylko tyle: znacie przecie wszyscy Zawilka i wiecie, że jest ogromnie prosty, a jednak, podług mnie, jego miłość jest dla Castelki za trudna i zanadto wyłączna. On kładzie w to całą duszę, a ona... cząsteczkę gotowa oddać — tak!... ale resztę radaby zachować na stosunki towarzyskie, na wygodę, na tualetę, na bywanie, na luksus, na «five o'clocki», na «lawn-tennisa» z panem Kopowskim, słowem, na ów młynek, w którym się życie pytluje na otręby...

— To może się nie stosować do panny Castelli, i jeśli się nie stosuje, to tem lepiej dla Zawilowskiego, — rzekł Bigiel — ale wogóle to jest trafne.

— Nie, — odpowiedziała pani Bigielowa — to przedewszystkiem jest niegodziwe: pan naprawdę nienawidzi kobiet.

— Ja nienawidzę kobiet! — zawołał Świrski, wznosząc obie ręce ku niebu.

— To chyba pan nie widzi, że pan z panny Castelli robi zwyczajną gaskę.

— Ja, pani, dawałem jej tylko lekcye malarstwa, ale wychowaniem jej nie zajmowałem się nigdy.

A pani Marynia, słysząc to wszystko, rzekła, pogroziwszy Świrskiemu:

— To aż dziwne, żeby taki dobry człowiek miał taki zły język.

— W tem jest pewna słuszość — odpowiedział Świrski; — ja sam to czuję i nieraz zadawałem sobie pytanie: czy ja naprawdę jestem dobry człowiek? Ale myślę, że jestem. Bo są ludzie, którzy obmawiają bliźnich przez zamiłowanie do grzebania w błocie — i to jest plugawe; są inni, którzy to czynią przez zazdrość — i to jest równie plugawe. Taki jednak Bukacyusz obgadywał dla konceptu, a ja... ja, na-przód jestem gadatywus, powtóre, człowiek, a zwłaszcza kobieta, zajmuje mnie więcej, niż wszystko inne, a nakoniec, lichota, płaskość i małe marność natury ludzkiej ogromnie mnie gryzą. I dalibóg, że to z tego idzie. Jabym chciał, żeby wszystkie kobiety miały skrzydła, więc, jak widzę, że niektóre mają tylko ogony, tak z samego zdziwienia poczynam krzyczeć w niebogłosy.

— A czemu pan tak samo nie krzyczy na mężczyzn? — spytała pani Bigielowa.

— A niech ich tam! Co oni mnie obchodzą! Przyczem, mówiąc poważnie, może nam się należeć więcej, niż paniom.

Tu i pani Bigielowa i Marynia napadły na nieszczęśliwego malarza, lecz on począł się bronić i mówił dalej:

— Niech panie wezmą takiego Zawilowskiego i taką pannę Castelli. On napracował się od dzieciństwa, nałamał się z trudnościami, namyślał się, dał już coś światu, a ona co? Czysty kanarek w klatce!... Dadzą mu wody, cukru, muchotrzepu i siemienia, a on ma tylko rozczesywać dziobkiem swoje żółte piórka i świegotać. Alboż tak nie jest? My ogromnie pracujemy, pani! Cywilizacya, nauka, sztuka, chleb i wszystko, na czem świat stoi, to ostatecznie nasze dzieło. A to przecie bajeczny trud! O tem się łatwo mówi, ale się ciężko dźwiga. Czy to jest słuszne, albo naturalne, że was od tego odsuwają, nie wiem, i w tej chwili nie o to mi chodzi, ale, na ogół biorąc, wam się został tylko jeden dział: kochanie — więc umiejcie przynajmniej kochać.

Tu smagła twarz jego przybrała wyraz wielkiej lagodności, a zarazem jakby melancholii.

— Ot, ja na przykład, pracuję niby dla tej naszej sztuki. Dwadzieścia pięć lat mażę tam i mażę tym pędzlistkiem po papierze, albo po płótnie, i Bóg jeden wie, com się napilnował, nimem z siebie coś wydobył; tymczasem czuję się samotny na świecie, jak palec. A czegoż chcę? Oto żeby mi Pan Bóg za całą tę pilę dał jakie pocziwe kobieciątko, któreby mnie trochę kochało i było wdzięczne za moją miłość!

— To czemuż się pan nie żeni?



— Czemu? — odparł z pewnym wybuchem Świrski: — bo się boję, bo z was jedna na dzie sięć umie kochać, choć nie macie nic innego do roboty.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie pana Pławickiego z panią Maszkową, która w fularowej, ciemno-niebieskiej sukni w białe kropki, wyglądała z daleka jak motyl. Pan Pławicki wyglądał jak drugi motyl i, zbliżywszy się do ganku, zaczął wołać:

— Porwałem, porwałem panią Maszkową i przyprowadzam. Dobry wieczór państwu, dobry wieczór, Maryniu! Jadę tu sobie do was dorożką, aż patrzę: pani stoi na ganku — więc porwałem, i przyszedliśmy piechotą. Dorożkę od prawilem, bo myślałem, że mnie odeślecie.

Obecni poczęli witać panią Maszkową, ona zaś, zarumieniona przechadzką, poczęła tłómaczyć się wesolo, zdejmując kapelusz ze swych popielatych włosów, że istotnie pan Pławicki porwał ją niemal przemocą, gdyż, spodziewając się powrotu męża, nie chciała opuszczać domu. Pan Pławicki uspokajał ją, że mąż, nie znalazłszy jej w domu, domyśli się, gdzie jest, a za porwanie i za przechadzkę sam na sam nie będzie się gniewał, bo to przecie nie jest miasto, gdzie ludzie robią plotki z lada powodu, — (tu zaczął pociągać swoją białą kamizelkę z miną

człowieka, który nie dziwiłby się, gdyby robiono o nim plotki) — ale wieś, która ma swoje prawa i pozwala nie oglądać się na etykietę.

To rzekłszy, spojrział filuternie na panią Maszkową, zatarł ręce i dodał:

— He, he! wieś ma swoje prawa... Dobrzem powiedział: ma swoje prawa, tak! — i dlatego dla mnie niema jak wieś.

Pani Maszkowa śmiała się, czując, że jej z tem ładnie i że ktoś może ją podziwiać. Lecz Bigiel, który, sam będąc w rozumowaniu ścisłym, wymagał od wszystkich logiki, zwrócił się do Plawickiego i rzekł:

— Jeśli niema jak wieś, to czemu pan dobrodziej nie chce na lato z miasta wyruszyć?

— Jak pan powiada? — spytał pan Plawicki. — Czemu nie chcę wyruszyć? Chciałem się wybrać do Karlsbadu, ale...

Tu umilkł na chwilę i, zapomniawszy, że dopiero co dawał do zrozumienia, iż mógłby jeszcze młodą kobietę narazić na złe języki ludzkie, spojrział z posępną rezygnacją i dodał:

— Czy warto dbać o te parę lat życia, o które ani mnie, ani nikomu nie chodzi.

— Masz tobie! — zawołała wesolo Marynia. — Jeśli tatuś nie pojedzie do Karlsbadu, to będzie pil Millbrun u nas w Buczynku.

— W jakim Buczynku? — spytał Plawicki.



— Prawda, trzeba ogłosić «la grande nouvelle!»

I poczęła opowiadać, że Buczynek został wyszukany, najęty, że prawdopodobnie będzie kupiony, i że za cztery dni oboje z mężem przenoszą się do tego Buczynka na całe lato.

Lecz pani Maszkowa, wysłuchawszy opowiadania, podniosła ze zdziwieniem swoje oczęta na Połanieckiego i, patrząc na niego, spytała:

— Więc państwo naprawdę nas opuszczają?

— Tak jest — odrzekł, jakby z pewną opryskliwością.

— Aa!

I przez chwilę patrzała na niego wzrokiem osoby, która nie rozumie i która pyta, co to wszystko znaczy; lecz nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, zwróciła się do Maryni i poczęła obojętną rozmowę.

Była tak wdrożona w formy światowe, że sam tylko Połaniecki mógł poznać, że wiadomość o Buczynku przenikła przez te pokłady, które, tworząc jakby pokrowiec na jej mózgu, przytępiły jego czułość. Domyśliła się jednak, że jej osoba może tu wchodzić w grę, i że te nagle przenosiny mogą stać z nią w związku. Z każdą minutą prawda ta przedstawiała jej się coraz jaśniej — i chłodna jej twarz przybrała wyraz jeszcze chłodniejszy. Stopniowo

ogarniało ją uczucie upokorzenia. Zdawało się jej, że Polaniecki zrobił coś wprost przeciwnego temu, czego miała prawo od niego oczekiwać — i że uchybił ciężko nie tylko jej, ale tym wszystkim względom, jakie człowiek pewnej sfery winien kobiecie. I cała jej dusza odmalowała się w tem, że zabolą ją to mocniej, niż jego odjazd. W pewnych razach kobiety wymagają tem więcej względów, im mniej im się należy, i tem więcej czci, im mniej na nią zasługują, bo potrzeba im tego do oszukiwania samych siebie; a równie często zaślepienie, delikatność lub komedyanctwo mężczyzn przyznaje im wszystko, czego żądają — przynajmniej do czasu. Jednakże, w tym zamiarze przeprowadzenia się za kilka dni, we wprost przeciwną stronę miasta, była jakby godna gbura zapowiedź zerwania stosunku. Wiarolomstwo miewa swoje tego rodzaju *zapowiedzi a posteriori* — i miewa zawsze, albowiem niema w świecie przykładu, by stosunek, oparty na wiarolomstwie, ostał się. Ale tym razem grubijaństwo przeszło wszelką miarę, i siejba wydała zbyt wczesnie właściwe żniwo. Mało lotna z natury myśl pani Maszkowej nie potrzebowała zbyt wielu wysiłków, by dojść do wniosku, że to, co ją spotkało, nazywa się po prostu pogardą.

A w tym samym czasie i Polaniecki myślał:

— Jak ona bajecznie musi mną pogardzać!
Oboje zaś nie zdawali sobie w tej chwili sprawy, że to, w najlepszym razie, była tylko kwestya czasu.

Lecz pani Maszkowa chwytala się jeszcze nadziei, że to może być jakieś nieporozumienie, jakiś chwilowy gniew, jakaś drażliwość fantasty, jakaś obraza, której nie umiała sobie wytłómaczyć, słowem, coś takiego, co może być mniej stanowczem, niż się pozornie wydaje. Jedna rozmowa, jedno słowo, rzucone odpowiednio, mogło jeszcze wszystko wyjaśnić. Sądząc, że i Polaniecki może odczuwa potrzebę takiej rozmowy, postanowiła mu ją ułatwić.

Więc po herbacie poobiedniej poczęła się zbierać do domu i, spojrzawszy na Polanieckiego, rzekła:

— A teraz muszę prosić którego z panów, by mnie odprowadził.

Polaniecki wstał. Zmęczona, a zarazem gniewna jego twarz zdawała się mówić pani Maszkowej: «Jeśli chcesz szczerzej prawdy, będziesz ją miała», — lecz niespodzianie Bigiel pomieszał im szyki, rzekłszy:

— Wieczór taki pogodny, że możemy wszyscy panią odprowadzić.

I tak się stało. Pan Pławicki, uważając się dziś za rycerza pani Maszkowej, podał jej z wielką

galanterią rękę i przez całą drogę zabawiał ją rozmową, tak, że do Polanieckiego, który prowadził panią Bigielową, nie miała sposobności ani słowa przemówić, prócz «dobranoc» przy bramie.

Temu «dobranoc» towarzyszył uścisk ręki, który był nowem pytaniem — bez odpowiedzi. Polaniecki zresztą rad był, że nie potrzebuje dawać objaśnień. Mógł dać tylko mętne, a przedewszystkiem przykre. Pani Maszkowa już obecnie budziła w nim tyleż duchowego niesmaku, ile fizycznego pociągu, i z obu tych przyczyn uważał, że pozostawszy w domu Bigielów, będzie ją miał zbyt blisko. Zresztą wyszukał Buczynek i wynajął go głównie z tego powodu, że natury sprężyste, naciśnięte zbyt silnie, instynktowo muszą coś przedsiębrać i działać, choćby owo działanie nie było w bezpośrednim związku z tem, co im dolega. Nie miał jednak bynajmniej poczucia, że ucieczka od niebezpieczeństwa równa się powrotowi na uczciwą drogę, lub nawet prowadzi do niej; w tej chwili zdawało mu się, że na to za późno, że to jest rzecz przepadła raz na zawsze. «Uciekać — mówił sobie — był na to czas. Obecnie jest to tylko egoizm zwierzęcia, które, zaniepokojone w jednym legowisku, szuka sobie drugiego». Zdradziwszy oto poprzednio Marynię, zdradza teraz

panią Maszkową, z obawy, by stosunek z nią nie stał się zbyt męczącym — i zdradza w sposób zarówno nędzny, jak gruby, deptając po niej. To tylko nowa podłość, której dopuszcza się jak desperat, w przekonaniu, że, jakkolwiekby się wysilał, stoczy się zawsze w przepaść.

Na dnie tych myśli kryło się jednak niezmiernie zdumienie. Gdyby to wszystko zdarzyło się komu innemu, biorącemu życie lekko, taki mógłby machnąć ręką i uważać, że spotkał go jeden więcej wesoły wypadek. Połaniecki rozumiał, że wielu patrzyłoby na sprawę w ten właśnie sposób. Ale on wyrobił był w sobie zasady, miał je — i spadł z całej ich wysokości, zatem jego upadek był tem większy. «Więc — myślał sobie — to, com zdobył, do czego doszedł, ostatecznie od niczego nie broni. Mając to, kręci się kark, tak jakby się niczego nie miało». I rzecz ta wydawała mu się wprost nie do pojęcia. Dlaczego? z jakiej przyczyny? Na to pytanie nie umiał sobie odpowiedzieć i, zwątpiwszy poprzednio o swej uczciwości i honorze, począł teraz wątpić o rozumie, czuł bowiem, że nie może tu czegoś uchwycić i uświadomić.

Wogóle zaś czuł się człowiekiem straconym w jakąś duchową pustkę, który nie może niczego odnaleźć, nawet przywiązania do żony. Wydało mu się, że, zatraciwszy w sobie wszystkie ludz-

kie strony, zatracił zarazem zdolność i prawo do kochania jej. Z niemniejszym też zdziwieniem spostrzegł, że w głębi serca żywi jakby urazę do niej za swój własny upadek. Dotychczas nie skrzywdził nikogo w życiu, nie mógł więc wiedzieć, że zwykle czuje się urażę, a nawet nawiść, do tego, komu się czyni krzywdę.

Tymczasem towarzystwo, po pożegnaniu pani Maszkowej, wracało do domu. Marynia szła teraz obok męża, ale, przypuszczając, że jest zajęty obliczeniami, tyjącami kupna kolonii, i pamiętając, że w takich razach nie lubił, gdy mu przeszkadzano, nie przerywała milczenia. Wieczór był tak ciepły, że po powrocie zostali jeszcze na ganku. Bigiel począł zatrzymywać Świrskiego na noc, żartując przytem, że taki Herkules nie pomieści się w jego bryczuszce obok pana Pławickiego. Polaniecki, któremu obecność kogoś obcego była na rękę, poparł nalegania Bigiela.

— Niech pan zostanie, — rzekł — ja jutro rano jadę do miasta, więc zabierzemy się razem.

— Pilno mi tylko do malowania — odpowiedział Swirski. — Jutro chciałem się zabrać od rana do roboty, a w ten sposób będzie marudztwo.

— Czy pan ma jaką terminową robotę? — spytała Marynia.

— Nie, pani, ale ręka wychodzi z wprawy. To jest tego rodzaju rzemiosło, że w niem nigdy nie wolno odpoczywać; straciłem już tyle dni na włóczędze, to do Przytułowa, to do państwa, a farby tymczasem schną.

Obie panie poczęły się śmiać, że to mówi sławny mistrz, który przecie powinien być wolny od obawy, że zapomni malować. Lecz Świrski odrzekł:

— To się tak zdaje, że gdy się dojdzie do pewnej doskonałości, to się ją posiada. To dziwna rzecz ten ludzki organizm, który ma tylko do wyboru: albo iść naprzód, albo się cofać. Nie wiem, czy tak we wszystkim, ale w artyzmie nie wolno powiedzieć sobie: »Już dobrze!» — nie wolno stanąć. Jak przez tydzień nie maluję, nie tylko tracę biegłość łapy, ale nie poczuwam się w mocy. Ręka tępieje — to jeszcze rozumiem! — ale przytem tępieje i zmysł artystyczny, tępieje poprostu talent. Myślałem, że to tak jest tylko w moim zawodzie, bo w nim ogromnie dużo znaczy technika; ale dacie państwo wiarę, że ten Śniatyński, który pisuje do teatru, mówił mi to samo. A w takiej literaturze na czemże polega technika? Na tem chyba, żeby jej nie mieć, albo przynajmniej, żeby jej nie było widać. Jednak i tamten gadał, że nie może stanąć, że cofa się lub postępuje w miarę

wysileni. Służba sztuce! — to ładnie brzmi. Ach, co za psia służba, w której nigdy niema spoczynku i nigdy spokoju! Nie, tylko mozól i strach! Czy to już przeznaczenie całego ludzkiego pogłowia, czy tylko my jesteśmy takie zamęczone figury...

Świrski wprawdzie nie wyglądał wcale na zamęczoną figurę, nie wpadał też w ton patetyczny, narzekając na swoje rzemiosło; ale w rozmachanych słowach jego była jakaś szczerłość, która czyniła je zajmującymi. Po chwili podniósł pięść i, wygrażając nią księżycowi, który właśnie ukazał się nad lasem, zawołał nawpół wesoło, nawpół ze złością:

— Ot, taka pyza! Jak raz nauczyła się kręcić koło ziemi, tak już jest pewna swojej sztuki. Żeby choć jedną taką chwilę mieć w życiu!

Pani Marynia poczęła się śmiać i, podniósłszy mimowoli oczy w kierunku ręki Świrskiego, rzekła:

— Niech pan nie narzeka. To nie tylko artystom nie wolno stanąć. Czy się pracuje nad obrazem, czy nad samym sobą, to wszystko jedno, a pracować trzeba, każdej godziny, bo inaczej byłoby źle.

— Ogromnie trzeba pracować! — przerwał z westchnieniem pan Plawicki.

Lecz ona mówiła dalej, szukając z pewnem

wysileniem jakiegoś porównania i podnosząc przytem brwi:

— I widzi pan, gdyby ktoś choć na chwilkę powiedział sobie: «Jestem dostatecznie mądry i dość dobry» — to już to samo nie byłoby mądre, ani dobre. Oto mnie się wydaje, że my wszyscy płyniemy przez jakąś głębinę, gdzieś do lepszego brzegu, ale kto tylko chce odpocząć i przestanie poruszać rękoma, tego zaraz własny ciężar ciągnie na dno.

— Frazesy! — rzekł nagle Polaniecki.

Ona zaś, rada z trafności porównania, odpowiedziała:

— Nie, Stachu! jak ciebie kocham, tak to nie frazesy!

— Dalby Bóg tylko zawsze takie słyszeć — rzekł żywo Świrski. — Pani ma zupełną słuszość.

Lecz Polaniecki w gruncie rzeczy również był przekonany, że ona ma słuszość — i, co większa, w tych ciemnościach, które go otaczały, poczęło coś błyszczeć naksztalt światelka. Oto on właśnie powiedział był sobie: «Jestem dostatecznie mądry, dostatecznie dobry — i mogę odpocząć» — oto on właśnie zapomniał o konieczności ciągłego wysiłku, on zaprzestał poruszać rękoma na głębinie, i wnet własny ciężar pociągnął go na dno. Tak było! Wszystkie

te wysokie religijne i moralne zasady, które zdobył, zamknął w swej duszy tak, jak zamykał w kasie pieniądze — i uczynił z nich martwy kapitał. Miał je, ale jakby na składzie. Wpadł w zaślepienie skąpca, który cieszy się nagromadzonem złotem, ale żyje, jak nędzarz. Miał je, ale z nich nie żył — i zaufawszy swemu bogactwu, wyobraził sobie, że jego życiowe rachunki są pokończone i że może spocząć. A teraz poczynił się jakby brzask wśród tej nocy, która zalegała jego umysł, i z cienia poczęła się wychylać ku niemu mglista jeszcze i niewyraźna prawda, że tego rodzaju rachunki nie mogą być nigdy zamknięte — i że to jest ogromna, codzienna i nieustanna praca, która, jak mówi Marynia, kończy się dopiero tam, gdzieś, na drugim, lepszym świecie...

LIII.

— Mój drogi panie, czemu pan się tak nie ubiera, jak pan Kopowski? — mówiła do Zawilowskiego pani Broniczowa. — Naturalnie, że Niteczka ceni więcej pańskie poezye, niż wszelkie na świecie ubrania, ale pan nie uwierzy, jaki to malec estetyczny i jak ona się dosko-

nale zna nawet na takich rzeczach. Wczoraj biedactwo przyszło do mnie i pyta z taką słiczną minką, że gdyby ją pan widział, toby się pan rozplynał: «Ciociu, — pyta — czemu pan Ignas nie ma na rano białego flanelowego kostiumu? Wszystkim panom tak ładnie w tych kostiumach!» Niech pan sobie coś podobnego sprawi, ona będzie rada. Widzi pan, że i Józio Osnowski ma flanelowy kostium — on nawet ma kilką, przez kokieteryę względem Anetki. To są małe rzeczy — wiem! — ale kobiety to ogromnie ujmują, gdy się zważa na ich wymagania. Pan nie ma pojęcia, jak ona wszystko widzi. W Scheveningen wszyscy do południa chodzą w takich kostiumach, i jej byłoby przykro, gdyby ktoś pomyślał, że pan nie należy do towarzystwa, które wie, jak się ubierać. Pan taki dobry, pan sobie kupi taki kostium — prawda? Pan to dla niej zrobi — i nie weźmie mi za złe, że ja mówię o tem, co Niteczka lubi?

— Ach, pani — rzekł Zawilowski: — najchętniej!

— Jaki pan poczciwy! Ale! co to jeszcze chciałam powiedzieć?... Aha! — i ładny nécessaire podróżny z żółtej skóry? — dobrze? — mój drogi panie! Niteczka ogromnie lubi ładne sakwojaże u panów; a za granicą, jak kogo widzą, tak go piszą... Wczoraj — powiem panu

w sekrecie — oglądaliśmy nécessaire pana Koppowskiego! Bardzo ładny i w dobrym guście... kupiony w Dreźnie. Niteczce bardzo się podobał. Niech go pan zobaczy i niech pan sobie kupi coś w tym rodzaju. Przepraszam, że ja się w to wdaję, ale to bagatela. Widzi pan, ja znam i kobiety wogóle, i Niteczkę. Z nią niema lepszej metody, niż ustępstwa w małych rzeczach. Gdy chodzi o wielkie rzeczy, ona się potrafi wszystkiego wyrzec. Przecie pan słyszał, jakie ona miała partye do wyboru, a jednak wybrała pana. Niechże jej pan za to okazuje wdzięczność choć w drobiazgach. Czy pan, jako psycholog, nie zauważył, że natury, zdolne do wielkich poświęceń, zachowują się właśnie na wyjątkowe okazy, a w życiu codziennem lubią, żeby im dogadzano?

— Być może, pani; dotąd jakoś nie zastanawiałem się nad tem.

— O, z pewnością tak jest, i taka jest właśnie natura Niteczki. Pan nie jest jeszcze w stanie ocenić, co to za natura, choć powinienby pan ocenić przez to samo, że pana wybrała. Ale wy, mężczyźni, nie umiecie odczuć tylu odcieni! Jakby przyszło co do czego, zobaczyłby pan dopiero, jak w niej nie niema egoizmu. Niech ją Pan Bóg ochroni od wszelkich prób, ale, gdyby przyszło co do czego, zobaczyłby pan.

— Pani, — odparł z pewną żywością Zawilowski — wiem, że pani ceni pannę Niteczkę, ale jednak i pani nie myśli o niej tyle dobrego, ile ja.

— Ach! jak ja pana kocham, gdy pan takie rzeczy mówi! — zawolala z radością pani Broniczowa. — Mój drogi panie! Ale jeśli tak, to mama jeszcze coś szepnie panu do ucha: oto ona pasyami lubi u panów czarne jedwabne pończoszki, ale jedwabne! Niech pan zapamięta! Jej dość spojrzeć, żeby odróżnić, co jedwab, a co fil d'Ecosse! Mój Boże! niech mnie pan nie p sądza, że ja się do wszystkiego chcę mieszać. Nikt się tak nie potrafi usuwać, jak ja, tylko chodzi o to, by Niteczka nigdy nie pomyślała, że pan pod jakimkolwiek względem nie dorównywa innym. Co pan chce! Bierze pan prawdziwą artystkę, która lubi, żeby wszystko, co ją otacza, było ładne. I doprawdy, ona przecie wcale nie będzie tak biedna, żeby nie miała do tego prawa. Cóż, panie?

Zawilowski wydobył książeczkę do notatek i rzekł:

— Zapiszę sobie zlecenia pani, żebym czego nie zapomniał.

W słowach jego był odcień ironii. Pani Broniczowa swym nadmiarem słów, sposobem mówienia, a zwłaszcza swem zbyt widocznem za-

milowaniem w rzeczach powierzchownego zbytku, niecierpliwiła go częstokroć. Zawilowskiego raziło w niej jakby pewne parweniuszowstwo natury. Ponieważ nie wiedział, jakie gmachy pobudowała już na majątku starego pana Zawilowskiego, nie mógł wprost zrozumieć, jak kobieta delikatna mogła tak mało krępować się z nim w wymaganiach dla Niteczki, gdy szło o skalę ich przyszłego życia. Sądził przedtem, że będzie wprost przeciwnie, że te panie będą okazywały aż nazbyt wiele skrupułów i delikatności — i to było pierwsze jego rozczarowanie. Z drugiej strony bolał go zły smak, z jakim niemal codziennie pani Broniczowa wspominała o wielkich partyach, jakie Niteczka mogła porobić, i o wyrzeczeniach się, które dla niego uczyniła. Te *wyrzeczenia się* jeszcze nie miały miejsca. Zawilowski nie był zarozumiałcem, ale też nie nosił niżej głowy, niż było trzeba — i z tem, co w nim było, uważał się nie za gorszą, ale za lepszą partyę od takich Kopowskich, lub od rozmaitych Colimaćców, Kanafaropulośów i tym podobnych zakazanych operetkowych figur. Wzburzała go sama myśl, że go śmiano z nimi porównywać, zwłaszcza na jego niekorzyść. Mając w duszy miłość i poezję, sądził, że ma to, czem i książęta tej ziemi nie zawsze rozporządzają. Jakie będzie praktyczne ich życie

z Niteczką, o tem niewiele dotąd myślał, lub myślał tylko ogólnie, ale, czując w sobie siłę i gotowość do wzięcia się za czuby ze wszelkim losem, ufał, że będzie bujne. Targować się o ową bujność nie miał zamiaru i, gdy pani Broniczowa okazywała podobne chęci, musiał się powstrzymywać, by jej nie powiedzieć, że wydaje mu się to płaskiem.

Świrski, bawiąc w Przytulowie, wypowiedział raz dziwne zdanie, że miłość nie jest całkowicie ślepą, ale cierpi na daltonizm. Zawilowski sądził, że malarz, mówiąc to, miał na myśli Osnowskiego, nie przypuszczał zaś, że i sam jest doskonałym okazem człowieka, podległego temu cierpieniu. Oślepl jednak tylko w stosunku do panny Linety — poza nią widział wszystko i dostrzegał wszystko z większą jeszcze niż zazwyczaj bystrością. I niektóre spostrzeżenia przejmowały go zdziwieniem. Nie licząc obserwacji nad panią Anetą, jej Józiem i Kopowskim, zauważył na przykład, że jego własny stosunek do pani Broniczowej poczyną się zmieniać — i że od czasu, jak stał się jej blizkim, jak oswajała się i spoufalala z nim, jako z przyszłym krewnym i przyszłym mężem Niteczki, poczynala mniej cenić jego osobę, jego dzieła, jego talent. Było to może dla zwykłego oka niewidoczne, ale dla Zawilowskiego wyraźne — nie umiał

zaś odpowiedzieć sobie, dlaczego tak jest. Przyszłość dopiero miała go nauczyć, że pospolite natury, zetknawszy się z ludźmi lub rzeczami wyższymi, przez samo spoufalenie się, tracą dla nich szacunek, jakby okazując mimowoli, że to, co stało się im blizkiem, musiało tem samem zarazić się płaskością i lichotą i tem samem nie mogło pozostać wysokiem. Tymczasem pani Broniczowa rozczarowywała go coraz bardziej. Niecierpliwił go ów «wygodny» Teodor, mający w danym wypadku osłonić swą zagrobową powagą wszelki postępek. Zdumiewała go jakaś ptasia ruchliwość tego umysłu, który, chwytając wszystko w lot z dziedziny dobra i piękności, zmieniał zarazem wszystko w nieobowiązujące i puste słowa.

Dziwiła go na koniec jej ogromna nieżyczliwość dla ludzi. Pani Broniczowa, niemal pokorna wobec starego Zawilowskiego, poufnie mówiła o nim z niechęcią; panny Heleny wprost nie lubiła; o pani Krasławskiej i pani Maszkowej odzywała się z wiecznym przekąsem, o Bigielach z lekceważeniem, szczególnie zaś solą w oku była jej pani Polaniecka. Pochwał, oddawanych Maryni przez Świrskiego, Zawilowskiego i Osnowskiego, słuchała z taką niecierpliwością, jakby były one zarazem ujmą dla panny Castelli. Zawilowski przekonał się, że

naprawdę pani Broniczowa nie lubi nikogo na świecie, prócz «Niteczki».

Ale to właśnie wynagradzało w jego pojęciu wszystkie jej ujemne właściwości. Nie pojął do-
tąd, że takie uczucia zawistne i wyłączne, które,
zamiast rozszerzać serce dla ludzi, czynią je
ciasnem i ośchlem, są tylko dwugłowym egoiz-
mem, i że taki egoizm może być równie gru-
bym i nieużytnym, jak jednogłowy. Sam, kocha-
jąc z całej duszy Linetę i czując się, od czasu,
jak ją pokochał, lepszym i pobłażliwszym, są-
dził, że istota, która kocha prawdziwie, nie
może być w gruncie rzeczy złą — i w imię
wspólnej miłości przebaczał pani Broniczowej
wszelkie jej braki.

Natomiast, w stosunku do panny Linety by-
stry ten obserwator nie umiał niczego dostrzedz.
Potężniejsze dusze męskie czynią dlatego tyle
nieszczęśnych omyłek w miłości, że przybierają
kochane kobiety we wszystkie swoje promienie,
nie zdając sobie następnie sprawy, że ten blask,
od którego olśniewają, jest ich własny. Tak było
i z Zawilowskim. Panna Lineta oswajała się
codzień więcej i z nim, i ze swoją rolą narze-
czonej. Ta myśl, że on ją wyróżnił, przeniósł
nad inne, wybrał i pokochał, będąca niegdyś
nieustannem żywym źródłem zadowolenia mi-
łości własnej i dumy, poczyniała tracić dla niej

urok nowości i powszednieć. Wszystko, co było z niej można wydobyć na chwałę własną, już z pomocą pani Broniczowej wydobyła. Podziw ludzki został również, jak się wyraził Świrski — «zeskamotowany», a posąg był teraz tak blisko jej oczu, że, zamiast ogarniać jego całość, jęła wykrywać skazy na marmurze. Chwilami jeszcze, pod wpływem cudzych zdań, lub cudzych podziwów, odzyskiwała pamięć i świadomość jego miary, ale wówczas ogarniało ją jakby zdziwienie, że ten, pelen prostoty, rozkochany, patrzący w jej oczy i powolny na każde jej skinienie człowiek, jest owym Zawilowskim, nad którym nawet Świrski kręci głową, a którego taki Osnowski uważa za jakąś cenną własność publiczną. Ona przecie mogła go posłać w każdej chwili na przykład po świeże truskawki, albo po włóczkę! I poczucie to sprawiało jej pewną przyjemność, a tem samem czyniło go jeszcze potrzebnym. Podziwiała w nim własną moc i czasem spowiadała mu się z tego rodzaju wrażeń bardzo szczerze.

Raz, gdy zaszli na wilgotne łąki, Zawilowski wrócił się dla niej po kalosze. Następnie, klękawszy przy olsze, nakładał je jej na nogi, które przytem całował. Wówczas ona, spoglądając na tę schyloną do swych stóp głowę, rzekła:

— Pana mają za wielkiego człowieka, a pan mi kalosze nakłada!

Zawilowski zaś podniósł na nią oczy i, rozbawiony zestawieniem, odpowiedział wesolo, nie wstając z klęczek:

— Bo ogromnie kocham!

— To dobrze, ale ciekawam, coby też ludzie na to powiedzieli?

I ta ostatnia kwestya zdawała się ją najbardziej zajmować. Zawilowski jednak począł z nią w tej chwili kłótnię za to, że powiedziała mu: pan — i nie zauważył, że w tem jej: «To dobrze!» było jakby pewne roztargnienie, z jakim się pomija rzeczy mniejszej wagi, lub zbyt znane. Z podobnem też półbaczeniem słuchała tego, co mówił dalej, że nie będąc zarozumiałcem, uważa się za zwykłego człowieka, ale szanuje swój zawód i że za największe szczęście poczytuje właśnie takie życie, w którym można służyć wysoko, a kochać poprostu. W poczuciu tego szczęścia otoczył jej stan ramieniem, tak, aby to swoje proste kochanie mieć jak najbliżej piersi. Ale gdy przytem wystająca jego broda wysunęła się jeszcze bardziej naprzód, co zdarzało się zawsze, ilekroć mówił z uniesieniem, Castelka poczęła go prosić, by się od tego odzwyczaił, bo mu to nadaje surowy wyraz, a ona lubi koło siebie wesole twarze. Za jedną drogą

przypomniła mu także, że wczoraj, wożąc ją po stawie i zmęczwszy się wiosłowaniem, oddychał przy niej bardzo głośno. Nie chciała mu tylko odrazu powiedzieć, jak jej to «dawało na nerwy». Jej byle co «daje na nerwy» — ale nie tak, jak gdy kto przy niej zmęczy się i głośno oddycha.

To mówiąc, zdjęła kapelusz i poczęła wachlować twarz. Powiew podnosił jej jasne włosy i w zielonawym cieniu olch, obrzucona tu i owdzie słońcem, wdzierającym się przez liście, wyglądała jak zjawisko. Zawilowski poił nią oczy, a w słowach jej podziwiał przedewszystkiem wdziek rozpieszzonego dziecka. Było może w nich coś więcej, ale on niczego więcej nie szukał i nie znalazł, właśnie dlatego, że miłość jego była, przy całej swej mocy, prosta.

Prostota jednak nie wyłącza lotu. Panna Niteczka przyczepiła się istotnie jak pajęczyna do skrzydeł ptaka, który też mimowoli unosił ją na wysokości, gdzie każdy ruch serca trzeba odczuć, wszystko odgadnąć, wszystko zrozumieć, i gdzie myśl nawet musi się natężyć, aby dać wyraz uczuciu. A z panny Niteczki był «taki leniuszek!» Sama to niegdyś mówiła swemu Latawcowi, który teraz ani domyślał się, że owe wyżyny sprawiają jej tylko zawrót głowy i zmęczenie.

Zdarzało się teraz coraz częściej, iż, budząc się rano i myśląc o tem, że trzeba będzie spotkać się z narzeczonym i nastroić się od rana na jego wysoką nutę, doznawała takiego uczucia, jak dziecko, na które czeka trudna lekcya. Ona już tę lekcję wydała; już wypowiedziała mniej więcej wszystko, czego ją nauczono, i sądziła, że narzeczeństwo powinno jej przynieść wakacye. Miała nakoniec dosyć tych wszystkich swoich i cudzych niepospolitości, tych oryginalnych określeń, tych trafnych odezwań się, któremi wojowała dotąd na świecie. Czula zresztą, że zapas wyczerpywał się i że w studni już dno widać. Pozostawały jej tylko jeszcze jakieś odczuwania artystyczne, i ten nieznośny «pan Ignas» mógł przecie poprzestać na tem, że od czasu do czasu pokazywała mu to jakąś rozległą łąkę, to kawałek lasu, to skrawek pola z płowem, jakby rozpierzchłem w świetle, zbożem, i mówiła: «Ładne! ładne!» To było łatwiejsze! On wprawdzie nie umiał znaleźć dość słów i podziwu, ile głębokiej artystycznej duszy kryje się w takim jednym wyrazie: «ładne» — ale jeśli tak, to czegoż chciał więcej? i dlaczego w rozmowie, w uczuciu, w sposobie kochania, zmuszał ją do jakichś niepotrzebnych wysileń? Jeśli zaś nie zmuszał, jeśli to przychodziło bez jego wiedzy, to tem gorzej dla niego, że, będąc

z natury takim stromym, jeszcze w dodatku o tem nie wiedział. Niech sobie w takim razie gada ze Stefcją Ratkowską!

Z «Koposiem» natomiast nie potrzeba było żadnych wysileń, to też towarzystwo jego było prawdziwym dla panny Castelli wypoczynkiem. Sam jego widok rozweselał ją, wywoływał uśmiech na jej twarzy i usposabiał do żartów. Taki Polaniecki był wprawdzie raz w życiu zazdrosny o Kopowskiego, ale Zawilowskiemu, jako człowiekowi, który żył daleko wyłącznie życiem umysłowem, a zatem i mierzył wszystko miarą czysto umysłową, ani przez myśl nie przeszło, by dziewczyna, tak «uduchowiona» i tak «mądra», jak Niteczka, mogła choć przez chwilę patrzeć inaczej na Kopowskiego, niż na przedmiot do wesołych żartów, na jakie sobie ustawicznie pozwalała. Czyż sama pani Broniczowa, pomimo całej powierzchowności swego umysłu, nie oburzała się na samo przypuszczenie oddania Niteczki Kopowskiemu? To, co Zawilowski widział między nim a panią Anetą, nie było dla niego żadną nauką, uważał bowiem swoją Niteczkę za przeciwległy biegun Anety. Niteczka przecie wybrała jego, on zaś był znów antytezą Koposia. To jedno usuwało wszelką wątpliwość. Niteczka bawiła się Koposiem, malowała go, prowadziła z nim takie roz-

mowy, że Zawilowski wydziwić się nie mógł, jak przy nich mogła nie usnąć, żartowała z niego, wodziła za nim rozweselonym wzrokiem — ale tylko dlatego, że była jeszcze dzieckiem, które potrzebowało mieć swe chwile zabawy, a nawet i pustoty. Natomiast nikt lepiej od niej nie widział całej jego bezdennej głupoty — i nikt tak często o niej nie mówił. Ileż razy wyśmiewała się z niej przed Zawilowskim!...

Nie wszystkie jednak oczy patrzyły na tę zabawkę jednakowo — a przedewszystkiem patrzyła inaczej pani Aneta, która od czasu do czasu mówiła wprost mężowi, że Castelka kokietuje Kopowskiego. «Józiowi» wydawało się również niekiedy, że tak jest, i miał ochotę wyprawić grzecznie Koposia z Przytułowa, na to jednak pani Aneta nie chciała zezwolić. — «Skoro stara się o Stefcię, to nie mamy prawa zawiązywać tak biednej dziewczynie losu». — Osnowskiemu żal było tej słodkiej Stefci dla Koposia, ale; ponieważ rzeczywiście nie miała żadnego majątku, i ponieważ Anetka życzyła sobie, żeby to przyszło do skutku, więc nie śmiał się przeciwzić.

Ale za to nie posiadał się ze zdziwienia i oburzenia na Castelkę: «Mając takiego Ignasia, kokietować takiego durnia — na to trzeba chyba być zupełnie bezduszną lalką». Z początku nie

chciało mu się to w głowie pomieścić. W przypuszczeniu, że jednak Anetka chyba się musiała omylić, począł pilniej przypatrywać się młodej dziewczynie — i ponieważ, poza osobistym swym stosunkiem do żony, nie był wcale człowiekiem głupim, dostrzegł mnóstwo rozmaitych rzeczy, które go, ze względu na przyjaźń, jaką miał dla Zawilowskiego, mocno zaniepokoiły. Nie przypuszczał wprawdzie, by zdarzył się jakikolwiek wypadek, mogący zmienić położenie, ale zadawał sobie pytanie: jaka będzie przyszłość Ignasia z kobietą, tak mało umiejącą go ocenić i tak mało duchowo rozwiniętą, że nie tylko znajdowała upodobanie w towarzystwie takiego bezgłowego pięknisia, ale pozwalala sobie pociągać go i balamucić? «Anetka sądzi wszystkich po sobie, — myślał Osnowski — i rzeczywiście omyliła się, przypisując Castelce jakieś głębsze poczucia: to marynetka, na którą, jeśli nie wpłynęły podobne dusze, jak Anetka i Ignas, to już jej nie nie rozbudzi». W ten sposób ów nieszczęsny, chory na daltonizm miłości człowiek, odkrywając z jednej strony prawdę, z drugiej popadał w błąd coraz grubszy. Na «Castelkę» za to patrzył z każdym dniem trafniej i nie potrzebował zbytnich wysiłków, by dojść do pewności, że w stosunku tej «idealnej» Niteczki do Koposia są wprawdzie

żarty, jest dużo przekory, drażnienia się, nawet drwin, ale jest i taka nieprzeparta słabość, i taki pociąg, jaki kobiety z duszami modniarek czują do ładnych i ładnie ubranych chłopców. Fenomenalna głupota Kopowskiego zdawała się jeszcze wzrastać na świeżem powietrzu, ale za to słońce pozłociło jego delikatną cerę, przez co oczy stały się wyrazistsze, zęby bielsze, zarost na twarzy pojaśniał i lśnił się jak jedwab. Rzeczywiście, że blask bił nie tylko od jego młodości i urody, ale od jego bielizny, krawatów, od jego wyszukanych a zarazem prostych kostiumów. Rano, przybrany do lawn-tennisa w angielskie flanele, miał w sobie jakąś świeżość poranka i rozmarzenie snu. Wysmukłe a zarazem wytoczone jego kształty, rysowały się jakby pieszczotliwie przez miękkie tkaniny — i gdzież ten kościsty Zawilowski mógł się porównać w oczach tych pań, razem ze swoją zuchwałą wagnerowską szczęką i długimi nogami, z tym «mignonem», przypominającym jednocześnie bogi greckie i żurnale mód, jednocześnie włoskie glip-toteki i tabldoty Biarritz lub Ostendy! Trzeba było być takim cudakiem, jak ta cicha woda, Stefcia Ratkowska, żeby utrzymywać (chyba na złość), że to jest nieznośna lala. Castelka śmiała się wprawdzie, gdy Świrski wyraził się kiedyś, iż Kopowski, zwłaszcza zapytany o coś

znienacka, miewa takie spojrzenia, w których widać szesnaście «quartiers» głupoty po mieczu i po kądzieli. Rzeczywiście, on miewał trochę nieprzytomne spojrzenia i zwykle nie od razu mógł pojąć, czego od niego chcą. Ale za to taki był wesoly, taki wydawał się łagodny i, mimo niezbyt lotnej myśli, tak dobrze wychowany, a wreszcie taki śliczny i wyświeżony, że wszystko można mu było przebaczyć.

Zawilowski mylił się, sądząc, że tylko pani Broniczowa przepada za rzeczami powierzchownego zbytku, i że jego narzeczona nie wie o tych wszystkich żądaniach, z którymi ciocia występuje. Castelka wiedziała o nich. Straciwszy nadzieję, by «pan Ignaś» mógł kiedykolwiek dorównać Kopowskiemu, chciała, żeby przynajmniej się do niego zbliżył. Do rzeczy powierzchownego zbytku miała wrodzony pociąg — i «ciocia», prosząc Zawilowskiego, by sobie kupił to lub owo, spełniała tylko jej żądania. Dla niej, rzeczywiście, dość było spojrzeć, żeby odróżnić jedwab od fil d'Ecosse, i cała jej dusza instynktownie rwała się do jedwabiu. Kopowski był zaś dla niej tem wśród ludzi, czem jedwab wśród tkanin. Gdyby nie pani Aneta, która powstrzymywała młodego człowieka, i gdyby nie rozmaite górne uczucia, które wmówiła w Castelkę, Castelka byłaby niechybnie za niego wyszła.

Osnowski, nie wiedząc o tem wszystkiem, dziwił się nawet, że się tak nie stało, doszedł bowiem w końcu swych spostrzeżeń do wniosku, że i dla Linety, i dla Zawilowskiego, byłoby tak może lepiej.

I któregoś dnia zwierzył się z tych myśli żonie, lecz ona rozgniewała się i odrzekła z wielką żywością:

— Nie stało się, bo się stać nie mogło. Nikt nie jest obowiązany stosować się do Józia pomysłów. Ja pierwsza spostrzegłam, że Castelka kokietuje Kopowskiego. Któż mógł wiedzieć, że to taka natura? Być narzeczoną i już kokietować innych — to przechodzi ludzkie pojęcie. Ale ona to robi przez próżność, na złość Stefci Ratkowskiej, a może dlatego, by wzbudzić zazdrość w Zawilowskim. Kto ją tam wie! Łatwo teraz Józiowi mówić i zwałać całą winę na mnie, że to ja zrobiłam to małżeństwo; niech sobie Józio lepiej przypomni, ile razy sam zachwycał się Castelką, ile razy mówił, że to niezwykła natura i że taka właśnie uszczęśliwiłaby pana Ignasia! Ładnie niezwykła natura!! Teraz kokietuje Kopowskiego, a gdyby była jego narzeczoną, toby kokietowała Zawilowskiego. Jak ktoś jest próżny, to pozostanie zawsze próżny. Józio mówi, że ona byłaby odpowiedniejsza dla Kopowskiego. Trzeba było mieć pierwaj ten ro-

zum, nie dopiero wówczas, gdy ona jest narzeczoną Zawilowskiego. Ale Józio umyślnie tak mówi, dlatego tylko, żeby mi pokazać, jakie głupstwo zrobiłam, pomagając panu Ignasiowi.

I cała sprawa została obrócona w ten sposób, iż Zawilowski i Castelka zeszli na drugi plan, na pierwszy zaś wystąpiło okrucieństwo i złośliwość Józia. Ale Osnowski począł się usprawiedliwiać i, rozłożywszy ręce, mówił:

— Anetko! Jak ty możesz nawet przypuścić, że ja ci chciałem zrobić przykrość? Przecie ja wiem, jakieś ty pocziwe miała chęci; tylko widzisz, mnie strach bierze o przyszłość Ignasia, bo go kocham. Chciałbym z duszy serca, żeby mu Bóg dał taką istotę, jak ty jesteś. Moja ptaszynko najdroższa, ty wiesz, że jabym wolął język stracić, niż powiedzieć ci coś przykrego. Przyszedłem, ot tak, pogadać z tobą i naradzić się, bo wiem, że w tej kochanej główce zawsze znajdzie się na wszystko sposób.

To rzekłszy, począł całować jej ręce, a następnie ramiona i twarz, z ogromną miłością i coraz większem uniesieniem, lecz ona odwracała głowę, wykręcając się od pocałunków i mówiąc:

— Ach, jaki Józio spocony!

On zaś rzeczywiście był niemal zawsze spocony, bo po całych dniach grywał w tenisa,

— Trzeba jednak wybadać Kopowskiego co do Stefci. Wie Józio co? Oto dziś zaraz pojedę z nim konno ku Leśniczówce i pomówię trochę seryo... Wy sobie jedźcie w inną stronę.

— Dobrze, dziecinko. Patrz, że jednak główka zaczyna radzić!

I począł zbierać się do wyjścia, lecz w progu stanął, pomyślał chwilę i rzekł:

— Jakie to jednak dziwne i niepojęte: ten Ignas, zdaje się, wszystko w lot chwyta — a tymczasem uwielbia tę Castelkę, jak jakie bóstwo, i nic a nic nie widzi.

Po południu zaś, gdy Kopowski z panią Anetą odjeżdżali cienistym gościńcem do leśnego domku, Zawilowski, odprowadzając ją oczyma i patrząc na jej postać, rysującą się na koniu w obcisłej amazonce nakształt wysmukłego dzbanka, myślał:

— Jaka ona jednak zgrabna i ponętna! Jest w tem jakaś ironia życia, że ten pocziwy i serdeczny Osnowski niczego się nie domyśla!

I była rzeczywiście w tem ironia życia — ale nietylko w tem.

LIV.

Od czasu wspólnej wycieczki pani Anety i Kopowskiego do Leśniczówki, coś się zmieniło w towarzyskim nastroju mieszkańców Przytułowa. Zawilowski patrzył wprawdzie po dawnemu w oczy narzeczonej i zachwycił się nią bez miary, natomiast w obejściu się jej z nim i z innymi był jakiś leciuchny odcień złego humoru. Kopowski czuł się jakby skrzepowany; na Castelkę spoglądał tylko ukradkiem, zbliżał się do niej skwapliwie, ale tylko w nieobecności pani Anety, a natomiast przysiadł się częściej do panny Ratkowskiej, z którą rozmawiał jakby w roztargnieniu. Pani Aneta była jeszcze rezolutniejsza niż zwykle i ku wielkiemu zadowoleniu «Józia» rozciągnęła teraz tak baczną opiekę nad wszelkimi sprawami w Przytułowie, że dwukrotnie jeszcze brała Kopowskiego na osobną rozmowę. Wzrok Castelki nie gonił za Koposiem z taką pół wesołą, pół ironiczną swobodą, jak dawniej — natomiast chmurne oczy panny Ratkowskiej zwracały się na Zawilowskiego z pewnem współczuciem, słowem: coś się zmieniło zarówno w spojrzeniach, jak w stosunkach.

Były to jednak zmiany, dostrzegalne chyba dla oka bardzo bystrego i przywykłego patrzeć w tego rodzaju życie, w którem, w braku więk-

szych celów i tegiej codziennej pracy, najmniejsze odcienie uczuć, najbardziej subtelne ruchy myśli, a nawet usposobień, nietylko przybierają pozory doniosłych wypadków, ale częstokroć kryją w sobie rzeczywiste ich zarody. Zewnętrznie, życie to pozostało tem, co było, to jest jakby codziennem świętowaniem, majówką, wiejskim wywczasem, splecionym z miłości, estetycznych wrażeń, mniej więcej subtelnych rozmów i wreszcie zabaw. Ułożenie całego szeregu tych zabaw, tak, aby dzień został zapelniony, było jedynem zadaniem obciążającym umysły, a i to największą jego część brał na siebie, jako gospodarz, pan Osnowski.

Pewnego jednak poranku, jednostajną pogodę tego życia przerwał grom, pod postacią dwóch listów z czarnemi obwódkami pod adresem Osnowskiego i Zawilowskiego. W chwili, gdy je przyniesiono, całe towarzystwo było przy poobiedniej kawie — i oczy pań zwróciły się z ciekawością i niepokojem na czytających, którzy, wydobywszy karty z otwartych kopert, zawołali niemal jednocześnie:

— Pan Zawilowski umarł!

Wiadomość uczyniła wielkie wrażenie. Pani Broniczowa, jako osoba dawnej szkoły, pamiętająca czasy, w których przybycie sztafety na wieś obowiązywało tkliwsze istoty do zemdlenia,

nim nawet pokazało się, co sztafeta przywiozła — wpadła w rodzaj odrętwienia, połączonego z utratą mowy; panna Ratkowska, która czas jakiś spędziła w domu Zawilowskich i miała dla nich wielką przyjaźń, pobladła naprawdę; panna Castelli, chwyciwszy rękę pani Broniczowej, starała się przyprowadzić ją do przytomności, szepcząc półgłosem: «Voyons, chère, tu n'es pas raisonnable!» Pani Aneta zaś, jakby chcąc sprawdzić własnymi oczyma treść zawiadomienia, wyjęła je z rąk męża i poczęła czytać:

«Św. p. Eustachy Zawilowski rozstał się z tym światem w dniu 25 lipca etc. Pograżona w żalu córka zaprasza krewnych i przyjaciół na pogrzeb w kościele parafialnym w Jaśminiu, w dniu 28 b. m., etc.»

Poczem nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał pierwszy Zawilowski:

— Mało go znałem — rzekł — i niegdyś byłem do niego uprzedzony, ale teraz szczerze mi go żal, bom się przekonał, że to był z gruntu zacny człowiek.

— I on cię też szczerze pokochał — odpowiedział Osnowski. — Miałem tego dowody.

Pani Broniczowa, która przez ten czas przyszła do siebie, oświadczyła, iż dowody teraz dopiero mogą pokazać się w całej pełni, i że serce pana Eustachego prawdopodobnie okaże

się jeszcze większe, niż przypuszczają. «Pan Eustachy zawsze bardzo kochał Niteczkę, a taki człowiek nie mógł być zły». Jej, to jest pani Broniczowej, chwilami przypominał Teodora, i dlatego tak się do niego przywiązała. Był wprawdzie czasem o tyle szorstki, o ile Teodor był zawsze łagodny, ale obaj mieli jednaką prawność duszy, którą Pan Bóg najlepiej potrafi osądzić.

Potem zwróciła się do Niteczki, przypominając jej, że najmniejsze wzruszenie nabawia ją ściskania w dolku, i prosząc, żeby się tym razem starała nie poddać wrodzonej tkliwości. Zawilowski też w poczuciu, że i jego, i Niteczkę, po raz pierwszy dotknął jakiś wspólny smutek, począł całować jej ręce. Nastrój ów przerwał dopiero Kopowski, który rzekł, jakby w zamyśleniu nad znikomością rzeczy ludzkich:

— Ciekawym, co panna Helena robi z fajkami po panu Zawilowskim?

Rzeczywiście stary szlachcic miał słynny na całe miasto zbiór fajek i w swoim czasie, przez niechęć do papierosów i cygar, urządzał nawet u siebie zebrania dla miłośników cybucha. Troska Kopowskiego o te fajki nie została jednak zaspokojona, raz dlatego, że Zawilowskiemu przynieśli w tej chwili list od Polanieckiego, zawierający również wiadomość o śmierci sta-

ruszka i wezwanie na pogrzeb, a powtóre z tej przyczyny, że Osnowski począł naradzać się z żoną nad wyjazdem do Jaśmienia.

Stało na tem, że wszyscy wyruszą zaraz do miasta, gdzie panie zdążą jeszcze pokupować rozmaite żałobne drobiazgi, a nazajutrz, w dzień pogrzebu, będą w Jaśmieniu. Tak się też i stało. Zawilowski, zaraz po przyjeździe, wstąpił do siebie, by odwieźć rzeczy i przygotować na jutro czarne ubranie, a następnie poszedł do Polanieckich, w przypuszczeniu, że może i oni przyjechali od Bigielów. Służący powiedział mu, że wczoraj był tylko pan, ale zaraz odjechał do Jaśmienia, koło którego państwo od dwóch tygodni wynajęli, czy nawet kupili dom.

Usłyszawszy to, wrócił do willi Osnowskich, by wieczór spędzić z narzeczoną. W przedpokoju zdziwiły go dochodzące z głębi domu tony Strausowskiego walcza, więc spotkawszy w następnym saloniku pannę Ratkowską, począł ją wypytywać, kto gra.

— Niteczka gra z panem Kopowskim — odrzekła panna Ratkowska.

— To pan Kopowski już tu jest?

— Przyszedł przed kwadransem.

— A państwo Osnowscy?

pan pomówi z ciocią» — straciłem nietylko przytomność, ale oddech... Moja ty wybrana, moja najdroższa...

Ona zaś odpowiedziała:

— A jakiś ty był wtenczas blady!

— Trudno nie być bladym, gdy komuś serce zamiera ze wzruszenia. Przecie ja już cię kochałem bez pamięci.

Panna Castelli podniosła oczy w górę i po chwili rzekła:

— Jakie to wszystko dziwne!

— Co, Niteczko?

— Że to się tak jakoś zaczyna i zaczyna, jak jakieś próbowanie, jak jakaś gra... potem się coraz bardziej w to wchodzi — i nagle: klamka zapada.

Zawilowski począł przyciskać jej ramię do piersi i odrzekł:

— A tak! klamka zapadła! Mam moją jasną dziewczynę i nie puszcę.

Potem, chodząc ciągle pod rękę, przeszli do wielkiego salonu. Zawilowski wskazał oszklone drzwi i rzekł:

— Nasz balkon i nasza akacja.

Mroczyło się coraz bardziej. Przedmioty w pokoju pogrążały się w cień; gdzieś tam tylko na złożonych ramach obrazów połyskiwały światła, jakby jakieś oczy, podglądające młodą parę.

— Kochasz ty mnie? — spytał nagle Zawilowski.

— Ty wiesz!

— Powiedz: tak!

— Tak.

Wówczas przycisnął jeszcze silniej jej ramię i począł mówić zmienionym przez wzbierające uczucie głosem:

— Ty poprostu nie masz pojęcia, ile w tobie jest szczęścia. Słowo ci daję: nie masz pojęcia! Ty nie wiesz, jak ja cię kocham. Jabym za ciebie życie oddał. Jabym świat oddał za twój jeden włos! Tyś mój świat, moje życie, moje wszystko! Jabym bez ciebie teraz umarł.

— Siądźmy — szepnęła panna Castelli. — Takam zmęczona.

I siedli, wsparci o siebie ramionami, ukryci w mroku. Nastąpiła chwila milczenia.

— Co tobie? Ty cały drżysz? — szepnęła panna Lineta.

Lecz i sama, czy to rozkolysana wspomnieniami, czy porwana jego uczuciem, lub bliskością, poczęła oddychać śpieszniej, i przymknąwszy oczy, pierwsza podsunęła mu usta.

A tymczasem Kopowski nudził się widocznie w przyległym pokoju z panną Ratkowską i panią Broniczową, albowiem w tejże chwili roz-

legły się tony tego walca, którego przedtem grali z Linetą.

Zawilowskiemu, gdy wrócił do siebie, własne kawalerskie mieszkanie wydało się obrazem pustki i smutku, jakimś bezcelowem koczowiskiem, po którym nie zostaje nawet wspomnienie — i pomyślał, iż ta złota Niteczka już tak obwinęła mu się koło serca, że naprawdę żyćby bez niej nie chciał i nie mógł.

Pogrzeb pana Zawilowskiego odbył się nazajutrz niezbyt tłumnie. Majątki okoliczne, jako leżące bliżej miasta, należały po większej części do ludzi zamożnych, którzy lato spędzali za granicą, a z tej samej przyczyny niewielu znajomych pana Zawilowskiego pozostało i w mieście. Nadciągnęły tylko liczne gromady włościan, które, tłocząc się w kościele, spoglądały na trumnę, jakby ze zdziwieniem, że pan tak możny, mający w bród gruntów, pieniędzy i statku, idzie do ziemi, jak pierwszy lepszy chłop, siedzący gdzieś na komornem na wyczółkach. Inni patrzyli z zazdrością na pannę, na którą «tyle dobra» spaść miało. I taka jest natura ludzka, że nie tylko chłopię, ale i ludzie wykwintni, dalsi lub bliżsi znajomi pana Zawilowskiego, nie mogli nawet w czasie samej ceremonii pogrzebowej powstrzymać się od rozmyślania, co też panna Helena uczyni z tymi milionami, które jej po-

zostaną do otarcia łez. Byli i tacy, którzy, odgadując w młodym Zawilowskim, jako w ostatnim krewnym tegoż nazwiska, spadkobiercę znacznej części majątku, zadawali sobie po cichu pytanie, czy ten szczęśliwy poeta, a jutro może milioner, nie przestanie wierszy pisywać. I myśleli, jakby z pewnem niewytlómaczonem zadowoleniem, że prawdopodobnie przestanie.

Główną jednak uwagę zwracała panna Helena. Podziwiano powszechnie poddanie się, z jakim zniosła tę stratę, tem bolesniejszą, że po śmierci ojca pozostawała sama jedna na świecie, bez bliższych krewnych, niż młody poeta — i nawet bez przyjaciół, o których przestała się oddawna starać. Szła za trumną z twarzą, po której spływały łzy, ale spokojną, tym zwykłym u niej, trochę martwym i kamiennym spokojem, wróciwszy zaś z pogrzebu, opowiadała o śmierci ojca tak, jakby od niej upłynęło przynajmniej kilka miesięcy. Panie z Przytułowa nie mogły zrozumieć, że mówi przez nią ogromna wiara, i że, na mocy owej wiary, śmierć ta, wobec innej, którą przeżyła i która poszarpała jej duszę, wydała jej się czemś smutnem wprawdzie, ale zarazem błogosławionem, wyciskającym łzy żalu, ale nie rozpaczy. Jakoż stary pan Zawilowski umarł bardzo pobożnie, choć prawie nagle. Od czasu przybycia do Jaśmienia, miał

zwyczaj spowiadać się dwa razy na tydzień, więc nie brakło mu pociechy religijnej. Umarł z różańcem w ręku, na swoim fotelu, zasnąwszy poprzednio lekkim snem, bez żadnych cierpień, gdyż codzienne jego dolegliwości opuściły go na kilka dni przedtem, tak, że już poczał nabierać nadziei zupełnego wyzdrowienia. Panna Helena, opowiadając o tem swym zaciszonym i monotonnym głosem, zwróciła się wreszcie do Zawilowskiego i rzekła:

— O panu też wspominał bardzo często. Może na godzinę jeszcze przed śmiercią mówił, że jeśli pan przyjedzie do Buczynka do państwa Polanieckich, żeby mu zaraz dać znać, bo się chce koniecznie z panem widzieć. Ojciec bardzo, bardzo pana kochał i cenił.

— Droga pani, — rzekł Zawilowski, podnosząc do ust jej rękę — żałuję go też serdecznie razem z panią.

Było coś szlachetnego i szczerego zarówno w jego tonie, jak w słowach, więc oczy panny Heleny zaszczyły łzami, płacz zaś pani Bronieczowej rozległ się tak głośno, że, gdyby nie flakonik z solami, podany przez pannę Castelli, byłby prawdopodobnie przeszedł w atak nerwowy.

Lecz panna Zawilowska, jakby nie słysząc tych łkań, poczęła dziękować Polanieckiemu za

pomoc, jakiej od niego doznała, on bowiem zajął się pogrzebem i tymi kłopotami, jakimi śmierć blizkich obarcza, w dodatku do nieszczęścia, tych, którzy blizkich tracą. On zaś wziął to wszystko na siebie i przez uczynność, i dlatego, że obecnie chwycił każdą sposobność, by się czemś zając, zagłuszyć i wyjść z męczącego koła rozmyślań.

Marynia nie była na pogrzebie, gdyż mąż nie życzył sobie, by się narażała na tłok i zmęczenie, natomiast dotrzymywała pannie Zawilowskiej towarzystwa w domu, niosąc jej pociechę, jaką było można. Obecnie chciała ją zabrać wraz z przytułowskimi paniami do Buczynka, a nawet zatrzymać u siebie kilka dni. Polański popierał jej prośbę, ale panna Helena, mając w domu starą swą nauczycielkę, odmówiła, zapewniając panią Marynię, że w Jaśminiu nie będzie jej wcale przykro i że, zwłaszcza w pierwszych dniach, nie chciałaby go porzucać.

Za to panie z Przytułowa, które i tak za namową Świrskiego miały zamiar odwiedzić Polańskich, pojechały chętnie wraz ze znajomymi panami do Buczynka — tem bardziej, że pani Broniczowa czuła ochotę dowiedzieć się od Polańskiego bliższych szczegółów o ostatnich chwilach zmarłego. Pani Marynia, która z wielką

ciekawością przypatrywała się pannie Ratkowskiej, zabrala ją teraz do swego powozu — i stało się to, co się czasem zdarza na świecie: oto obie młode kobiety odrazu poczuły ku sobie nieprzeparty pociąg. W smutnych oczach panny Ratkowskiej, w jej wyrazie, w jej twarzy «zaciszonej», wedle wyrażenia Świrskiego, było coś takiego, że pani Marynia niemal od pierwszego wejrzenia odgadła naturę nieśmiałą, przywykłą do zamykania się w sobie, ale delikatną i tkliwą. Z drugiej strony panna Ratkowska tyle nasłuchiwała się od młodego Zawilowskiego o Maryni (a nasłuchiwała się dlatego, że inne panie w Przytułowie nie rade podawały ucha pochwałom bliźnich), iż widząc w jej oczach zajęcie i sympatyę, do których w swem ubóstwie i samotności nie przywykła, przylgnęła do niej całym sercem. W ten sposób przyjechały do Buczynka, jako dobre przyjaciółki, i Świrski, który wraz z Polanieckim, Osnowskim i Kopowskim, przybył tuż za nimi, nie potrzebował wielkiej domyślności, by odgadnąć, że sąd Maryni będzie dla panny Stefciej pochlebny.

Chciał jednak go usłyszeć. Marynia poczęła pokazywać gościom swoją nową rezydencję, która miała zostać jej własnością. Polaniecki bowiem już był postanowił kupić Buczynek. Oglądano zwłaszcza ogród, w którym rosły nadzwyczajnie

czaj stare białodrzewy. Świrski, korzystając z tej przechadzki, podał rękę Maryni i w powrotnej drodze do domu, gdy towarzystwo rozproszyło się nieco po wszystkich alejach, spytał z wielkim impetem:

— Cóż pani? jakie pierwsze wrażenie?

— Jak najlepsze. Ach, jakie to musi być dobre i tkliwe dziecko! Niech pan stara się ją poznać.

— Ja? A to na co? Ja się dziś oświadczam. Czy pani myśli, że tego nie zrobię? Pod słowem, że dziś jeszcze — i to w Buczynku. Ja już nie mam czasu na przypatrywania się i namysły. W tych rzeczach musi być trochę hazardu. Dziś się oświadczam, tak, jak tu przed panią stoję.

Pani Polaniecka poczęła się śmiać, sądząc, że żartuje, on zaś odpowiedział:

— Ja się także śmieję, bo w tem niema nic smutnego. Nic nie szkodzi, że to w dzień pogrzebu: nie jestem przesądny. A raczej owszem! jestem — i wierzę, że z pani ręki nie może być źle.

— Ależ to nie z mojej ręki. Ja ją przecie dziś dopiero poznałam.

— Wszystko mi jedno. Całe życie bałem się kobiet, a tej jakoś nie a nie! To poprostu nie może być niewdzięczne serce.

— Nie. I ja myślę, że nie.

— A widzi pani. Na mnie ostatni czas. Przyjmie mnie, to będę ją całe życie, ot, tu nosił — (tu wsunął rękę w zanadrze surduta) — a nie, to...

— To co?

— To się zamknę i będę jaki tydzień od rana do wieczora malował. Mówilem, że pojedę na kaczki — ale nie! To poważniejsza rzecz, niż pani myśli. Sądzę jednak, że powinna mnie przyjąć. Wiem, że ona tego damskiego papilota, tego Koposia, nie kocha; jest na świecie sama i sierota, a mnie robi dobrodziejstwo, za które potrafię być jej wdzięczny przez całe życie, bo ze mnie w gruncie rzeczy dobry człowiek — a boję się, żebym nie zgorzkniał.

Marynia teraz dopiero spostrzegła się, że Świrski może mówić poważnie — i odrzekła:

— Pan naprawdę dobry człowiek, więc pan nigdy nie zgorzknieje.

On zaś odrzekł z wielkiem ożywieniem:

— Owszem. Mogłoby się na tem skończyć. Z panią będę szczery. Czy pani myśli, że ja jestem tak szczęśliwy, jak się wydaje. Dalibóg, że nie! Zdobyłem trochę pieniędzy i sławy — prawda. Ale może nie było pomiędzy mężczyznami drugiego, któryby tak wyciągał ręce do jakiegoś kobiecego ideału, jak ja. I co? Spotkałem panią, spotkałem panią Bigielową, może

jeszcze dwie, trzy — zacne, prawe, rozumne, czyste jak lzy... Niech pani pozwoli! Ja nie chcę mówić pani grzecznostek, a w tem, co powiem następnie, nie chcę wygłaszać krytyki, tylko odkrywam mój ból: widziałem między naszymi kobietami tyle szychu, tyle płaskich i płytkich natur, taki egoizm, tyle mielizn, tyle niewdzięcznych sere, tyle lalek z kartonu, tyle nieszczerých aspiracyi, że od tego widoku mogło zgorzknieć dziesięciu takich, jak ja.

Po chwili zaś dodał:

— To dziecko wydaje się inne: ciche, słodkie i bardzo uczciwe. Dajże Boże, żeby taka była — i żeby mnie chciała.

Tymczasem pani Broniczowa, wzięwszy otwarcie Polanieckiego na bok, mówiła ze wzniesionemi oczyma:

— O tak! on mi przypominał moje młode lata — i jak pan widzi, pomimo tego, że przez dłuższy czas stosunki między nami były zerwane, dochowałam mu do końca życia przyjaźni. Pan musiał słyseć... Ale nie! nie mógł pan słyseć, bom nigdy nikomu o tem nie wspominała, że ode mnie tylko zależało zostać... matką Helenki. Teraz już niema potrzeby tajemnicy. Dwukrotnie oświadczał się o moją rękę i dwukrotnie mu odmówiłam. Szanowałam i lubiłam go zawsze, ale pan zrozumie, że gdy się jest

młodym, szuka się czego innego, szuka się tego, co znalazłam w moim Teodorze... O tak! Raz było to w Ischii, a drugi raz w Warszawie. Cierpiał bardzo — ale cóż ja mogłam poradzić? Czy pan w mojem położeniu postąpiłby inaczej? Niech pan szczerze powie?

Polaniecki, nie mając najmniejszej chęci odpowiadać ani szczerze, ani nieszczerze, jakby postąpił w położeniu pani Broniczowej, rzekł:

— Pani życzyła sobie o coś mnie zapytać?

— Tak! o tak! Chciałam pana zapytać o jego ostatnie chwile. Helenka mówiła, że on umarł nagle, ale pan, mieszkając tak blisko, musiał go odwiedzać, więc może pan pamięta, co on mówił, może wie, jakie były jego ostatnie zamiary i myśli? Osobiście nie mam w tem przecie najmniejszego interesu. Mój Boże! chyba trudno było postępować bezinteresowniej. Pan Niteczki nie zna! Ale pan Zawilowski dał mi słowo, że zapisze panu Ignasiowi swoje poznańskie majątki. Jeśli słowa nie dotrzymał, lub nie zdołał dotrzymać, niech mu to Pan Bóg przebaczy, tak jak ja przebaczam. Majątek! — zapewne! to nic nie stanowi! Któż dał lepszy od Niteczki przykład nieoglądania się na majątek? Gdyby było przeciwnie, nie byłaby odrzuciła takich partyi, jak markiz Jao Colimação, lub pan Kanafaropulos. Pan musiał słyszeć także

o panu Ufińskim? (To ten, co za swoje sławne sylwetki kupił już sobie pałac w Wenecyi. Ostatnim razem wycinał księcia Walii). Jeszcze tego roku oświadczał mi się o Niteczkę. Och tak, drogi panie! jeśli kto szukał majątku — to chyba nie my. Ale nie chciałabym, żeby Niteczka kiedykolwiek mogła pomyśleć, że zrobiła ofiarę — bo jednak... między nami, ona robi ofarę, a biorąc po światowemu — wielką ofiarę!

Na to Polaniecki, który był człowiek żywy, i którego rozgniewały ostatnie słowa pani Broniczowej, odrzekł:

— Nie znalazem ani markiza Jao Colimaçao, ani pana Kanafaropulosa, ale na tutejszym gruncie to są nazwiska trochę... dziwne. Przypuszczam też, że panna Castelli wychodzi za Zawilowskiego z miłości, a w takim razie wszelka ofiara jest wyłączoną. Ja, pani, jestem człowiek otwarty i mówię to, co myślę. Czy Zawilowski jest praktycznym, to inna rzecz, ale Zawilowski nie wie i nie chce pytać, co przynosi mu panna Castelli; panie zaś doskonale wiedzą, co przynosi, nawet pod względem światowym.

— Ach, to pan, widzę, nie słyszał, że Castellowie pochodzą od Marino Falieri...

— Właśnie pani, żem nie słyszał, ani ja,

ani nikt inny. Przypuśćmy, że dla mnie i dla pani takie względy nie mają znaczenia, skoro jednak pani pierwsza wspomniała, że, biorąc po światowemu, panna Lineta robi wielką ofiarę — ośmielę się temu zaprzeczyć i powiedzieć, że, nie mówiąc już o talencie Zawilowskiego i jego stanowisku — partye są równe.

Z jego tonu i twarzy widać było, że jeśli pani Broniczowa nie poprzestanie na tem, co powiedział, to gotów mówić jeszcze otwarciej; ale pani Broniczowa, mając widocznie niejedną strzałę w swoim kołczanie, chwyciła rękę Polanieckiego i, wstrząsając nią silnie, zawołała:

— Ach, jaki pan pocziwy, że pan tak goręco ujmuje się za Ignasiem, i jak ja pana za to kocham! Ale przeciw mnie nie trzeba go bronić, bo i ja jego pokochałam, jak własnego syna. Kogóż ja mam na świecie, jeśli nie tych dwoje, i jeśli wypytuję, czy pan czego nie wie o jakim rozporządzeniu pana Zawilowskiego, to jedynie przez miłość dla Ignasia. Wiem, że starzy ludzie lubią odkładać i odkładać, tak jakby przez to i śmierć dała się odłożyć. Ach, panie, śmierć nie da się odłożyć!... nie! nie! Ale Helence nie po tych wszystkich milionach, a Ignaś... mógłby dopiero prawdziwie rozwinąć skrzydła... Mnie i Niteczce chodzi przedewszyst-

kiem o jego talent. Ale gdyby przyszło co do czego...

— Cóż ja pani mogę powiedzieć? — odrzekł Polaniecki. — Że pan Zawilowski myślał o Ignasiu, to dla mnie rzecz niewątpliwa, i powiem pani dlaczego. Z jakie dziesięć dni temu kazał przynieść jakieś stare bronie, żeby mi je pokazać, przyczem zwrócił się do córki, i słyszałem, jak do niej mówił tak: «Tego nie warto w testamentie wyliczać, ale po mojej śmierci oddaj to Ignasiowi, bo tobie nic po tem». Z tego wnoszę, że albo już był zrobił jakiś zapis dla Ignasia, albo o nim myślał. Więcej nie wiem — bom go o nic nie pytał. Jeśli jakiś nowy testament jest, to za parę dni będzie wiadomo, a panna Helena z pewnością go nie ukryje...

— Czy pan zna dobrze tę pocziwą Helenkę? Ale tak! tak! Pan jej nie zna tak, jak ja — a ja za nią mogę ręczyć. Niech pan jej nigdy przy mnie nie podejrzewa! Helenka miałaby ukrywać testament? — Nigdy, mój panie!

— Zechciej pani laskawie nie przypisywać mi myśli, których nie miałem i przed którymi się zastrzegam. Testamentu w żadnym razie nie można ukryć, bo się go robi przy świadkach.

— A widzi pan, że tego nawet nie można ukryć, bo się to robi przy świadkach. Byłam pewna, że tego nie można ukryć. Zresztą pan

Zawilowski tak kochał Niteczkę, że choćby przez wzgląd na nią, nie mógł zapomnieć o Ignasiu. On ją na rękę nosił, jeszcze jak była taka, ot...

Tu pani Broniczowa umieściła jedną dłoń powyżej drugiej, by w ten sposób dać Polanieckiemu pojęcie, jaką mogła być wówczas Niteczka, po chwili jednak rzekła:

— A może nawet i nie była taka!

Poczem wrócili do reszty towarzystwa, które, skończywszy oglądać ogród, zabierało się do śniadania. Polaniecki, patrząc na wdzięczną twarz panny Castelli, pomyślał, że wówczas, gdy stary pan Zawilowski nosił ją na rękę, mogła być istotnie ślicznem i miłym dzieckiem. Nagle przypomniała mu się Litka, którą on także na rękę nosił, i zapytał:

— Więc to pani tak dawna znajoma nieboszczyka?

— O tak! — odpowiedziała panna Niteczka. — Będzie temu ze cztery... lata... Ciociu, jak to dawno poznałyśmy pana Zawilowskiego?

— O czem ta zakochańa główka myśli! — zawołała pani Broniczowa. — Ach, mój dobry panie! Co to za szczęśliwy wiek i co za szczęśliwa epoka!

Tymczasem Świrski, siedząc przy pannie Ratkowskiej, czuł, że nie tak łatwo będzie mu wywiązać się z obietnicy danej Maryni, jak się

zdawało. Przeszkadzali mu świadkowie, a jeszcze bardziej jakaś niespokojność koło serca, w połączeniu z utratą zwykłej przytomności i swobody. «Pomyśleć, — mówił sobie — że ja jestem większy tchórz, niż przypuszczałem!» I nie szło mu. Chciał przynajmniej przygotować grunt, a mówił o czem innem, niż sobie życzył. Zauważył teraz, że panna Ratkowska ma ładną szyję, z perłowymi tonami koło uszu, i bardzo ładny dźwięk głosu — lecz zauważył z pewnem zdziwieniem, że to onieśmiela go jeszcze bardziej. Po śniadaniu, całe towarzystwo trzymało się, jakby naprzekór, razem. Panie były pomezczone pogrzebem, a gdy w godzinę później pani Aneta oświadczyła, że trzeba wracać, doznał razem uczucia przykrości i ulgi. «Nie moja wina — pomyślał: — ja miałem stanowczy zamiar».

Lecz gdy panie były już na wsiadaniem, uczucie ulgi zmieniło się w nim w żal nad samym sobą. Pomyślał o swej samotności, o tem, że nie ma komu oddać ani sławy, ani dostatku; pomyślał o swoim współczuciu dla panny Ratkowskiej, o ufności, jaką w nim budziła, o szczerzej sympatyi, którą od pierwszego wejrzenia dla niej powziął — i w ostatniej chwili zdobył się na odwagę.

Podawszy więc panience ramię do powozu, rzekł:

— Prosił mnie pan Józef, żebym znów wpadł kiedy do Przytulowa — i dobrze! Wpadnę, ale z paletą i pendzlami. Ja tak chciałbym mieć pani głowę!...

I uciał, szukając w jaki sposób przejść od tego, co powiedział, do tego, o co mu chodziło, a zarazem czując, że trzeba się ogromnie śpieszyć, bo niema czasu. Lecz panna Ratkowska, widocznie nieprzyzwyczajona, by ktoś się nią zajmował, spytała z nieudanem zdziwieniem:

— Moją?

Na to Świrski rzekł prędko, nieco przyciszonym głosem:

— Niech mi pani pozwoli być echem i powtórzyć ten wyraz.

Panna Ratkowska spojrzała na niego, jakby nie rozumiejąc o co chodzi, ale w tej chwili pani Aneta zawołała ją do powozu, tak, że Świrski miał zaledwie czas ścisnąć jej rękę i rzec:

— Do widzenia.

Powóz ruszył. Rozpięte parasolki wnet przysłoniły twarz panny Ratkowskiej, malarz powiódł wzrokiem za odjeżdżającymi i wreszcie zadał sobie samemu pytanie:

— Czym ja się oświadczył, czy nie?

Był jednak pewny, że panna Ratkowska będzie teraz myślała przez całą drogę o tem, co jej powiedział. Mówił sobie również, że znalazł się zřęcznie, i że dobrze skorzystał z jej pytania; pod tym wzgłędem był z siebie zadowolony, ale jednocześnie dziwił się, że nie doznaje ani wielkiej radości, ani niepokoju, i że ma jakieś głuche poczucie, jakby w tem wszystkim czegoś brakło.

Zdawało mu się, że, jak na chwilę tak doniosła, jest za mało wzruszony. I w zamyśleniu zawrócił od bramy ku domowi. Pani Polanieckiej, która widziała z daleka pożegnanie, uszki czerwieniły się z ciekawości, pomimo jednak, że męża nie było w tej chwili w pokoju, nie śmiała pierwsza pytać, lecz za to Świrski w oczach jej wyczytał tak wyraźnie pytanie: «czy się pan oświadczył?» — że uśmiechnął się i odrzekł tak, jakby je zadała:

— Tak pani!... prawie. Niezupełnie... Nie było sposobności do obszerniejszej rozmowy, więc nie mogłem mieć odpowiedzi; nie wiem nawet, czy byłem zrozumiany.

Marynia, nie widząc w nim tego ożywienia, z jakim mówił z nią przedtem, i przypisując to niepokoju, chciała mu dodać otuchy, lecz przeszkodziło jej wejście Polanieckiego. Świrski też poczał się zaraz żegnać, ale, pragnąc wi-

docznie zaspokoić dokładniej przed wyjazdem jej ciekawość, rzekł, nie zważając na obecność Polanieckiego:

— W każdym razie jutro będę w Przytułowie, albo napiszę list; mam nadzieję, że odpowiedź będzie pomyślna.

Poczem ucałował z wielką przyjaźnią jej ręce i po chwili znalazł się sam w swojej drodze, pogrążony w kłębach płowej kurzawy i we własnych myślach.

Jako malarz, tak był przyzwyczajony do chwywania po malarsku rozmaitych nasuwających się oczom szczegółów, że czynił to nawet i teraz, ale mimowoli, bez należytego uświadomienia, jakby tylko powierzchnią mózgu. W głębi zaś zastanawiał się nad wszystkim, co zaszło.

— Co u diabła, Świrsiu! — mówił sobie. — Co się z tobą dzieje? Czyś się nie rozpędzał dwadzieścia pięć lat, żeby przeskoczyć ten rów? Czy nie stało się to, do czego piałeś jeszcze dziś rano? Gdzie twój impet? Gdzie twoja radość? Czemu nie krzyczysz: «Nareszcie! Żenisz się — rozumiesz, stary dziku? Nareszcie! nareszcie!»

Ale było to próżne podniecanie się. Człowiek wewnętrzny pozostał chłodny: rozumiał, że to, co go spotkało, powinno być szczęściem, ale tego nie odczuwał.

Poczęło go ogarniać coraz większe zdziwienie. Postąpił, zdaje się, ze wszelką świadomością i wolą. Nie był dzieckiem, ani lekkoduchem, ani histerykiem, który sam nie wie, czego chce. Wyrozumowawszy raz, że tak będzie dobrze — nie zmienił zdania. Panna Ratkowska była przecie zawsze tą samą słodką, «zaciszoną», bardzo pewną istotą — czemuż myśl, że ona zostanie tem jego upragnionem oddawna «kobieciątkiem», nie rozgrzewała go silniej? Dlaczego nadzieja, zmieniona już niemal w pewność, nie zmieniała się zarazem w radość, a na dnie duszy zostało mu poczucie jakby jakiegoś zawodu?

— To, co jej powiedziałem, — pomyślał — mogło być zręczne, ale było suche. Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli to nie było suche, a przytem i niezupełne. Po prostu nie mam jeszcze pewności i nie odczuwam rzeczy, jakby już spełnionej.

Tu wrażenia malarskie przerwały mu wątek myśli. Owce, rozproszone na przyległej pochyłej łące, przesłonięte oddaleniem i zarazem skąpane w słońcu, wydawały się na zielonem tle jak jasne plamy, z odcieniem mocno błękitnym, obramowane złotem.

— Te owce są niebieskie; impresyoniści mają trochę racji, — mruknął Świrski — ale niech ich dyabli porwą! Ja żenię się!

I wrócił do swoich rozmyślań. Tak!... Skutek nie odpowiedział nadziei i oczekiwaniom. Bywają różne myśli, których człowiek nie chce sobie wypowiedzieć, ale bywają i poczucia, których nie chce zmienić w wyraźne myśli. Tak było ze Świrskim. Nie kochał panny Ratkowskiej — i oto była gotowa, prosta odpowiedź na wszystkie pytania, które sobie zadawał. Ale on ją omijał, póki mógł. Nie chciał przyznać, że bierze tę dziewczynę tylko dlatego, że ma ogromną ochotę się żenić. Pragnął wytłumaczyć sobie, że nie odczuwa rzeczy, jako już spełnionej, co było wykrętem. Nie kochał! Inni przez kobietę dochodzili do miłości, on zaś do swojej ogólnej, wewnętrznej potrzeby kochania chciał dostosować kobietę, to jest, poszedł drogą wprost od zwykłej odmienną. Inni, mając bóstwo, budowali dla niego kościół, on, mając gotowy kościół, wprowadzał sobie do niego bóstwo, nie dlatego, że je poprzednio z całej mocy uwielbił, ale że mu się wydało niezłe do architektury świątyni dopasowaniem. I teraz rozumiał, czemu jeszcze dziś rano okazywał tyle zapału i stanowczości, a teraz pozostał taki chłodny. Tem tłumaczył się i ów ogromny impet w przeprowadzeniu zamiaru, i ów brak duchowego «alleluja!» po jego przeprowadzeniu.

Zdziwienie Świrskiego poczęło przechodzić

w smutek. Pomyślał, że byłby może lepiej zrobił, gdyby, zamiast tyle rozmyślać o kobiecie, zamiast tworzyć teorie, jaką kobieta być winna, złapał za pierwszą lepszą dziewczynę, któraby mu przypadła do serca i zmysłów. Teraz pojął, że kocha się tę kobietę, którą się kocha i nie dopasowywa się do niej żadnych z góry powziętych pojęć o miłości, bo te pojęcia — jak dzieci — dopiero z kobiety mogą się rodzić. Wszystko to było mu tem dotkliwsze, że jednak czuł, iż mógłby ogromnie kochać i uświadamiał coraz dokładniej, że nie kocha, jakby mógł. Przypomnił sobie, co mu w swoim czasie opowiadał jeszcze w Rzymie Polaniecki o jakimś młodym lekarzu, który podeptany przez jakąś bezmyślną lalkę, mówił: «Ja wiem, jaka ona jest, ale nie mogę duszy od niej odedrzeć». Oto była miłość mocna jak śmierć — oto ten kochał!... Nie wiadomo, dlaczego naraz przyszła Świrskiemu na myśl panna Castelli i Zawilowski? Przypomnił sobie również jego zapatrzoną i jakby wniebowziętą twarz, którą widywał w Przytulowie.

I znów zbudził się w nim artysta, który wskutek całych lat nawyknienia, podstawiał się w człowieka nawet wówczas, gdy człowiek myślał o rzeczach najbardziej osobistych. Na chwilę zapomniał o sobie, o pannie Ratkowskiej,

a począł myśleć o twarzy Zawilowskiego i o tem, co właściwie stanowiło najistotniejszy jej wyraz? Jakaś skupiona egzaltacya? — tak! — ale było i coś innego — coś jeszcze istotniejszego.

I nagle drgnął:

— Dziwna rzecz — pomyślał: — to jest głowa tragiczna!

LV.

W kilka dni później, Zawilowski wezwany przez Polanieckiego, pojechał do miasta. Młodeму człowiekowi bardzo nie chciało się opuszczać Przytułowa, ale panna Helena życzyła sobie, by koniecznie był obecny przy otwarciu testamentu ojca. Obaj z Polanieckim i z prawnikiem starego pana Zawilowskiego, adwokatem Kononowiczem, udali się w tym celu do Jaśmienia. Gdy jednak przez dwa następne dni, w listach do «Niteczki», Zawilowski wylewał tylko swoje uczucia na papier, nie czynił zaś najmniejszej wzmianki o testamencie, pani Broniczowa, którą przedtem wprowadzały w zachwyt ta wylewy, wyznała teraz pod sekretem pani Anecie, że po pierwsze: jest to głupi sposób pisywania do narzeczonej, a powtóre, że jest

«quelque chose de louche» w takim, jakby umyślnem, milczeniu. Wprawdzie, pierwszy z tych listów pisany był z miasta, drugi natychmiast po przyjeździe do Jaśmienia; stara dama twierdziła jednak, że w każdym razie Zawilowski powinien był w nich wspomnieć przynajmniej o swoich nadziejach, milcząc bowiem, okazywał «Niteczce» brak zaufania i prosto ją obrażał.

Osnowski twierdził przeciwnie, że Zawilowski zamilczał o swych nadziejach przez delikatność względem panny Linety, i z tego powodu przyszło do malej sprzeczki między nią a panią Broniczową, która przy tej sposobności wygłosiła pewnik psychologiczny, że mężczyźni wogóle mają nader słabe pojęcie o dwóch rzeczach, mianowicie: o logice i delikatności. «Och, tak! — i o logice! może nie wasza wina, że tacy jesteście, ale tacy jesteście, mój Józiu, wszyscy!» Nie mogąc jednak usiedzieć na miejscu, po dwóch dniach, pod pierwszym lepszym pozorem, wyjechała do miasta, aby zasięgnąć w sprawie testamentu języka.

Wróciwszy nazajutrz, przywiozła z sobą naprzód panią Maszkową, z którą spotkała się na przytułowskiej stacyi, a która chciała już oddawna «tę kochaną Anetkę» odwiedzić, a powtóre, wiadomość, że nie znaleziono żadnego

nowego testamentu pana Zawilowskiego, i że jedyną i wyłączną spadkobierczynią ogromnego majątku została panna Helena Zawilowska. Wiadomość znaną już była w Przytułowie z trzeciego listu pana Ignasia, który przez ten czas odebrała panna Lineta, niemniej jednak potwierdzenie jej przez panią Broniczową sprawiło nadzwyczajne wrażenie, tak, iż przyjazd pani Maszkowej przeszedł, jak niepostrzeżony. Było to wszystko ogromnie dziwne. Zawilowskiego poznały te panie, jako człowieka bez majątku. Panna Lineta została jego narzeczoną wówczas, gdy nie było jeszcze żadnych widoków na testament. Stało się to naprzód pod wpływem pani Anety, która «palila pod kotłami tak, iż trzeba było jechać i jechać prędko»; stało się tak pod wpływem ogólnego zapалу, jaki wzbudziły poezye Zawilowskiego, pod wpływem jego sławy; przez miłość własną panny Linety i pani Broniczowej, która to miłość własna czuła się nie tylko zadowoloną, ale porwaną tem, że ów sławny i rozgłosny Zawilowski, zwracający na siebie wszystkie oczy, klęknął u nóg nie żadnej innej — tylko «Niteczki». Stało się wreszcie dla opinii ludzkiej, która mogła tylko wysławić pannę, szukającą nie majątku, ale takich bogactw, jakie posiadał Zawilowski. Prawda, że rozpoczynawszy się w ten sposób, wszystko poszło

dalej także i siłą tego życiowego pędu, który, raz porwawszy ludzi, niesie ich tak, jak fale rzek niosą porwane przez się przedmioty — mimo ich woli. Bądź co bądź, jednak panna Castelli została narzeczona człowieka bez majątku — i gdyby nie owe nadzieje, które otworzyły się później, ani ona sama, ani pani Broniczowa, ani nikt inny nie mógłby brać i nie brałby Zawilowskiemu za złe braku dziedzicznej fortuny. Ale taka jest natura ludzka, iż właśnie dlatego, że te nadzieje powstały i, powstawszy, uczyniły z Zawilowskiego nadomiar wszystkiego znakomitą partyę — teraz, gdy rozwiął je wiatr rzeczywistości, nikt nie mógł oprzeć się poczuciu pewnego zawodu. Jedni martwili się tem szczerze, drudzy, jak Kopowski i pani Maszkowa, (która sama nie wiedziała dlaczego), czuli pewne zadowolenie z takiego obrotu rzeczy, ale poczuciu pewnego zawodu nie mógł się oprzeć nawet tak serdeczny przyjaciel Zawilowskiego, jak Osnowski.

Zawilowski, w ostatnim liście do panny Linety, pisał między innemi: «Chciałbym być jak najbogatszy — dla ciebie, ale co mi tam to wszystko znaczy wobec ciebie! Szczerze ci mówię, żem przestał o tem myśleć, a wiem, że ty, która nie chodzisz po ziemi, mogłabyś się zmartwić tem tylko o tyle, o ile ja bym się zmartwił.

A ja nie! jak ciebie kocham! To wielkie zaklęcie, ogromnie dla mnie święte, więc powinnaś mi wierzyć. Ludziom grożą w życiu rozmaite braki i niedostatki, ale ja ci poprostu mówię, że cię nie dam żadnemu. Moja ty złota! moja jedyna dziecino i pani» — i t. d. Panna «Niteczka» pokazała ten list pani Anecie, pannie Ratkowskiej, a po przyjeździe cioci — oczywiście i cioci. Jakoż Zawilowski nie mylił się co do niej, przynajmniej pod tym względem, że gdy w całym Przytułowie nie było mowy o czem innem, tylko o testamencie starego pana Zawilowskiego, panna Lineta wśród tych rozmów milczała. Może tylko oczy jej przybrały do pewnego stopnia dawniejszy senny wyraz, może przy samych kącikach jej ust, gdy mówiono o Zawilowskim, zbierało się coś naksztalt malej pogardliwej faldki, może wreszcie rozmawiała wieczorami bardzo obszernie z «ciocią», gdy po ogólnem dobranoc odchodziły do siebie; nigdy jednak, prawdziwie jak istota, która «nie chodzi po ziemi», nie zabrała głosu w tej sprawie przy ludziach.

«Koposio» raz w chwili, gdy na minutę zostawiono ich sam na sam, począł z nią o tem mówić, ale ona naprzód położyła paluszek na własnych ustach, a potem odwróciła go z daleka ku jego ustom, na znak, że sobie tego nie

życzy. Co więcej, nawet pani Broniczowa odzywała się przy niej o swoich zawodach mało i ostrożnie. Natomiast, gdy jej nie było w pokoju, nie mogła zatamować przypływu do ust nagromadzonej w sercu goryczy, który to przypływ uniósł ją kilkakrotnie tak dalece, że o mało nie pokłócili się z Osnowskim.

Osnowski bowiem, wyrzucając sobie w duchu owo poczucie zawodu, od którego i on nie mógł się obronić, starał się teraz wszelkimi siłami zmniejszyć znaczenie katastrofy i dowieść, że Ignas jest wogóle wyjątkową partya, a nawet i pod względem finansowym wcale niezłą.

— Nie myślę, — mówił — że byłby przestał pisać, odziedziczywszy po starym panu Zawilowskim, ale sama administracya tak ogromnego majątku byłaby mu zajęła tyle czasu, że jego talent mógłby na tem ucierpieć. Jak chodzi o Ignasia, to widzi ciocia, mimowoli przypomina się, co Henryk VIII powiedział, gdy któryś z książąt zagroził Holbeinowi: «Z dziesięciu chłopów zrobię, gdy mi przyjdzie fantazyja, dziesięciu lordów, ale z dziesięciu lordów nie zrobię jednego Holbeina». Ignas jest wyjątkowy człowiek. Niech mi ciocia wierzy, że zawsze uważał Niteczkę za urocze i pocziwe dziecko i zawszem ją lubił, ale prawdziwie dopiero urosła

w moich oczach od czasu, jak potrafiła się poznać na Ignasiu... Być czemś w życiu takiego człowieka, to przecie jest zadanie, którego każda kobieta mogłaby jej pozazdrościć. Prawda, Anetko?

— Naturalnie, — odrzekła pani Osnowska — że kobiecie jest przyjemniej, gdy należy do człowieka, który jest czemś.

Osnowski zaś odrzekł, wpół śmiejąc się, wpół poważnie:

— A myślisz, że mnie to nieraz nie trapi, że taka istota, jak ty, należy do takiego zera, jak pan Józef Osnowski? Ale trudna rada! stało się! A przytem to zero bardzo kocha...

Poczem zwrócił się do pani Broniczowej:

— Niech też ciocia pomyśli, — rzekł — że Ignas ma kilkanaście tysięcy rubli swoich, a przytem po śmierci ojca weźmie to, co mu stary pan Zawilowski zapewnił. Biedny on nie będzie...

Pani Broniczowa ruszyła pogardliwie głową:

— Ach, naturalnie — odrzekła. — Niteczka, zgodziwszy się na pana Zawilowskiego, nie szukała przecie pieniędzy, bo, gdyby była szukała pieniędzy, dość nam było ręką kiwnąć na pana Kanafaropulośa...

— Ciociu! litości! — zawołała, śmiejąc się, pani Aneta.

— A więc nie się nie stało — rzekł Osnowski. — Panna Helena z pewnością za mąż nie pójdzie, więc i tak majątek kiedyś przejdzie, jeśli nie na Ignasia, to na jego dzieci — ot i cała rzecz!

Widząc jednak pogiębioną ciągle twarz pani Broniczowej, po chwili dodał:

— No, ciociu! więcej zgody na wolę Boską! więcej pogody! Ignas ani na cal nie mniejszy!...

— Ach, naturalnie — odrzekła z odcieniem złego humoru. — Naturalnie, że to wszystko nie nie zmieni. Zawilowski swoją drogą ma talent, a swoją drogą, każdy musi przyznać, że robi partyę nad swoje spodziewanie. O tak! o tem nie może być dwóch zdań. Naturalnie, że mniejsza o ten majątek, tem bardziej, że ludzie różnie mówią o sposobach, jakimi go pan Zawilowski tak bardzo powiększył. Niech mu tam Bóg będzie łaskaw i niech mu przebaczy, że mnie zwiódł, nie wiadomo dlaczego... Jeszcze dziś modliliśmy się z Niteczką za niego... Trudna rada!... Naturalnie wołałabym, żeby nie miał tej skłonności do mówienia nieprawdy, bo to może być familijne; wołałybyśmy także obie z Niteczką, żeby pan Ignacy mniej był dawał do zrozumienia, że zostanie spadkobiercą pana Zawilowskiego...

— Przepraszam najmocniej! — przerwał ży-

wo Osnowski — nigdy nie dawał!... Pozwoli ciocia! to już nadto! Nie chciał tam iść, ciocia go sama przy mnie wyprawiała.

Lecz pani Broniczowa była już w biegu, i nie jej nie mogło zatrzymać, więc odrzekła ze wzrastającym rozdrażnieniem:

— To Józiowi nie dawał, a mnie dawał. Niteczka może zaświadczyć. Powiedziałam zresztą Józiowi, że mniejsza z tem. Naturalnie, że nie się nie zmieni, i jeżeli mam trochę zmartwienia, to bynajmniej nie z tego powodu. Józio nie był nigdy matką i, jako mężczyzna, nie potrafi zrozumieć, ilu my, matki, doznajemy obaw w ostatnich chwilach przed oddaniem dziecka w obce ręce. Dowiedziałam się dopiero teraz oto, że Zawilowski, przy wszystkich swych przymiotach, ma gwałtowny charakter... I ma! Ja go zawsze o coś podobnego podejrzewałam... A jeśli tak jest, to byłaby to wprost śmierć dla Niteczki... Sam pan Polaniecki nie zaprzeczył, że on ma gwałtowny charakter... Sam Polaniecki, niby jego przyjaciel, (o ile mężczyźni zdolni są do przyjaźni), dał do zrozumienia, że ojciec jego miał także gwałtowny charakter i że wskutek tego dostał pomieszania zmysłów, które może być dziedziczne. Wiem, że pan Ignacy niby Niteczkę kocha, (o ile mężczyźni zdolni są na prawdę kogoś kochać), ale czy to na długo bę-

dzie tej miłości? Że on jest trochę egoista — temu sam Józio nie zaprzeczy (zresztą, wy wszyscy jesteście egoiści); więc niechże Józio nie dziwi się, że mnie w ostatnich chwilach strach bierze, gdy pomyślę, że moja dziecinka może się dostać w ręce okrutnika, waryata i egoisty...

— Nie! — zawołał Osnowski, zwracając się do żony — jak ciebie kocham, tak poprostu uszy wiedną! Poprostu można głowę stracić!

Lecz pani Aneta zdawała się bawić tą rozmową, jak w teatrze. Sprzeczki pani Broniczowej z mężem bawiły ją zawsze, teraz zaś zanosilo się na większą, niż zwykle, albowiem pani Broniczowa, spojrzawszy na Osnowskiego, jakby z politowaniem, mówiła dalej:

— Przytem ta sfera!... Ci wszyscy Swirscy, Polanieccy, Bigiele! Wszyscyśmy byli i jesteśmy zaślepieni w Zawilowskim, ale prawdę mówiąc, czy to sfera odpowiednia dla Niteczki?... To trudno! różnice między ludźmi sam Pan Bóg postanowił, i stąd płyną różnice w wychowaniu. Józio może nie zdaje sobie dokładnie z tego sprawy, (bo wogóle mężczyźni z takich rzeczy nie umieją sobie zdać sprawy), ale ja Józiovi powiem, że są odcienie i odcienie, które w życiu mogą ogromnie dużo stanowić. Józio chyba zapomniał, kto jest Niteczka, i że jeśli taką

Niteczkę raz coś zaboli, coś zrazi, to może to życiem przyplacić. Niech Józio pomyśli, kto są, między nami mówiąc, tacy Polanieccy, taki Świrski i cała ta kompania, z którą żyje Zawilowski i z którą będzie może zmuszał żyć Niteczkę!

— A! z tego stanowiska rzecz bierzemy? — przerwał Osnowski. — Dobrze! Niech będzie z tego! Przedewszystkiem tedy, kto był stary pan Zawilowski, to ciocia wie dobrze, choćby ze względu na swój własny do niego stosunek. Jeśli cioci chodzi o sferę, to mam zaszczyt powiedzieć, że my wszyscy, w stosunku do takich Polanieckich, jesteśmy parweniuszami, i że to my poufaliśmy się z nimi. Ja się nigdy w żadne rodowody nie wdaję, ale skoro ciocia ich chce, to niechże je ciocia ma. O Świrskich musiała ciocia słyszeć, że są kniaziami. Ta linia przeniosła się do Wielkopolski, porzuciła tytuł, ale prawo do niego posiada. Oto, czem są oni. A co do nas, mój dziad był plenipotentem na Ukrainie i tego nie myślę się wypierać, skąd zaś wyrosli Broniczowie, ciocia wie lepiej ode mnie. Ja nie poruszałem tej materyi, ale ponieważ jesteśmy sami, więc możemy mówić otwarcie. O Castellich także ciocia wie.

— Castellowie pochodzą od Marino Falieril... — zawołała z uniesieniem pani Broniczowa.

— Kochana ciociu! przypominam, że jesteśmy sami.

— Ale od Niteczki tylko zależało zostać margrabiną Colimação.

— «La vie parisienne!» — odpowiedział Osnowski. — Zna ciocia tę operetkę? Jest w niej także admirał szwajcarski.

Pani Aneta bawiła się doskonale, Osnowskiemu jednak uczyniło się nagle przykro, że we własnym domu poruszył niemile dla pani Broniczowej wspomnienia, więc dodał:

— Ale na co to wszystko? Ciocia przecie wie, jak ja Niteczkę zawsze kochałem, i jak z duszy serca chciałbym, żeby się okazała godną Ignasia.

Lecz było to tylko dolaniem oliwy do ognia, pani Broniczowa bowiem, usłyszawszy bluźnierstwo, straciła do reszty zimną krew i zawołała z nowym wybuchem:

— Niteczka?... żeby się okazała godną Ignasia?... takiego...

Na szczęście, wejście pani Maszkowej przerwało dalszą rozmowę. Ciocia Broniczowa umilkła, jak gdyby oburzenie uwięziło jej słowa w ustach, pani Aneta zaś poczęła zaraz wypytować panią Maszkową, co się dzieje z resztą towarzystwa i gdzie ich zostawiła.

— Pan Kopowski, Niteczka i Stefcia zostali

w oranżeryi — odpowiedziała pani Maszkowa; — one obie rysują storczyki, a pan Kopowski nas bawił.

— Czem? — spytał Osnowski.

— Rozmową... i uśmiełyśmy się serdecznie. Opowiadał nam, że jego znajomy, pan Wyż, który podobno jest wielkim heraldykiem, zaręczał mu zupełnie poważnie, że jedna rodzina w Polsce jest herbu «Stołowe nogi».

— Czy jedna?... — mruknął wesoło Osnowski. — Rodzina Kopowskich z pewnością!

— A Stefcia została także w oranżeryi? — zapytała pani Aneta.

— Tak. Razem rysują.

— Chcesz iść do nich?

— Dobrze.

Lecz w tej chwili służący przyniósł listy, które pan Osnowski, odebrawszy od niego, przeglądał i oddawał. «Dla Anetki, dla Anetki! — mówił — ta mała literatka ma zawsze ogromną korespondencyę... Dla pani — dodał, zwracając się do pani Maszkowej; — dla cioci... a to do Stefci... Znajomy jakiś charakter... całkiem znajomy... Panie pozwól, że ja odniosę ten list».

— Owszem, idź tam — rzekła żywo pani Aneta. — My tymczasem przeczytamy nasze. Osnowski wziął list i poszedł w stronę cie-

plarni, przypatrując mu się i powtarzając przez drogę:

— Skądś znam ten charakter... to jakby...
Wiem, że już widział to pismo!

W cieplarni znalazł troje młodych ludzi, siedzących pod wielkim arumem, przy żelaznym żółtym stoliku, na którym stał storezyk. Obie panny przerysowywały go w malarskich albumach. Kopowski zaś, nieco za nimi, przybrany we flanelowy biały kostium i czarne pończochy, zaglądał przez ramiona panienek do albumów, paląc przytem cieniutkiego papierosa, którego przed chwilą wydobyl z wykwintnej, leżącej koło doniczki, papierośnicy.

— Dzień dobry! — rzekł Osnowski. — Cóż moje storezyki? Pyszne, prawda? Co to za osobliwe kwiaty! Stefcu, jest tu do ciebie list... Przeproś tych państwa i przeczytaj, bo mi się zdaje, że znam charakter, a nie mogę sobie żadną miarą przypomnieć, czyjby mógł być.

Panna Ratkowska otworzyła list i poczęła czytać. Po chwili zmieniła się na twarzy, po czole jej przeszedł płomień, potem bladość i znów płomień. Osnowski patrzył na nią z zainteresowaniem, ona zaś, skończywszy czytać, pokazała mu podpis i rzekła trochę drżącym głosem:

— Oto od kogo list...

— A!... — rzekł Osnowski, który nagle wszystko zrozumiał.

— Czy mogę cię prosić o chwilę rozmowy?

— Natychmiast, moje dziecko — odrzekł jakby z pewnem rozrzewnieniem Osnowski. — Służę ci.

I wyszli z cieplarni.

— A nas to przecie zostawili choć raz samych! — ozwał się naiwnie Kopowski.

Panna Lineta nie odpowiedziała nic, tylko wzięwszy leżącą na stole irchową papierośnicę Kopowskiego, poczęła się nią gładzić zlekka po twarzy. On zaś patrzył na tę piękną twarz swemi cudnemi oczyma, pod któremi poprostu tajała... Panna Lineta wiedziała oddawna, co o nim sądzić, jego bezgraniczna głupota nie miała już dla niej tajemnic, a jednak wykwintność i niezrównana uroda tego głuptaka wprawiała w jakiś niezwykły ruch jej nawpół włoską krew. Każdy włos w jego brodzie miał dla niej jakiś dziwny i nieprzeparty urok.

— Bo czy pani uważa, że nas to od jakiegoś czasu tak doglądają, jak nie wiem kogo? — mówił dalej Kopowski.

A ona, udając, że nie słyszy, ciągle gładziła papierośnicą swoją delikatną twarz, i zbliżając ją coraz bardziej ku ustom, rzekła:

— Jaka ta ircha przyjemna w dotknięciu! Niech pan zobaczy, jakie to przyjemne...

Kopowski wziął papierośnicę, ale przyłożył ją do ust i począł całować zlekka miejsce, które przed chwilą dotykało twarzy Linety.

Wówczas nastąpiło między nimi milczenie.

— Musimy stąd odejść — rzekła panna Castelli.

I wzięwszy doniczkę ze storczykiem, chciała ją założyć na cieplarniane schodki, czego jednak, z powodu ich pochyłości, nie mogła uczynić.

— Niech pani pozwoli — rzekł Kopowski.

— Nie, nie! — odpowiedziała — upadnie i rozbije się. Założę z drugiej strony.

I to rzekłszy, z doniczką w ręku obeszła schodki i udała się na drugą ich stronę, gdzie między niemi a ścianą był wązki korytarzyk. Kopowski udał się za nią.

Tam, wstąpiwszy na kupkę cegieł, założyła doniczkę na najwyższy schodek, lecz w chwili, gdy chciała zejść, cegły poruszyły się pod jej stopami, tak, iż poczęła się chwiać. W tej również chwili stojący za nią Kopowski chwycił ją wpół.

— Co pan robi... to źle! — poczęła szeptać z falującą piersią, oblewając go gorącym oddechem.

On zaś, zamiast odpowiedzieć, wpil wąsy

w jej usta. Nagle ramiona jej objęły namiętym ruchem jego szyję, i bez tchu poczęła mu zapamiętałe oddawać pocałunki.

I w uniesieniu nie spostrzegli oboje, że Osnowski, wróciwszy przez otwarte drzwi cieplarni, przeszedł po miękkim piasku na schodki i patrzył na nich z twarzą zmienioną i bladą ze wzruszenia, jak płótno.

LVI.

Zawilowski bawił tymczasem między Warszawą a Buczynkiem, przejeżdżając codziennie i bawiąc po kilka godzin to tu, to tam, w miarę, jak nakazywały mu jego sprawy i zajęcia. Ponieważ ślub jego miał nastąpić jesienią, zaraz po powrocie z Scheveningen, Polaniecki powiedział mu, że czas już wyszukać mieszkanie i urządzić je choć jako tako. Obaj z Bigielem obiecali w tej sprawie wszelką pomoc, pani Bigielowa zaś miała się zająć gospodarską częścią urządzenia. W Buczynku obecność Zawilowskiego była również potrzebna ze względu na stosunki z panną Heleną. Ta, jakkolwiek datowany z przed roku testament ojca uczynił ją jedyną spadkobierczynią całego ogromnego ma-

jątku, nie ukrywała bynajmniej, iż wie, że ojciec nie zrobił innego testamentu tylko dlatego, że albo nie przewidywał tak prędkiej śmierci, albo, zwyczajem starych ludzi, z dnia na dzień odkładał. Nie miała jednak najmniejszej wątpliwości, iż ojciec chciał coś uczynić dla imienika i krewnego — i mówiła otwarcie, że poczytuje sobie za obowiązek sumienia spełnić ojcowską wolę. Nikt nie umiał wprowadzić przewidzieć, w jakiej mierze postanawia to uczynić, i jej samej, przed spisaniem dokładnego inwentarza wszystkich majątków i kapitałów, trudno było na podobne pytanie odpowiedzieć; tymczasem jednak poczęła obdarzać Zawilowskiego tem wszystkiem, co, wedle jej mniemania, powinni byli męscy spadkobiercy dziedziczyć. W ten sposób oddała mu część kredensu po nieboszczyku, znaczny i cenny zbiór broni, w której zmarły się kochał, zbytkowne, umiłowane przez staruszkę konie, które Polaniecki wziął w komis — i następnie ową kolekcję fajek, o której losy tak w swoim czasie troszczył się Kopowski.

Zimna i pozornie obojętna dla wszystkich, onieśmielająca ludzi surowym i skupionym wyrazem twarzy, miała dla jednego tylko Zawilowskiego jakieś matczyne niemal odcienie w głosie i spojrzeniu, jakby razem z majątkiem odzie-

dziczyła po starym ojcu i przychylność dla młodego człowieka. Jakoż i rzeczywiście był on jedyną na świecie istotą, z którą łączyły ją pewne węzły krwi, a przynajmniej tożsamość nazwiska. Dowiedziawszy się od Połanieckich o zachodach Zawilowskiego co do urzędu mieszkania, prosiła Połanieckiego, by na wydatki tegoż urzędu złożył od niej w banku sporą sumę na imię «pana Ignasia», prosząc jednak, by mu odrazu o tem nie wspominał.

Zawilowski, który miał młode i wdzięczne serce, przywiązał się do niej prędko — jak do starszej siostry — i ona to czuła doskonale. Była to wzajemna sympatya dwóch natur, które życzą sobie dobra i mają do siebie ufność. Czas przeradza zwykle tego rodzaju początkowe sympatye w ogromnie trwałą przyjaźń, która w złych zmianach życia może być również ogromnem oparciem. Ale w tej chwili Zawilowski mógł jej poświęcić drobnouchną zaledwie część duszy, gdyż i duszę, i serce, i wszystkie siły włożył z całą wyłącznością fanatyka w miłość dla ubóstwianej coraz bardziej «Niteczki».

Tymczasem zaś kręcił się, jak mucha w ukropie, i między Buczynkiem a miastem czynił nawet nowe znajomości. Jedną z nich był profesor Waskowski, który wrócił ze swej pielgrzymki między «najmłodszych z Aryów». Zwiedził wszystkie

pobrzeża morza Adryatyckiego i cały półwysep Bałkański, ale stan jego zdrowia tak był opłakany, że Polanieccy zabrali go na stałe do Buczynka, by ochronić go od wyzyskiwania i dać mu odpowiednią opiekę, której w swoim osamotnieniu byłby gdzieindziej nie znalazł. Zawilowski, który sam był człowiekiem egzaltowanym i gotowym odczuć wszelką szerszą ideę, choćby wydawała się wszystkim rozsądnym głupcom niedorzeczną, pokochał od pierwszego dnia starego profesora, razem z jego teorią historycznej misji, przeznaczoną najmłodszym z Aryów. O teorii tej słyszał już poprzednio niejednokrotnie od Świrskiego i Polanieckich — i uważał ją za wspaniałe marzenie. Lecz i jego, i Świrskiego, i Polanieckich uderzyło teraz to, że profesor po powrocie ze swej podróży prawie o niej nie wspominał. Gdy go zapytywano o jego książkę i podróż, odpowiadał tylko: «Nikt nie może się uchylić od służby, którą mu Chrystus przeznaczył» — poczem wlepiał przed siebie swoje mistyczne oczy, jakby czegoś szukał, lub czegoś upatrywał w nieskończoności — i stara twarz jego przybierała wyraz tak głębokiego smutku, a nawet takiego bólu, że nikt nie miał serca poruszać szczegółowiej tej kwestyi. Wezwany przez Polanieckich lekarz oświadczył, że zbyt tłusta kuchnia najmłodszych z Aryów na-

bawila starego człowieka kataru żołądka, do czego przyłączył się «marasmus senilis». I profesor rzeczywiście miał ciężki katar żołądka, ale Zawilowski odgadywał w nim jeszcze co innego, mianowicie rozpaczliwą walkę między tem, w co wierzył i czemu, jak prawdziwy idealista-maniak, poświęcił całe życie, a zwątpieniem. Jeden Zawilowski rozumiał całą tragedję takiego końcowego: «ergo erravi» — i wzruszał się nią podwójnie, bo jako człowiek z sercem i jako poeta, który widział natychmiast temat do poematu: obraz starca, siedzącego w słońcu przed domem, na ruinie życia, wierzeń i czekającego ze słowami: «marność marność» na śmierć, której krok słychać z oddalenia.

Z profesorem jednak może jeszcze nie było tak źle, jak sobie wyobrażał Zawilowski. «Najmłodsi z Aryów» mogli go wprowadzić zawieść, ale pozostała wiara, że chrześcijaństwo nie wypowiedziało jeszcze ostatniego swego słowa, i że następna epoka w życiu ludzkości nie będzie czem innem, jeno rozszerzeniem ducha Chrystusowego i przeniesieniem go ze stosunków między jednostkami na stosunki ogólnoludzkie. «Chrystus w dziejach» nie przestał być dla niego widzeniem przyszłości. Wierzył nawet zawsze, że misja wprowadzenia miłości do dziejów

przeznaczona została najmłodszemu z Aryów — tylko od czasu podróży ogarnął go głęboki smutek, zrozumiał bowiem, że przedtem jeszcze nie tylko on, ale całe pokolenia muszą pomrzeć na katar żołądka, spowodowany niestrawną kuchnią księstw naddunajskich.

Tymczasem zamknął się w sobie i w milczeniu, które miało raczej pozory goryczy życiowej, niż było nią rzeczywiście. O swojej «idei» wprost prawie nie mówił, widać jednak było, że, jak wskazówki zegara, zatrzymane na jednej godzinie, zawsze pokazują tylko tę jedną, tak i wskazówka jego umysłu nie schodziła z owej idei; na rozmaite bowiem pytania odpowiadał słowami, które były raczej w związku z nią, niż z rzeczą, o którą go pytano. Ilekroć chciano przywołać go do rzeczywistości, trzeba go było budzić. Zaniedbał się też do reszty w ubraniu i codzien więcej zdawał się zapominać, że naprzykład guziki przy kamizelce służą do tego, by było na co ją zapiąć. Ze swoim wiecznem roztargnieniem, ze swemi oczyma zarazem krótkowidza i dziecka, odbijającemi niejako mechanicznie wrażenia zewnętrzne, z twarzą zamyśloną, na której wypieki stały się wskutek złego trawienia jeszcze silniejsze, na koniec w zaniedbanem ubraniu i dziwacznych pantalonach, które, niewiadomo dlaczego, nosił

dwa razy tak szerokie jak wszyscy, budził w obcych wesołość i stawał się często przedmiotem mniej lub więcej złośliwych żartów. Zdaje się, że podobne uczucia budził przede wszystkim w «najmłodszych z Aryów». Wogóle poczytywano go za człowieka, którego klepkom w głowie brak obręczy. Niektórzy okazywali mu nawet politowanie. Wyraz «nie-szkodliwy» odbijał się często w jego uszach, ale on zdawał się go nie słyszeć.

Czuł jednak, że u Polanieckich jest mu dobrze, że nikt nie wyśmiewa się z niego, ani też nie okazuje mu takiej litości, jaką okazuje się idyocie. Zresztą, ani zbyt tłusta kuchnia «najmłodszych z Aryów», ani katar żołądka nie odjęły mu jego niezmiernej wyrozumiałości i przychylności dla ludzi. Był to zawsze ten sam stary profesorzyśko, który zapominał o sobie, ale odzyskiwał przytomność, gdy chodziło o innych. Po staremu kochał Marynię Polaniecką, Polanieckiego, panią Emilię, Świrskiego, Bigielów, nawet Maszkę, słowem wszystkich, z którymi zbliżyło go życie. W ogólności miał o ludziach jakieś dziwne pojęcie, że wszyscy, czy chcą, czy nie chcą, czemuś służą, i że są jakby pionkami, które posuwa ręka Boża w wiadomych sobie celach. Artystów takich, jakim był

Świrski, uważał za posłanników, którzy «prze-
jednywają».

W taki sam sposób patrzył na Zawilow-
skiego, którego poezye czytał poprzednio. Po-
znawszy ich autora, przypatrywał mu się tak
ciekawie, jakby jakiejs osobliwości, nazajutrz
zaś, gdy młody człowiek odjechał do miasta,
i gdy przy herbacie poczęto o nim mówić, pod-
niósł palec i, zwróciwszy się do Maryni, rzekł
z tajemniczą miną:

— O! to Boży ptak! Ani on wie, co mu Bóg
na głowie napisał i do czego go przeznaczył.

Marynia poczęła mu opowiadać o blizkiem
małżeństwie Zawilowskiego, o jego uczuciu dla
panny Linety i o niej samej, wychwalając jej
dobroć i piękność.

— Tak! — rzekł, wysłuchawszy profesor. —
Widzisz? I ona ma swoją misję, i ona «wy-
brana». Bóg jej kazał czuwać nad takim pło-
mieniem, a skoro została wybrana, to trzeba
ją czcić jak wybraną... Widzisz? Łaska jest
nad nią.

Poczem zamyślił się i dodał:

— Wszystko to jest dla ludzkości droga
w przyszłość.

Połaniecki spojrział na żonę, jakby jej chcąc
powiedzieć wzrokiem, że profesor marzy też

związku, lecz on przymrużył nieco oczy i, patrząc przed siebie, mówił dalej:

— Bo jest na niebie droga mleczna, i jak Bogu potrzeba, to bierze z niej kurzawę i tworzy nowe światy. A widzicie, ja myślę, że jest taka sama droga mleczna duchowa, złożona ze wszystkiego, co ludzie myśleli i czuli. Wszystko w niej jest: i to, co zrobili geniusze, i dzieła talentów, i wysiłki myśli męskiej, i uczciwość kobiecych sere, i ludzka dobroć, i ludzkie bóle: nie ginie, choć wszystko się w pył obraca, bo z tego pyłu, za wolą Boską, tworzą się nowe duchowe światy dla ludzi.

Tu jął mrugać oczyma, rozważając to, co powiedział — poczem, jakby przebudziwszy się, począł szukać guzików u kamizelki i dodał:

— A ta panienka musi mieć duszkę czystą, jak Iza, skoro Bóg wskazał ją palcem i przeznaczył jej być stróżem tego ognia.

Przyjazd Świrskiego przerwał dalszą rozmowę. Dla Maryni nie był on niespodzianką, albowiem malarz zapowiedział jej, że albo sam przyjedzie, albo do niej napisze, jaki obrót wzięła jego sprawa. Marynia, ujrzawszy go teraz przez okno, była prawie pewna, że wszystko skończyło się pomyślnie, lecz on, wszedłszy do pokoju i powitawszy się ze wszystkimi, spoglądał

na nią z miną tak dziwną, że nie wiedziała, co z niej wywróżyć.

Widocznie chciało mu się mówić o sprawie, i to zaraz, nie chciał jednak tego czynić przy Polanieckim i Waskowskim. Polaniecki też, przed którym Marynia wygadała się o co idzie, przyszedł mu w pomoc i, wskazawszy na żonę, rzekł:

— Jej trzeba dużo chodzić; niech ją pan weźmie do ogrodu, bo wiem, że macie z sobą do pomówienia.

I po chwili oboje znaleźli się w alei wśród białodrzewów. Czas jakiś szli w milczeniu, on, kołysząc się na swych szerokich biodrach atlety i szukając od czegoby zacząć, ona podana nieco naprzód, z twarzą dobrą i rozciekawioną. Obojgu pilno było do rozmowy, jednakże Świrski zaczął od czego innego.

— Pani powiedziała wszystko mężowi? — spytał nagle.

Marynia zaczerwieniła się, jakby złapana na występku, i odrzekła:

— ...Bo Stach taki dla pana życzliwy i ja nie chcę mieć dla niego tajemnic.

Świrski ucałował jej rękę.

— Ale owszem! dobrze! Ja się tego nie wstydzę, również jak i tego, że dostał kosza.

— Nie może być! Pan żartuje — rzekła, zatrzymując się, Marynia.

— Słowo pani daję!

I widząc przykrość, jaką jej sprawiła nowina, począł mówić, jakby z troskliwością:

— Tylko niech pani nie bierze tego do serca więcej ode mnie. Stało się, co się miało stać. Ot, przyjechałem tu, stoję przed panią, nie strzeliłem sobie w łeb i nie myślę tego robić, ale swoją drogą, com dostał kosza, tom dostał.

— Ale dlaczego? co panu odpowiedziała?

— Dlaczego? co mi odpowiedziała? — powtórzył Świrski. — Widzi pani, w tem właśnie jest coś, od czego mi trochę gorzko w ustach. Ja przyznam się pani szczerze, że w pannie Ratkowskiej bardzo się nie kochałem. Podobala mi się (one mi się wszystkie podobają), myślałem, że to będzie wdzięczne i pocziwe serce, i dlatego mi się niby tu oświadczył. Ale więcej przez rozum — i że mi czas! Potem miałem nawet trochę zgagi. Była nawet chwila, żem sobie powiedział: «Twoje oświadczyzny w Buczynku nie były zbyt wyraźne, lepiej puśćże to jeszcze kantem». Ale zrobiło mi się wstyd. Co u licha, myślę sobie, przestąpiłeś próg jedną nogą, przestąpiłeś i drugą. I napisałem do niej list, tym razem już zupełnie wyraźny, a ot, co mi odpisano!

To rzekłszy, wyjął z kieszeni surduta list, lecz nim zaczął go czytać, rzekł jeszcze:

— Z początku są zwykle komunały... Jak to pani wie! — Szanuje mnie ogromnie, byłaby dumna i szczęśliwa (ale woli nie być), żywi dla mnie szczerą sympatyę (jeśli tak będzie żywić męża, jak tę sympatyę, to nie będzie tłusty), w końcu zaś powiada tak:

«Nie jestem w możności oddać panu serca z taką radością, na jaką pan zasługuje. Wybrałam inaczej — i jeśli nie będę nigdy szczęśliwa, nie chcę przynajmniej wyrzucać sobie później, że byłam nieszczerą. Wobec tego, co u nas zaszło, nie mogę pisać dłużej, niech mi pan jednak wierzy, że będę mu całe życie wdzięczna za zaufanie i że od dziś zacznę codziennie prosić Boga, by panu pozwolił znaleźć godne pana serce i w całym życiu błogosławił...»

Oto wszystko!

Nastąpiła chwila milczenia, potem Świrski rzekł:

— To są, co się mnie tycze, puste słowa, ale to znaczy: kocham innego.

— Zdaje się, że tak jest — odrzekła ze smutkiem Marynia. — Biedna dziewczyna, bo to jednak pocziwy list.

— Pocziwy list! pocziwy list! — zawołał Świrski. — One wszystkie takie pocziwe! Oto dlaczego trochę mi gorzko. Nie chce mnie?

dobrze! To każdej wolno. Kocha się? To także każdej wolno. Ale w kimże się kocha? Przecie nie w Osnowskim, ani w Zawilowskim, więc w kim? Oto w tej galce od laski, w tej kucielce, w tym piękniśiu, w tym modelu krawieckim, w tym ideale panien służących! Widziała pani takich ślicznych panów na sztukach perkalów? — to zupełnie on! Gdyby stał w oknie u fryzjera, to panny wygniotłyby szybę. Pamięta pani, com o nim powiedział: damski hurys! I to jest gorzkie! i to jest niesmaczne — (mówił z coraz większem rozdrażnieniem, akcentując ze szczególniejszą siłą wyraz: jest) — i to źle mówi o kobietach, bo, bądźże tu, człowieku, Newtonem, Rafaelem, Napoleonem — i chciej za całą nagrodę jednego serca, jednej kobiecej głowy! Nieprawda! Ona woli jakiegoś lukrowanego Bibisia. Ot, jakie one są!

— Nie wszystkie, panie, nie wszystkie! Zresztą pan, jako artysta, powinien wiedzieć, co to jest uczucie. Padnie coś na człowieka i skończyło się wszelkie rozumowanie.

— Nie — rzekł spokojniej Świrski; — ja wiem, że nie wszystkie. A co do miłości, pani mówi: «Padnie coś i skończyło się». Może! To niby jak choroba.... Ale istnieją choroby, na które szlachetniejsze gatunki istot nie chorują. Istnieje na przykład choroba racic. Pozwoli pani powie-

dzieć, że trzeba mieć racice, żeby jej dostać. Nie było jednak chyba wypadku, żeby gołębicą zakochała się w dudku, choć to bardzo ładny ptak. Widzi pani — na gołębicę to nie padnie... W dudkach kochają się dudkówny. I niech się sobie kochają, byle nie udawały gołębic. Mnie tylko o to chodzi... Niech pani sobie przypomni, jak niegdyś u państwa Bigielów wygadywałem na pannę Castelli. A jednak ta wołała ostatecznie Zawilowskiego. Mnie chodzi o te fałszywe aspiracje, o tę nieszczerłość, o ten frazes. Skoro jesteś dudkówną — miejże odwagę do tego się przyznać. Nie udawaj, nie kłam, nie zwódź. Przecie ja, człowiek doświadczony, szyję-bym był oddał za to, że taka panna Ratkowska nie jest poprostu w stanie zakochać się w takim Koposiu, a jednak tak jest! Ja się pocieszę, tu mnie nie o siebie chodzi, tylko o tę komedię, o to konwencyonalne kłamstwo — i nie o pannę Ratkowską, ale o to, że taki typ, jak Koposia, zwycięża.

— Tak — rzekła Marynia. — Trzebaby tylko wiedzieć, dlaczego wszystko tak się jakoś poplątało.

Lecz Świrski machnął ręką:

— Właściwie mówiąc, — rzekł — to się raczej rozplątało. Gdyby była za mnie wyszła, byłbym ją pewno w końcu na ręku nosił. Daję

pani słowo!... We mnie się nagromadziło ogromnie dużo tliwości. Bylbym dla niej dobry i byłoby nam dobrze. Tego mi też trochę żal. Ale przecie nie ona jedna na świecie. Pani mi znajdzie jaką pocziwą duszę, która mnie zechce. I prędko, moja droga pani, bo doprawdy, że czasem już nie mogę wytrzymać. Dobrze?

Marynia poczęła się rozweselać, widząc, że sam Świrski niebardzo bierze do serca utratę panny Ratkowskiej. Lecz, zastanawiając się teraz spokojniej nad jej listem, przypomniła sobie jeden jego frazes, na który z początku, cała zajęta sprawą odmowy, nie zwróciła uwagi — i zaniepokoiła się nim.

— Czy pan zauważył, — spytała — że ona w jednym miejscu mówi: «Po tem, co się u nas stało, nie mogę pisać dłużej». Czy pan nie domyśla się, co się tam mogło stać?

— Może Kopusio już się oświadczył.

— Nie. W takim razie napisałaby to wyraźnie. Jeśli ona przywiązała się do niego, to naprawdę biedna dziewczyna, bo ona podobno nie ma żadnego majątku, a pan Kopowski także jakoby niebogaty, więc wątpliwa rzecz, czy się zdecyduje.

— Prawda — rzekł Świrski. — Wie pani, że mnie samemu przychodziło to na myśl. Ona

się w nim kocha, to nie ulega kwestyi, ale on się z nią nie ożeni.

Nagle zatrzymał się i rzekł:

— W takim jednak razie, po co on tam siedzi?

— Bawią się nim i on się bawi — odpowiedziała pośpiesznie Marynia, odwracając przytem nieco twarz, aby Świrski nie dostrzegł jej zmieszania.

I odpowiedziała nieszczerze. Od czasu, jak Polaniecki podzielił się z nią swemi spostrzeżeniami co do stosunku Kopowskiego z panią Osnowską, myślała o tem często, i pobyt młodzieńca w Przytułowie jej samej wydawał się nieraz podejrzanym, a upozorowanie go za pomocą panny Ratkowskiej niegodziwością. Niegodziwość stała się tem większą, jeśli panna Ratkowska naprawdę zakochała się w Kopowskim. Ale wszystkie te intrygi mogły jednak lada chwila wyjść na wierzch, i Marynia rozmyślała teraz z niepokojem, czy słowa panny Ratkowskiej: «po tem, co się u nas stało» — nie mają takiego właśnie znaczenia. W takim razie byłoby to prawdziwą katastrofą i dla tego poczciwego pana Osnowskiego, i dla panny Stefcy.

Istotnie, wszystko mogło się poplątać w tragiczny sposób.

— Ja jutro wybieram się do Przytułowa —

rzekł Świrski. — Chcę umyślnie być u Osnowskich, żeby pokazać, iż nie żywię do nikogo urazy. Jeśli tam się co naprawdę stało, albo jeśli ktoś zachorował, to będę wiedział i dam państwu znać. Zawilka tam przecie w tej chwili niema.

— Nie, pan Ignas bawi w mieście. Jutro albo pojutrze pewnie wpadnie tu, albo do Jaśmienia. Stach dziś także wybiera się do miasta. Moja przyjaciółka, siostra Aniela, bardzo jest niezdrowa, i chcemy ją do nas ściągnąć, a że ja nie mogę jechać, więc jedzie Staś.

— Siostra Aniela? To ta, którą mąż pani nazywa panią Emilią... Fra Angelico!... twarz zupełnie świętej. Śliczna twarz! Widziałem ją coś dwa razy u państwa. Ot, żeby taka nie była zakonnica..

— I chore biedactwo. Prawie już nie może chodzić... Dostała ze zbytnej pracy choroby krzyża.

— Oj, to bieda — rzekł Świrski. — Będą państwo mieli profesora i tę biedaczkę... Jacy wy jednak jesteście dobrzy ludzie!

— To Stach! — odpowiedziała Marynia.

W tej chwili na końcu alei pokazał się Polański i śpiesznym krokiem podszedł ku nim.

— Słyszałem, że pan dziś jedzie? — rzekł Świrski: — zabierzemy się razem.

— Dobrze.

I zwróciwszy się do żony, rzekł:

— Maryniu, a czy nie dosyć chodziłaś? Chcesz się na mnie oprzeć?

Marynia wzięła go pod ramię, i razem poszli do werendy, poczem weszła do pokoju, by kazać podać popołudniową herbatę.

Połaniecki zaś zbliżył się żywo do Świrskiego:

— Odebrałem dziwną depezę, — rzekł — której nie chciałem pokazać przy żonie. Osnowski pyta mnie, gdzie jest Ignasz, i wzywa, bym w jego sprawie przyjechał jutro do miasta. Co to może być?

— To dziwna rzecz — odpowiedział Świrski. — Mnie panna Ratkowska pisała, że tam się coś stało.

— Czyby kto zachorował?

— Toby wezwano wprost Zawilowskiego... Gdyby panna Castelli, albo pani Broniczowa... wezwanoby go natychmiast...

— A gdyby go Osnowski nie chciał przestraszać, toby do mnie zatelegrafował.

I obaj poczęli patrzeć sobie z niepokojem w oczy.

LVII.

Nazajutrz, w pół godziny po przyjeździe Połanieckiego, zadzwonił do niego Osnowski. Połaniecki, na odgłos dzwonka, poszedł sam otworzyć. Od wczoraj żył w wielkim niepokoju. Przypuszczał oddawna, że w Przytulowie może lada dzień bomba wybuchnąć, ale napróżno bił się z myślami, jaki związek może mieć jej wybuch z Zawilowskim.

Osnowski uściskał mu rękę na powitanie ze szczególniejszą siłą, jak się czyni w wyjątkowych okolicznościach życia, a gdy Połaniecki poprosił go do swego gabinetu, po drodze spytał:

— Pani bawi w Buczynku?

— Tak jest — odpowiedział Połaniecki; — jesteśmy zupełnie sami.

W gabinecie, Osnowski, usiadłszy na wskazanem krześle, schylił głowę i przez chwilę milczał, oddychając przytem śpiesznie, albowiem, wskutek nadmiernego trenowania się, cierpiał trochę na rozedmę płuc, teraz zaś wzruszenie i schody zatamowały mu jeszcze bardziej oddech. Połaniecki czekał jakiś czas cierpliwie, wreszcie wrodzona mu żywość przemogła, i spytał:

— Co się stało, panie!

— Stało się nieszczęście — odrzekł z głębokim smutkiem Osnowski. — Malżeństwo Ignasia zerwane.

— Malżeństwo zerwane? Dlaczego?

— Są to rzeczy tak przykre, że lepiej dla Ignasia nie wiedzieć powodów. Czas jakiś wahałem się nawet, czy o nich nie zamilczeć, ale nie!... Trzeba, żeby się o wszystkim dowiedział, bo tu chodzi o coś ważniejszego, niż jego miłość własna. Może oburzenie i wstręt dopomogą mu do zniesienia nieszczęścia. Malżeństwo jest zerwane, bo panna Castelli nie jest warta ręki takiego, jak on, człowieka — i gdyby dziś jeszcze mogła być mowa o naprawieniu tego stosunku, ja pierwszy położyłbym stanowcze veto.

Tu pan Osnowski począł znów łowić oddech, Polaniecki zaś, który słuchał dotąd, jak wryty, jego słów, wybuchnął nagle:

— Ale na miły Bóg, co takiego zaszło?

— Zaszło to, że te panie od trzech już dni wyjechały za granicę z Kopowskim, jako narzeczonym panny Castelli.

Polaniecki, który przed chwilą zerwał się był z krzesła, siadł teraz napowrót. Na twarzy jego, przy całem wzruszeniu i niepokoju, odbiło się niewypowiedziane zdumienie. Czas jakiś patrzył na Osnowskiego, poczem, jakby nie mogąc zebrać myśli, rzekł:

— Kopowski?... także i z panną Castelli?...
Lecz Osnowski zbyt był zajęty samą sprawą, by mógł zwrócić uwagę na szczególną formę pytania Polanieckiego.

— Niestety! — rzekł — pan przecie wiesz, że ja jestem w pokrewieństwie z temi paniami; matka moja była cioteczną siostrą pani Broniczowej, a zatem także matki Linety, i czas jakiś chowały się razem. Rozumiesz pan, że raczej pragnąłbym je oszczędzić. Ale mniejsza z tem. Stosunki nasze są zerwane, a przytem choćby panna Castelli była moją rodzoną siostrą, powiedziałbym panu o niej to samo, co teraz powiem. Co do Zawilowskiego, ponieważ oboje z żoną wyjeżdżamy także — i to dziś, mogę go nie znaleźć. Powiem nawet otwarcie, że mi brak odwagi z nim mówić, ale panu powtórzę wszystko, com widział. Pan, jako bliższy jego przyjaciel, może potrafisz złagodzić cios; trzeba jednak, żeby Ignas wiedział o wszystkim, bo na tego rodzaju nieszczęścia niema lepszego lekarstwa, niż obrzydzenie.

Tu począł opowiadać Polanieckiemu, co widział w cieplarni, wzruszając się przytem, tracąc chwilami oddech, a zarazem nie mogąc się oprzeć pewnemu zdziwieniu na widok gorączki, z jaką go słuchał Polaniecki. Spodziewał się po nim więcej zimnej krwi, nie mógł zaś się do-

myśleć, że Polaniecki ma osobiste powody, dla których tego rodzaju opowiadanie gra silniej na jego nerwach, niż mogłaby to uczynić nawet wiadomość o śmierci Zawilowskiego, lub panny Castelli.

— W pierwszej chwili straciłem głowę — mówił dalej Osnowski; — nie jestem człowiekiem gwałtownym, ale jakim sposobem nie połamałem mu kości, nie wiem. Możliwe pamiętał, że jest moim gościem, może, że tu chodzi o rzeczy ważniejsze, niż on, może pomyślałem o Ignasiu, może nie myślałem o niczem. Straciłem głowę i wyszedłem. Po chwili, wróciwszy, powiedziałem mu, żeby poszedł za mną. Widziałem, że był blady, ale zdecydowany. U siebie powiedziałem mu, że postąpił niegodnie, że nadużył gościnności uczciwego domu, i że Lineta jest nędznicą, dla której nie mam dość słów pogardy, że małżeństwo jej z Zawilowskim jest tem samem zerwane, ale że jego zmuszę do ożenienia się z nią, choćbym miał się uciec do wszelkich ostateczności... Tu się pokazało, że oni musieli się już naradzić przez ten czas, w którym zostawilem ich samych, odpowiedział mi bowiem, że się oddawna w Linecie kocha i że gotów jest w każdej chwili z nią się ożenić. Co do Zawilowskiego — czułem, że Kopowski powtarza słowa, które mu poddyktowała Lineta,

myśleć, że Polaniecki ma osobiste powody, dla których tego rodzaju opowiadanie gra silniej na jego nerwach, niż mogłaby to uczynić nawet wiadomość o śmierci Zawilowskiego, lub panny Castelli.

— W pierwszej chwili straciłem głowę — mówił dalej Osnowski; — nie jestem człowiekiem gwałtownym, ale jakim sposobem nie polamałem mu kości, nie wiem. Może pamiętał, że jest moim gościem, może, że tu chodzi o rzeczy ważniejsze, niż on, może pomyślałem o Ignasiu, może nie myślałem o niczem. Straciłem głowę i wyszedłem. Po chwili, wróciwszy, powiedziałem mu, żeby poszedł za mną. Widziałem, że był blady, ale zdecydowany. U siebie powiedziałem mu, że postąpił niegodnie, że nadużył gościnności uczciwego domu, i że Lineta jest nędznicą, dla której nie mam dość słów pogardy, że małżeństwo jej z Zawilowskim jest tem samem zerwane, ale że jego zmuszę do ożenienia się z nią, choćbym miał się uciec do wszelkich ostateczności... Tu się pokazało, że oni musieli się już naradzić przez ten czas, w którym zostawilem ich samych, odpowiedział mi bowiem, że się oddawna w Linecie kocha i że gotów jest w każdej chwili z nią się ożenić. Co do Zawilowskiego — czułem, że Kopowski powtarza słowa, które mu podyktowała Lineta,

gdyż powiedział mi to, na coby się sam nie zdobył: że gotów jest dać Zawilowskiemu wszelką satysfakcyę, ale że nie potrzebował się z nim liczyć, bo nie ma dla niego żadnych obowiązków... «Że panna Lineta wybrała ostatecznie mnie, to — powiada — tem gorzej dla niego, ale to jej rzecz...» Co się tymczasem działo między ciotką a Linetą, nie wiem, dość, że nim skończyłem z Kopowskim, ciotka Broniczowa wpadła do mnie, jak furja, z wyrzutami, że to my oboje z żoną nie pozwoliliśmy Linecie pójść za naturalnym popędem, serca, że narzuciliśmy jej Zawilowskiego, którego nigdy nie kochała, że Lineta plakiwała po całych nocach, że przypłaciłaby to małżeństwo życiem, że to wszystko, co się stało, było wyraźną wolą boską... i tak z godzinę!... My winni, Zawilowski winien, tylko one bez skazy!

Tu Osnowski począł trzeć ręką czoło i rzekł:

— Ach, panie! Mam trzydziesty szósty rok i anim sobie wyobrażał, co to jest kobieca przewrotność. Wie pan, że taka niepojęta zdolność odwracania rzeczy na wierzch podszewką dotąd nie chce mi się w głowie pomieścić. Rozumiem przecie, jaka była sytuacya. Rozumiem, że pojęły, iż z Zawilowskim wszystko skończone, choćby dlatego, że ja przeszkodzę, i że nie pozostaje im nic — tylko Kopowski. Ale ta łatwość

robienia czarnego białem, a białego czarnem!... ten brak zmysłu moralnego, zmysłu prawdy i sprawiedliwości... ten egoizm bez dna i miary!... Lichoby je wreszcie pobrało, gdyby nie to, że chodzi o Ignasia!... Bylby z niemi najnieszczęśliwszy, ale dla człowieka tak egzaltowanego i tak zakochanego co to za cios!... co to za zawód!... A i ta Lineta!... Ktoby był przypuścił!... Taki dureń! taki dureń!... I to dziewczyna niby pełna porywów, która przed kilku tygodniami zamieniła pierścionki, dała słowo!... i to narzeczona takiego Zawilowskiego!... Dalibóg, można zmysły stracić!

— Można zmysły stracić — powtórzył jak echo Polaniecki.

Nastąpiła chwila milczenia.

— I to dawno się stało? — spytał wreszcie Polaniecki.

— Trzy dni, jak wyjechali razem do Scheveningen. Wyjechali zaś zaraz tego samego dnia. Kopowski miał paszport z sobą. Patrz pan, jak największy osiel zdobędzie się jednak na chytrość! On miał gotowy paszport, bo udawał, że się stara o moją kuzynkę, Ratkowską, i zamierzał niby jechać razem z nami za granicę. Udawał, że się o tamtą starał, żeby tę mógł bałamucić. Aj, biedny ten Ignas, biedny! Daję panu słowo, że gdyby był moim bratem,

nie miałbym dla niego więcej współczucia... Lepiej!... lepiej, że się nie związał z taką... Linetą, z taką półwłoszką, ale co to za rozdarcie!...

Tu Osnowski wydobyl chustkę i poczał nią przecierać binokle, mrugając przytem oczyma, z twarzą strapioną i bezradną; Polaniecki zaś spytał:

— Czemu pan pierwszej nie dał znać?

— Czemu pierwszej nie dałem znać? Bo mi żona zachorowała. Ataki nerwowe... Bóg wie co!... Pan nie uwierzy, jak ona to do serca wzięła. I nic dziwnego!... Taka kobieta — i że to w naszym domu! Przy jej wrażliwości, to i dla niej był cios, bo i zawód ze strony Linety, którą tak kochała, i żal Ignasia, i to zetknięcie się ze złem, i obrzydzenie!... Na taką czystą i uczciwą naturę to więcej, niż trzeba... W pierwszych chwilach myślałem, że mi ciężko zachoruje, a i teraz jeszcze mówię: daj Boże, żeby się to nie odbiło zgubnie na jej nerwach! My nie umiemy sobie poprostu zdać sprawy, co się dzieje w takiej duszy na sam widok złego.

Polaniecki popatrzał uważnie na Osnowskiego, przygryzł wąsy i milczał. Ten zaś po chwili mówił dalej:

— Posłałem po doktora i drugi raz straciłem głowę. Na szczęście była Stefcia Ratkowska

i ta poczciwa pani Maszkowa. Obie tak się serdecznie zajęły Anetką, że im będę całe życie wdzięczny. Pani Maszkowa na pozór zdaje się zimna, a to takie serdeczne stworzenie!...

— Ja sędzę wprost, — rzekł Polaniecki, chcąc odwrócić rozmowę od pani Maszkowej — że gdyby stary Zawilowski zostawił był Ignasiowi jaki majątek, toby to wszystko nie miało miejsca.

— Być może, — odpowiedział Osnowski — ale dla mnie nie ulega wątpliwości, że gdyby Lineta wyszła za Ignasia, to choćby w dodatku posiadał jeszcze cały majątek pana Zawilowskiego, niemniej instynkt jej ciągnąłby ją w stronę wszystkich takich Kopowskich, jakichby jej przyszło w życiu spotkać. To tego rodzaju dusza. Ja jednak niektóre rzeczy rozumiem. Powiedziałem, że można zmysły stracić na myśl, że tak jest, jak jest, ale częściowo zdaję sobie sprawę z tego, co zaszło. To za płaska natura, by mogła pokochać naprawdę takiego Zawilowskiego. Jej potrzeba Kopowskich. Ale wmawiano w nią rozmaite wyższe porywy, a w końcu i ona sama wmówiła w siebie to, czego nie było. Ignasia pociągnęły przez próżność, przez miłość własną, dla opinii ludzkiej i przez nieznaną miłość siebie samych. Ale co jest nieszczerze, to i nie może trwać. Z chwilą, gdy ich próżność została

zadowoloną, Ignas przestał im wystarczać. Potem zlekły się, że może z nim nie będzie takiego życia, jakie one jedynie cenią, może obie począł utrudzać jego za wysoki dla nich nastrój. Dodaj pan do tego tę historię testamentu, która nie będąc zapewne główną przyczyną katastrofy, zmniejszyła jednak Ignasia w ich oczach, dodaj przedewszystkiem instynkty Linety, dodaj Kopowskiego, a będziesz miał na wszystko odpowiedź. Są kobiety, takie jak pańska żona, albo jak moja Anetka, a są i takie, jak one!...

Tu pan Osnowski zamknął znów na chwilę, poczem rzekł:

— Widzę już i zmartwienie i oburzenie pańskiej żony, a żałuję, żeś pan nie widział, jak to przyjęła moja... albo nawet taka pani Maszkowa. Tak! są kobiety i kobiety... Aj, panie, panie! powinniśmy codzień na kolanach Bogu dziękować, że nam dał takie, jakie mamy!

I aż głos zadrgał mu wzruszeniem.

Połaniecki zaś, pomimo, iż na razie chodziło mu głównie o Zawilowskiego, wprost zdumiewał się, jakim sposobem człowiek ten, który przed kilku minutami rozumował tak trafnie i głęboko, mógł być zarazem tak naiwnym. Brał go też gorzki śmiech na wzmiankę Osnowskiego o oburzeniu Maszkowej. Wogóle ogarnęło go

poczucie jakiejś przygniatającej ironii życia, której całego bezmiaru nigdy dotąd nie widział tak jasno.

— Pan nie będziesz widział Zawilowskiego? — spytał po chwili.

— Powtarzam panu otwarcie, że nie czuję w sobie dość odwagi; dziś wracam do Przytułowa i dziś z naszej stacyi wyjeżdżamy. Żonę muszę wywieźć, raz dlatego, że sama mnie o to ze łzami prosiła, a powtóre, że od zmiany wrażeń może zależeć jej zdrowie. Pojedziemy gdzieś nad morze, byle nie do Scheveningen, tam, gdzie pojechały one z Kopowskim. Ale mam do pana jedną wielką prośbę. Pan wie, jak ja Ignasia kocham i cenię. Niech mi pan napisze, jak on biedaczysko to przyjmie, i co się z nim będzie działo. Prosiłbym o to Świrskiego, ale może go nie zobaczę.

Tu zakrył twarz i rzekł:

— Aj! jakie to wszystko smutne! jakie smutne!

— Dobrze — rzekł Połaniecki. — Przyślij mi pan adres, a ja doniosę panu, jak się rzeczy obróca. Skoro jednak na mnie spada ta ciężka misya powiedzenia Zawilowskiemu co się stało, zechciej mi ją pan ułatwić. Trzeba, żeby miał wiadomość nie od osoby trzeciej lub czwartej, ale od kogoś, co na wszystko patrzył. Usły-

szawszy o zajściu ode mnie, mógłby przypuścić, że rzecz przedstawiam niedokładnie. W takich razach człowiek chwyta się za każdy cień nadziei. Siądź pan i napisz do niego. Oddam mu pański list, na poparcie tego, co powiem. Inaczej, gotówby może polecić za niemi do Scheveningen. Uważam taki list za rzecz absolutnie potrzebną.

— Czy on tu tymczasem nie nadejdzie?

— Nie. Ojciec jego jest chory, i on jest z nim razem. Mojego przyjazdu spodziewa się dopiero po południu. Napisz pan koniecznie.

— Masz pan słuszość, zupełną słuszość — rzekł Osnowski.

I siadł przy biurku.

— Ironia życia! ironia życia! — myślał tymczasem Połaniecki, chodząc w zburzeniu po przyległym pokoju. — Czemże, jeśli nie krwawą ironią jest to, co spotkało Zawilowskiego?... Czem jest taka panna Castelli ze swoją postacią labędzia, a instynktami pokojówki, ta «wybranka boża», jak jeszcze wczoraj mówił Waskowski? Czem jest pani Broniczowa i Osnowski ze swoją wiarą w żonę, i ataki nerwowe tej żony, spowodowane samem zetknięciem się ze złem *tak czystej* duszy, i oburzenie pani Maszkowej?... Nie, tylko śmieszna komedia ludzka, w której jedni oszukują drugich, drudzy oszukują samych sie-

bie; nie, tylko oszukani i oszukujący; nie, tylko pomyłki, zaślepienie, błędy, życiowe kłamstwa, ofiary pomyłek, ofiary oszustwa, ofiary złudzeń, płatanina bez wyjścia; pocieszna i zarazem rozpaczliwa ironia, pokrywająca ludzkie uczucia, namietności, nadzieje, tak jak śnieg pokrywa zimą pola — i oto życie!

I myśli te były dla Polanieckiego tem cięższe, że, powstając na podkładzie czysto osobistym, stawały się zarazem rodzajem obrachunku z własnem sumieniem. Był na to dość egoistą, by przystosowywać wszystko do siebie, a nie był dość głupim, by nie wiedzieć, że w tej przeironicznej komedyi ludzkiej odegrał rolę ogromnie nędzną. Położenie było tego rodzaju, że chciałby całą siłą tchu wygwizdać taką pannę Castelli, a jednocześnie rozumiał, że jeśli komu, to jemu, nie wolno nawet jej sądzić. W czymże on był lepszy? w czym mniej ohydny? Ona zdradziła człowieka dla durnia — on zdradził żonę dla bezmyślnej lalki. Ona poszła za swymi instynktami modniarki, on za swymi — pawiana. Ale ona zdeptała tylko sztuczne frazesy, którymi oszukiwała siebie i drugih, on zdeptał zasady. Ona zawiodła ufność, ale złamała tylko słowo — on zawiódł tak samo ufność, a złamał więcej niż słowo, bo przysięgę. A wobec tego co? Czy on ma prawo ją potępić? Jeśli zaś nie

ma możności jej usprawiedliwić, jeśli gotów uznać, że byłoby rzeczą niesprawiedliwą i oburzającą, żeby taka istota została żoną Zawilowskiego, to jakim prawem on jest mężem Maryni? Jeśli znajdzie choć jedno słowo potępienia dla panny Castelli (a niepodobna przecie go nie znaleźć), to w takim razie, chcąc być konsekwentnym, powinienby rozłączyć się z Marynią, czego jednak nie uczyni nigdy i nie byłby w stanie uczynić. Oto koło błędne! Połaniecki nieraz już przechodził przez gorzkie chwile, z powodu swego *sukcesu*, ale ta była tak ciężka, że aż przejęła go zdziwieniem. Stopniowo stawała się wprost męką. W końcu przez prosty instynkt zachowawczy począł szukać czegoś, coby mu przyniosło choćby doraźną ulgę. Ale próżno mówił sobie, że na przykład tacy ludzie, jak Kopowski, nie braliby tak, w jego położeniu, rzeczy do serca. Byłoby mu taką samą pociechą, gdyby był pomyślał, że nie brałby tego także do serca kot, albo koń. Próżno przypomniawszy sobie słowa Balzaka: «Wiarołomstwo, gdy się nie wyda, jest niczem, gdy się wyda — bląhostką». «Kłamstwo! — powtarzał, zaciskając zęby — dobre mi *nie*, które tak piecze!» Rozumiał wprawdzie, że poza samym faktem może być coś, co sam fakt robi więcej, albo mniej występnym; ale rozumiał również, iż w jego

wypadku wszystkie okoliczności są takie, że winę czynią niezmierną i nieodpuszczalną. «Oto już teraz — myślał — odejmuje mi ona prawo sądu, prawo posługiwania się sumieniem! Człowieka wyższego poświęcono dla durnia, zdeptano go, wepchnięto go w nieszczęście, w tragedję, która może go złamać; uczyniono to w sposób nędzny i płaski — a mnie zasie! nawet w duszy napiętnować taką pannę Castelli!» I nigdy dotąd nie stała mu się tak niemal dotykana ta prawda, że, jak za pewne występki można zostać pozbawionym udziału w życiu społecznem, tak on został pozbawiony udziału w życiu moralnem. Miał już dość zgryzot, ale teraz spostrzegł nowe jeszcze spustoszenia, których zrazu nie widział. W miarę, jak zastanawiał się nad tragedją Zawilowskiego i jak coraz lepiej ogarniał jej ogrom, poczynął go obejmować głuchy niepokój, podobny do przeczucia, że na mocy jakiejś wyższej, tajemniczej logiki, i w jego losach musi zdarzyć się coś strasznego. Kto nosi w sobie zaród śmiertelnej choroby, dla tego śmierć jest tylko kwestyą czasu.

Nakoniec jednak znalazł tę ulgę, że myśli jego zwróciły się wyłącznie do chwili obecnej i do Zawilowskiego. Jak on to przyjmie? jak przeniesie? Wobec egzaltacyi Zawilowskiego, wobec jego głębokiej, zaślepionej wiary w na-

rzeczoną i miłości, jaką dla niej czuł, były to pytania wprost groźne. «Wszystko się w nim podrze i wszystko usunie mu się odrazu z pod nóg» — myślał Polaniecki. Wydało mu się, iż jest coś wstępnego i potwornego w tem, że nawet takie stosunki życiowe, które nie noszą w sobie zarodków tragedyi i które powinny się kończyć pomyślnie, kończą się bez dobrej przyczyny źle, i że życie jest jakby lasem, w którym nieszczęścia tropią człowieka, gorzej niż psy zwierza, bo tropią milczkiem. Polaniecki poczuł nagle, że prócz wiary w samego siebie, którą stracił oddawna, mogą się w nim zachwiać i rozmaite inne rzeczy, jeszcze ważniejsze, bo bardziej podstawowe. W tej chwili jednak myślał więcej o Zawilowskim, niż o czemkolwiek innem. Miał dobre serce, i Zawilowski był mu blizkim, więc się szczerze wzruszał jego niedolą. «A tamten pisze mu poprostu jakby wyrok — myślał, słysząc z przyległego pokoju skrzypienie pióra Osnowskiego. — Biedne chłopczysko!... I takie to wszystko niezasłużone!»

Osnowski skończył wreszcie list — i otworzywszy drzwi, rzekł:

— Pisałem oględnie, ale napisałem całą prawdę. Niech mu teraz Bóg doda sił! Czy ja się spodziewałem, że taką muszę mu zwiastować nowinę!

Ale pod jego szczerym smutkiem widać było jakby pewne zadowolenie z własnej roboty. Widocznie sądził, że się potrafił wypisać lepiej, niż się sam po sobie spodziewał.

— A teraz raz jeszcze powtarzam gorącą prośbę — rzekł: — byś mi pan doniósł choć parę słów o Ignasiu. Ach, gdyby to nie było tak irréparable! — dodał, wyciągając do Polanieckiego rękę — do widzenia! do widzenia!... Napiszę i do Ignasia, ale teraz muszę jechać, bo mnie żona czeka... Daj Boże zobaczyć się nam w szczęśliwszych czasach. Do widzenia! Pani najserdeczniejsze pozdrowienie.

I wyszedł.

— Co robić? — myślał Polaniecki. — Czy poprzestać na posłaniu listu Zawilowskiemu do jego mieszkania, czy szukać go, czy czekać tu? W takich chwilach wartoby go nie zostawiać samego, ale ja w wieczór muszę wracać do Maryni, więc i tak zostanie sam. Zresztą, kto mu zabroni schować się przed ludźmi? Jabył się także na jego miejscu schował... Muszę być u pani Emilii...

Czuł się tak zmęczony i tą niespodziewaną tragedją, i myślami o sobie, i myślą o ciężkiej roli, jaką mu wypadnie odegrać z Zawilowskim, że z pewnem zadowoleniem przypominał sobie o tem, że musi być u pani Emilii, a następnie

wschodzić, rozwijać się i kwitnąć. Na myśl o tem porywała go dzika złość.

Tymczasem w przedpokoju ozwał się dzwonek. Polaniecki był człowiekiem odważnym, jednakże na odgłos tego dzwonka czuł, że serce poczyną mu bić niespokojnie. Zapomniał, że umówił się ze Świrskim, iż razem pójdą na śniadanie, i w pierwszej chwili był pewien, że nadchodzi Zawilowski. Ochłonął dopiero, usłyszawszy w przedpokoju głos malarza, lecz tak był zmordowany, iż przybycie jego sprawiło mu przykrość.

— Ten dopiero rozpuści język! — pomyślał z niechęcią — ten będzie gadal!

Postanowił jednak powiedzieć mu wszystko, bo rzecz i tak nie mogła utrzymać się w tajemnicy. Chodziło mu zaś o to, by Świrski, na wypadek przyjazdu do Buczyńka, wiedział, jak zachować się względem Maryni. Omylił się zresztą, przypuszczając, że Świrski będzie go dobijał teoryami o niewdzięcznych sercach. Malarz wziął rzecz nie od strony ogólnych wywodów, ale od strony Zawilowskiego. Na wywody miał przyjść czas później; obecnie, słuchając Polanieckiego, powtarzał tylko: «A nieszczęście! a niech Bóg broni!» — chwilami zaś: «Niechże to piorun trzaśnie!...» — przyczem jego herkułesowe pięści zaciskały się z gniewu.

odwieźć ją do Buczynka. Przez chwilę miał pokusę odłożyć widzenie się z Zawilowskim i oddanie mu listu do następnego dnia, pomiarkował jednak, że Zawilowski, nie zastawszy go w domu, mógłby wybrać się do Buczynka.

— Niech się lepiej dowie wszystkiego tu — rzekł sobie; — wobec stanu Maryni, trzeba zachować przed nią zupełną tajemnicę i o tem, co się stało, i o tem, co się stać może. Trzeba również uprzedzić wszystkich, by milczeli. Zawilowski najlepiejby zrobił, wyjeżdżając za granicę. Maryni powiedziałbym, że jest w Scheveningen, a później, że się tam rozmyślili i rozeszli.

Tu znów począł chodzić szerokimi krokami po pokoju i powtarzać:

— Ironia życia! ironia życia!

Poczem gorycz i wyrzuty przyplnęły mu nową falą do duszy. Ogarniało go dziwne uczucie, jakby jakiejs odpowiedzialności za to, co się stało. «Co u licha! — powtarzał sobie — przecie ja w tem przynajmniej nie zawiniłem!» Lecz po chwili przyszło mu do głowy, że jeśli oświadczyć nie zawinił, to w każdym razie jest drzewem z tego samego lasu, co i panna Castelli, i że tacy, jak on, wytworzyli tę społeczno-moralną atmosferę, w której podobne kwiatki mogą

Polaniecki zaś unosił się stosunkowo i napadał na pannę Castelli bez miłosierdzia, zapominając, że tem samem wydaje wyrok i na siebie. Wogóle jednak rozmowa uczyniła mu ulgę. Odzyskał wreszcie i zwykłą zaradność. Pomyślał, że Zawilowskiego nie można jednak w takiej chwili opuszczać, począł więc prosić Świrskiego, by w zastępstwie odwiózł panią Emilię do Buczynka i wytłómaczył Maryni jego nieobecność powodami biurowymi. Świrski, który już nie miał po co jechać do Przytułowa, zgodził się najchętniej, i gdy zamówiony przez Polanieckiego powóz nadjechał, obaj udali się do pani Emilii.

Praca, nie będąca w żadnym stosunku do jej sił, którą jako Siostra miłosierdzia musiała spełniać, sprowadziła na nią chorobę krzyża. Znaleźli ją wychudłą i zmienioną, z twarzą przezroczystą i nawpół opadłemi powiekami. Chodziła jeszcze, ale wspierając się na dwóch laskach, i nie władnąc dokładnie ruchami nóg. Jak dawniej praca zbliżyła ją do życia, tak teraz choroba poczęła ją znów od niego oddalać. Żyła tylko w kole swych myśli i wspomnień, patrząc na sprawy ludzkie trochę jak przez sen, trochę już jakby z drugiego brzegu. Cierpiała bardzo mało, co lekarze uważali za zły znak; ale ona, poznawszy nieco jako Siostra

miłosierdzia różne choroby, wiedziała, że niema dla niej ratunku, a przynajmniej, że ratunek nie w mocy ludzkiej, i pozostała spokojna. Zapytana też przez Polanieckiego o zdrowie, odrzekła, podnosząc z wysileniem powieki:

— Źle chodzę, ale tak mi jest dobrze!

I było jej dobrze. Dokuczał jej jeden tylko moralny skrupuł. W duszy wierzyła najgłębiej, że gdyby pojechała do Lourdes, odzyskałaby z pewnością zdrowie, nie chciała zaś tego czyścić i ze względu na odległość Lourdes od grobu Litki, i ze względu na swoją nostalgię za śmiercią. Nie wiedziała jednak, czy ma prawo poniechać czegokolwiek dla podtrzymania danego jej życia, a zwłaszcza, czy ma prawo przeszkadzać lasce i cudom — i niepokoiła się tem.

Obecnie uśmiechała się jej jednak myśl zbaczenia Maryni, i była już gotowa do drogi; Świrski miał przyjechać po nią o piątej, tymczasem zaś obaj z Polanieckim poszli na umówiony obiad, Świrski bowiem, mimo całego przejęcia się sprawą Zawilowskiego, czuł się głodny, jak wilk. Przyszedłszy, czas jakiś siedzieli w milczeniu, wreszcie Polaniecki rzekł:

— Chciałem pana prosić jeszcze o jedno, mianowicie: byś dał znać pannie Helenie o wszystkim, co zaszło, i zarazem powiedział jej, by nic nie mówiła mojej żonie.

Polaniecki zaś unosił się stosunkowo i napadał na pannę Castelli bez miłosierdzia, zapominając, że tem samem wydaje wyrok i na siebie. Wogóle jednak rozmowa uczyniła mu ulgę. Odzyskał wreszcie i zwykłą zaradność. Pomyślał, że Zawilowskiego nie można jednak w takiej chwili opuszczać, począł więc prosić Świrskiego, by w zastępstwie odwiózł panią Emilię do Buczynka i wytłómaczył Maryni jego nieobecność powodami biurowymi. Świrski, który już nie miał po co jechać do Przytułowa, zgodził się najchętniej, i gdy zamówiony przez Polanieckiego powóz nadjechał, obaj udali się do pani Emilii.

Praca, nie będąca w żadnym stosunku do jej sił, którą jako Siostra miłosierdzia musiała spełniać, sprowadziła na nią chorobę krzyża. Znalezli ją wychudłą i zmienioną, z twarzą przezroczystą i nawpół opadłemi powiekami. Chodziła jeszcze, ale wspierając się na dwóch laskach, i nie władnąc dokładnie ruchami nóg. Jak dawniej praca zbliżyła ją do życia, tak teraz choroba poczęła ją znów od niego oddalać. Żyła tylko w kole swych myśli i wspomnień, patrząc na sprawy ludzkie trochę jak przez sen, trochę już jakby z drugiego brzegu. Cierpiała bardzo mało, co lekarze uważali za zły znak; ale ona, poznawszy nieco jako Siostra

— Dobrze, — rzekł Świrski — pójdę jeszcze dziś do Jaśmienia, niby spacerem, i postaram się ją zobaczyć. Jeśli mnie nie przyjmie, napiszę jej na bilecie, że chodzi o Zawilowskiego. Jeśli będzie chciała przyjechać tu, to ją odwiozę, bo ja w każdym razie dziś jeszcze wrócę.

Po chwili zaś spytał:

— Nie mówił też panu Osnowski, czy panna Ratkowska jedzie z nimi, czy też zostaje w Przytulowie?

— Nie mówił nic — odrzekł Polaniecki; — panna Ratkowska mieszka zwykle u swojej starszej krewnej, pani Mielnickiej. Jeśli pojedzie, to chyba dla towarzystwa pani Osnowskiej, której anielska natura dostała palpitacyi serca na widok tego, co się stało.

— Aa!! — rzekł Świrski.

— Tak. Innej racyi niema. Panna Ratkowska bawiła u Osnowskich dlatego, że niby Kopowski miał się o nią starać, a skoro Kopowski wystarał się o inną, więc dalszy jej pobyt nie miałby racyi bytu.

— Dalibóg, tak to coś bajecznego! — rzekł Świrski: — to, z wyjątkiem Osnowskiej, one tam wszystkie kochały się w tym dudku!

Polaniecki uśmiechnął się ironicznie i kiwnął

głową; na ustach uwieczły mu słowa: «bez wyjątku! bez wyjątku!...»

Lecz Świrski rozpoczął teraz swoje wywody o kobiecie, od których dotąd się powstrzymywał.

— Ot, widzisz pan! ot, widzisz pan! — mówił. — Ja znam Niemki, Francuzki, a zwłaszcza Włoszki; Włoszki na ogół mniej mają porywów, mniej wykształcenia, więcej temperamentu, ale są szersze i prostsze. Niech tego makaronu nie dojem, jeśli widział gdzie tyle fałszywych aspiracyi i taką niezgodność między naturą, która jest płaska, a frazesem, który jest wysoki. Żebyś pan wiedział, co taka panna Ratkowska mówiła mi o Kopowskim! Albo weź pan tę «Topólkę», tę «Kolumienkę», tę «Niteczkę», tę pannę Castelli. Lilia — co? byłbyś pan przysiągł? Mimoza — co? artystka? Sybilla? złoto-włosy i czarnooki ideał na długich nogach? — co? A ot, masz ją pan! Pokazało się! Wybrała nie człowieka, ale mydlka, nie mężczyznę, ale lale. Jak przyszło co do czego, Sybilla zmieniła się w garderobianę. A ja panu powiadam, że one wszystkie palpitują do modnych mydlków — i niechże je piorun zapali!

Tu Świrski złożył swoją olbrzymią pięść i chciał uderzyć nią w stół, lecz Polaniecki zatrzymał ją w drodze i rzekł:

— Pozwolisz pan, że stało się jednak coś wyjątkowego!

Świrski począł się sprzeczać i utrzymywać, że «one wszystkie takie» — i że wszystkie wolą krawiecką miarę od fidyaszowskiej; stopniowo jednak począł przychodzić do równowagi i przyznał, że panna Castelli może być wyjątkiem.

— Pamiętasz pan, co panu mówiłem, kiedyś pytał o Broniczów? — rzekł: — ni zasad, ni charakterów, parweniuszostwo duchowe — nic więcej! On był dureń, a ja pan znasz... Bóg mnie ustrzegł, bo gdyby oni byli wówczas wiedzieli, że ja mam te jakieś głupie szpargały, których im brak, to nie byłiby mi robili min, i mogłem się ładnie ubrać! Niechby mnie był las ogarnął!... Jak mnie pan widzisz, tak jadę z Zawilowskim za granicę, bo mam tego dość.

Zapłacili i wyszli. Na ulicy Świrski spytał:

— Co pan teraz robisz?

— Idę szukać Zawilowskiego.

— Gdzie go pan znajdziesz?

— Myślę, że u waryatów, u ojca, a jeśli nie, to będę na niego czekał w domu u siebie.

Lecz Zawilowski zbliżał się właśnie w tej chwili do restauracyi. Świrski spostrzegł go pierwszy z daleka.

— A ot, idzie! — rzekł.

— Gdzie?

— Po drugiej stronie ulicy. Jaby'm go o wiorstę poznał po jego szczęce. Powiesz mu pan wszystko zaraz? Jeśli tak, to odchodzę. Nie potrzeba wam świadków.

— Dobrze — rzekł Polaniecki.

Zawilowski, spostrzegłszy ich również, przyspieszył kroku i stanął przed nimi, ubrany wykwintnie, prawie strojny, i z twarzą wesolą.

— Ojciec mój ma się lepiej! — zawołał nieco zdyszczanym głosem, podając im ręce. — Mam czas i wpadam dziś do Przytułowa.

Lecz Świrski, uściskawszy silnie jego rękę, odszedł w milczeniu. Młody człowiek popatrzył za nim ze zdziwieniem i rzekł:

— Czy pan Świrski obraził się czem?

I spojrzawszy na Polanieckiego, spostrzegł dopiero, że i jego twarz ma jakiś poważny, niemal surowy wyraz.

— Co to znaczy? — spytał — czy co się stało?

Polaniecki zaś, wzięwszy go za rękę, rzekł głosem wzruszonym i serdecznym:

— Mój panie Ignasiu, uważałem pana zawsze nie tylko za wyjątkowy talent, ale i za wyjątkowy charakter. Mam panu oznajmić bardzo złe nowiny, ale jestem pewny, że znajdziesz w sobie dość siły i nie poddasz się nieszczęściu.

— Co się stało? — spytał, zmieniawszy się w jednej chwili na twarzy, Zawilowski.

Polaniecki skinął na dorożkę i rzekł:

— Siadaj pan! ...Na most! — zawołał, zwracając się do woźnicy.

Poczem wydobył list Osnowskiego i oddał go Zawilowskiemu.

Młody człowiek rozerwał pośpiesznie kopertę i zaczął czytać. Polaniecki z wielką tkliwością otoczył go ręką wpół, nie spuszczać oczu z jego twarzy, na której w miarę czytania odbijało się zdumienie, niewiara w to, co czytał, ogłuszenie, a przedewszystkiem przestach bez granic. Policzki pobierały mu jak płótno, widać jednak było, że, odczuwając nieszczęście, nie ogarnia go jeszcze i nie rozumie dokładnie, spojrzawszy bowiem na Polanieckiego, jakby bezmyślnie, i spytał zająkliwym, cichym głosem:

— Jakże?... jakże ona mogła?...

Następnie, zdjęwszy kapelusz, począł wodzić ręką po włosach.

Polaniecki zaś rzekł:

— Nie wiem, co panu napisał Osnowski, ale tak jest!... Tu niema już co umniejszać rzeczy. Miej pan odwagę powiedzieć sobie, że to się stało i stało niepowrotnie. Pana było dla niej szkoda — boś wart więcej, niż to wszystko. Są ludzie, którzy pana prawdziwie cenią i kochają.

Ja wiem, że to jest ogromne nieszczęście — i rodzony brat nie bolałby nad panem więcej, niż ja. Ale stało się!... Mój drogi panie Ignasiu! Oni pojechali Bóg wie gdzie. Osnowscy także. W Przytułowie nikogo niema. Ja rozumiem, co się w panu musi dziać, ale pan masz przed sobą lepszą przyszłość, niż z panną Castelli. Bóg pana do większych rzeczy przeznaczył — i z pewnością dał panu większą niż innym siłę. Pan jesteś solą ziemi. Pan masz wyjątkowe obowiązki i względem siebie i względem ludzi... Ja wiem, że trudno jest machnąć odrazu ręką na to, co się kochało — i tego od pana nie wymagam, ale panu nie wolno poddawać się, jak pierwszemu lepszemu, rozpaczy. Mój drogi, biedny panie!

Polaniecki mówił jeszcze długo i mówił z siłą, bo sam się wzruszył. Wypowiadał nawet w dalszym ciągu rzeczy nie tylko serdeczne, ale i rozumne: że nieszczęście ma to do siebie, iż stoi, a człowiek czy chce, czy nie chce, musi iść w przyszłość, więc odchodzi od niego coraz dalej. Wlece się wprawdzie za człowiekiem nie bólu i pamięci, ale coraz cieńsza, albowiem siła rzeczy jest taka, że żyje się jutrem. Wszystko to było prawdą, ale drugą, daleko bliższą, daleko realniejszą i bardziej dotykalszą było to, o czem mówił list Osnowskiego. Poza tym fak-

tem istniały tylko puste dźwięki, odbijające się zewnątrznie o uszy, ale tak niezrozumiale i — dla Zawilowskiego tak pozbawione wszelkiego sensu, jak turkot lub jak oddźwięk żelaznych krat mostu, przez który przejeżdżali obecnie z Polanieckim. Zawilowski mógł czuć i myśleć tylko w sposób ogromnie mętny, miał jednak poczucie, naprzód, że to, co się stało, jest wprost niemożliwem, a jednak jest, powtóre zaś, że on się żadną miarą na to zgodzić nie może i nigdy nie zgodzi — co jednak nie ma najmniejszego znaczenia. Na nic innego nie było w jego głowie miejsca. Nie umiał nawet uświadomić ani tego wszystkiego, co tracił, oprócz panny Linety, ani swego bólu, ani żalu, ani ruiny, ani pustki, ani utraty wszystkich podstaw życia; wiedział tylko, że panny Linety już nie ma, że go nie kochała, że go opuściła, że wyjechała z Kopowskim, że małżeństwo jego zerwane, że został sam, że to wszystko już się stało — i że on tego nie chce, jako rzeczy nieprawdopodobnej, niemożliwej i strasznej.

A jednak to się stało.

Dorożka poczęła jechać za mostem wolno, wymijali bowiem stado wołów pędzonych do miasta, a wśród ich ociążałego tupotu Polaniecki mówił dalej. O uszy Zawilowskiego odbijały się słowa: «Świrski, zagranica, Włochy, sztuka»;

ale on nie rozumiał, że Świrski, to znaczy znajomy człowiek, zagranica — wyjazd, a Włochy — kraj. On teraz mówił pannie Linecie: «To dobrze, ale cóż ze mną będzie? Jak ty mogłaś o tem nie pomyśleć, że ja cię tak ogromnie kocham?» I przez chwilę wydało mu się, że gdyby ją zobaczył, że gdyby mógł jej powiedzieć, że z ludzkim bólem trzeba się liczyć, toby się rozplakała i rzuciła mu się na szyję. «Nas jednak tyle rzeczy łączy, — mówił jej — przecie ja jestem ten sam, twój...» I nagle wystająca szczeka poczęła mu drgać, na czole ukazały się żyły, a oczy zaszyły mgłą lez. Polaniecki, który miał nadzwyczaj dobre serce, i który prócz tego sądził, że potrafił go wzruszyć, objął go nagle za szyję i, sam wzruszony, począł go całować w policzek. Lecz rozrzewnienie Zawilowskiego nie trwało długo, albowiem wrócił do pocucia rzeczywistości. «Ja jej tego nie powiem, — pomyślał — bo jej nie zobaczę, gdyż odjechała ze swoim narzeczonym — z Kopowskim». I na tę myśl twarz skamieniała mu na nowo. Począł teraz lepiej uświadamiać całą doniosłość swego nieszczęścia. Uderzyła go po raz pierwszy myśl, że gdyby Lineta umarła, strata jego byłaby mniejszą. Otchłań śmierci zostawia wierzącym nadzieję wspólnego życia na drugim brzegu, niewierzącym — wspólność

nicości, a zatem nadzieję jakiegoś wspólnego losu i połączenia się. Przytem śmierć jest bezsilną wobec kochania, które idzie za grób; może drogą duszę zabrać, ale nie może nam zabronić jej kochać i nie może jej skazić — owszem, przebóstwia ją i czyni nietylko kochaną, ale i świętą. A Lineta, odejmując Zawilowskiemu siebie, to jest najdroższą duszę, odjęła zarazem i nadzieję, i prawo kochania, i prawo żalu, i prawo tęsknoty, i prawo czci; odchodząc sama, zostawiła na domiar skażoną pamięć. Zawilowski uczuł teraz jasno, że jeśli nie potrafi przestać jej kochać, to tem samem będzie nędznikiem, a czuł, że nie potrafi! I z tą dopiero chwilą ogarnął cały ogrom spustoszenia, ruiny, męki. Z tą chwilą zrozumiał, że to jest więcej, niż można znieść.

Połaniecki zaś mówił:

— Jedź ze Świrskim do Włoch, przebolej, mój drogi, przecierp!... Inaczej nie może być. Ale świat jest szeroki! Tyle rzeczy do widzenia, do kochania! Przed tobą wszystko otworem. I przed nikim tak, jak przed tobą. Światu się od ciebie dużo należy, ale i tobie dużo od świata. Mój drogi! Jedź — życie jest naokoło, życie jest wszędzie; przyjdą nowe wrażenia, którym się nie oprzesz, i zajmą ci myśl, zlagodzą ból. Nie będziesz się kręcił koło jednego wspomnienia.

Świrski pokaże ci Włochy. Zobaczysz, co to za towarzysz i jakie ci horyzonty otworzy. Przytem powiem ci, że człowiek, jak ty, powinien mieć tę siłę, którą ma muszla perłowa, i wszystko zmieniać poprostu w perły. A teraz słuchaj, co ci mówi prawdziwy przyjaciel. Jedź, i to zaraz. Przrzecz mi, że pojedziesz. Da Bóg mojej żonie szczęśliwie przebyć słabość, to może i my się tam na wiosnę wybierzemy. Obaczysz, jak nam będzie doskonale. Cóż, Ignasiu, przyrzeczysz mi — dobrze?

— Dobrze — odpowiedział Zawilowski, usłyszawszy ostatni wyraz, a wogóle nie wiedząc, o co chodzi.

— No, to chwalić Boga! — zawołał Polaniecki. — Wrócimy teraz do miasta i spędzimy wieczór razem. Ja mam coś do roboty w biurze i wybrałem się na dwa dni.

To rzekłszy, kazał zawrócić, bo zresztą i słońce miało się pod zachód. Był śliczny dzień, taki, jakie zdarzają się w końcu lata. Nad miastem unosił się złotawy, delikatny pył; dachy, a zwłaszcza kościelne wieże, połyskiwały po brzegach jakby odbłaskiem bursztynu i, rysując się czysto w przezroczem powietrzu, zdawały się w niem lubować. Czas jakiś jechali w milczeniu.

— Gdzie wolisz zajechać: do mnie, czy do

siebie? — spytał Połaniecki, gdy wjechali do miasta.

Ruch miejski zdawał się Zawilowskiego otrzeźwiać, spojrzał bowiem zupełnie przytomnie na Połanieckiego i rzekł:

— Od wczoraj nie byłem w domu, bom nocował u ojca. Może tam są jakie listy, więc jedźmy do mnie.

I Zawilowski dobrze przewidział, w mieszkaniu bowiem czekał go list od pani Broniczowej z Berlina. Zawilowski gorączkowo rozerwał kopertę i począł czytać, Połaniecki zaś, patrząc na mieniącą się jego twarz, pomyślał:

— I powiedzieć, że w nim tai się jeszcze coś nadziei.

Tu przyszedł mu nagle na pamięć ów młody doktor, który w swoim czasie mówił mu o panie Krasławskiej:

— Ja wiem, jaka ona jest, ale nie mogę od niej duszy odedrzeć...

Zawilowski skończył czytanie i, wsparłszy głowę na rękę, począł patrzeć bezmyślnie na stół i leżące na nim papiery. Wreszcie, ocknąwszy się, podał list Połanieckiemu.

— Czytaj pan — rzekł.

Połaniecki wziął list i czytał, co następuje:

«Wiem, że pan wierzył naprawdę w swoje uczucie dla Niteczki, i że w pierwszej chwili,

to, co się stało, wyda się panu nieszczęściem; niech mi pan też wierzy, że i mnie, i jej, nie łatwo przyszło zdobyć się na krok stanowczy. Pan może nie potrafił dobrze ocenić Niteczki (mężczyźni tylu rzeczy nie umieją ocenić), ale powinien ją pan był poznać przynajmniej tyle, żeby wiedzieć, ile ją kosztuje, gdy musi wyrządzić najmniejszą przykrość, nawet komuś obcemu. Ale trudno! taka jest wola boska, której grzech nie słuchać. Czynimy obie to, co nam sumienie nakazuje — i Niteczka zbyt jest prawa, żeby mogła oddać panu rękę bez prawdziwego przywiązania. To, co się stało, stało się nie tylko zgodnie z wolą boską, ale zgodnie z dobrem pana i jej; gdyby bowiem, nie kochając pana dostatecznie, została pańską żoną, jakżeby mogła oprzeć się pokusom, na które taka istota z pewnością będzie wobec światowego zepsucia narażona? Prócz tego, pan ma swój talent, więc pan ma coś, Niteczka zaś tylko serce, które przymus złamałby w jednej chwili — i jeżeli się panu zdaje, że ona pana zawiodła, niech pan sumiennie pomyśli: czyja wina jest większa? Pan wiele złego wyrządził Niteczce, bo pan opętał jej wolę i nie pozwolił pójść za naturalnym popędem serca, a tem samem poświęcił pan, lub gotów był poświęcić przez egoizm jej szczęście, a nawet życie, jestem

bowiem przekonana, że w takich warunkach nie przeżyłaby jednego roku. Niech to panu jednak Bóg przebaczy tak, jak my obie przebaczymy — i niech pan wie, że dziś jeszcze modliliśmy się za pana na umyślnie zamówionej na pańską intencję mszy u św. Jadwigi.

«Pierścionek zechciej pan odesłać do willi Osnowskich; pański, ponieważ Osnowscy także mieli zaraz wyjechać, dojdzie pana przez ręce panny Ratkowskiej. Raz jeszcze, niech panu Bóg wszystko przebaczy i zachowa go w swojej opiece».

— To jest coś niesłychanego! — rzekł Polaniecki.

A Zawilowski odrzekł z rozdzierającym smutkiem:

— To widać z prawdy można to samo zrobić, co z miłości, a jaś się tego nie domyślał.

— Słuchaj mnie, Ignasiu — odpowiedział Polaniecki, który pod wpływem współczucia począł mówić Zawilowskiemu *ty*: — to już kwestya nie tylko twojego nieszczęścia, ale twojej godności. Cierp, ile chcesz, ale powinienes znaleźć siłę do okazania, że o to wszystko nie dbasz.

Nastąpiło długie milczenie. Tylko Polaniecki, przypominając sobie list, powtarzał od czasu do czasu:

— To przechodzi ludzkie pojęcie!

Wreszcie zwrócił się do Zawilowskiego:

— Świrski wraca dziś jeszcze z Buczynka i późnym wieczorem wpadnie do mnie. Chodź i ty. Spędzimy wieczór razem i pogadacie o podróżach.

— Nie, — rzekł Zawilowski — ja po powrocie z Przytułowa miałem spędzić noc u ojca — i muszę do niego iść. Jutro rano przyjdę do pana i zobaczę się ze Świrskim.

Mówił zaś tak, ponieważ chciał zostać sam. Polaniecki nie sprzeciwił się jego zamiarowi spędzenia nocy w zakładzie, sądził bowiem, że zajęcie przy chorym i opieka nad nim zajmą umysł Zawilowskiego, przytem zaś przyjdzie znużenie i potrzeba snu. Postanowił jednak odprowadzić go aż do zakładu.

Jakoż pożegnali się dopiero przy bramie. Zawilowski jednak, zabawiwszy kilka minut w zakładzie i wypytawszy się dozorcę o ojca, wyszedł i ukradkiem wrócił do domu.

Zapaliwszy świecę, odczytał raz jeszcze list pani Broniczowej, i zakrywszy twarz rękoma, począł rozmyślać. Mimo listu Osnowskiego, i mimo wszystkiego, co mu powiedział Polaniecki, jakaś wątpliwość i jakaś nadzieja tały się istotnie w jego duszy. Wiedział, że *stało się*, ale chwilami miał takie uczucie, jakby to nie była rzeczywistość, tylko zły sen. Dopiero list pani

Broniczowej dotarł do tego jakiegoś kącika duszy, który jeszcze nie chciał wierzyć — i wypalił w nim resztę złudzenia. Tak! nie było już Linety, nie było przyszłości, nie było szczęścia! Posiadł to wszystko Kopowski, jemu zaś została tylko samotność, upokorzenie i okropna nicość. Zostało mu także wrażenie, że gdyby «Niteczka» mogła mu wydrzeć i talent, o którym wspominała pani Broniczowa, to byłaby wydarła i oddała Kopowskiemu. Czemże on był dla niej wobec Kopowskiego!? «Tego ja wprowadzić nigdy nie zrozumieć, — pomyślał — ale tak jest!...» I począł się zastanawiać, co w nim jest tak nędznego, żeby go tak poświęcić bez miłosierdzia, bez najmniejszej uwagi, żeby się mniej liczyć z nim, niż z najlichszym robakiem. «Czemu ona kocha Kopowskiego, nie mnie, któremu mówiła, że kocha?» I przypomniał sobie, jak mu niegdyś drżała w ramionach, gdy po zaręczynowym wieczorze oddawał jej dobranoc. A teraz drży tak samo w ramionach Kopowskiego. I na tę myśl, porwawszy chustkę, począł ją ścisnąć w zębach, żeby nie krzyczeć z bólu i wściekłości. «Co to jest? dlaczego się to stało?!» Był przecie czas, że on jej nie kochał; dlaczego wówczas nie wyszła za Kopowskiego? Co ona mogła mieć w tem, by go tak podeptać bez żadnej potrzeby?

I znów porwał za list pani Broniczowej, jakby spodziewając się znaleźć w nim odpowiedź na te straszne pytania. Przeczytał raz jeszcze ustęp o woli boskiej i o tem, że to on był winien, że on wyrządził wiele złego «Niteczce» — i o tem, że ona mu przebacza, i o mszy, która się odprawiała na jego intencję u św. Jadwigi, a skończywszy, począł patrzeć w świecę, mrugać oczyma i mówić:

— Jakto?... więc to tak można?... Co ja właściwie zawiniłem?

I nagle uczuł, że poczyną go opuszczać pojęcie, co jest prawda a co fałsz, co krzywda a co dobro, co słusność a co niesłusność. Odeszła od niego Lineta, zabrała mu siebie, zabrała przyszłość, a teraz poczęły się usuwać, jedna po drugiej, wszystkie podstawy życia — i rozum, i zmysły, i samo życie... Wiedział jeszcze, że on tę swoją Niteczkę zawsze kochał nad życie i że żadną miarą nie mógł chcieć jej krzywdy, ale poza tem wrażeniem, wszystko, co stanowi istotę myślącą, kruszyło się w nim na proch i jak proch rozlatywało się w tym ogromnym wietrze nieszczęścia.

Jednakże kochał. Lineta rozdawała mu się teraz na dzisiejszą i dawną. Począł sobie przypominać jej głos, twarz, jasno-złote włosy, jej czarne oczy i usta, jej wysoką postać, ręce i to

ciepło, które tylekroć wyczuwał od nich ustami. Potężna jego wyobraźnia odtworzyła ją niemal dotykalnie i poznał, że nie tylko tę swoją dawną kochał, ale kocha dotąd, że bez żadnej miary tęskni za nią i bez miary cierpi po jej stracie.

A poznawszy to, jął znów do niej mówić:

— Jakże ty mogłaś przypuszczać, że ja to potrafię przenieść?

W tej chwili nie miał też najmniejszej wątpliwości, że, na przykład, Bóg wie to bardzo dobrze. Długi czas przesiedział jeszcze w milczeniu, i świeca była niemal do połowy wypalona, gdy się ocknął.

Ale wówczas stało się w nim coś nadzwyczajnego.

Miał takie wrażenie, jakby odbijał statkiem od lądu — i zdawało mu się, co wówczas zawsze się zdaje, że to nie on się oddala, ale że od niego odsuwa się ten brzeg, na którym dotąd przebywał. Wszystko, co było nim i wogóle jego życiem, wszystkie myśli, nadzieje i ambicje, cele, zamiary, nawet miłość, nawet panna Lineta, nawet jej strata — i te koła błędne, i te męki, przez jakie przeszedł, wydały mu się nie tylko już od niego oddzielone, ale jakby obce i wyłącznie do tamtego lądu należące. I stopniowo nikły, stopniowo topniały — coraz mniejsze, coraz bardziej widziadłowe, coraz podobniejsze

do snu; a on oddalał się, czując, że do tej obczyzny wrócić już nie chce, nie może — i że wszystko, co z niego zostało, należy do tego przestworu, który brał go w siebie i otwierał się przed nim — niezmierny i tajemniczy...

LVIII.

W cztery dni później, w dzień Wniebowzięcia Najśw. Panny, który był zarazem dniem imienin pani Połanieckiej, Bigielowie i Świrski przyjechali do Buczynka. Maryni nie zastali w domu, była bowiem wraz z panią Emilią na nieszpórach w jaśmieńskim kościele. Pani Bigielowa, dowiedziawszy się o tem, udała się z całą gromadką Bigieląt za nimi. Mężczyźni, pozostawszy sami, rozmawiali o wypadku, o którym od kilku dni rozmawiało całe miasto, to jest o usiłowaniu samobójstwie Zawilowskiego.

— Byłem u niego dziś trzeci raz, — rzekł Bigiel — ale służba panny Heleny Zawilowskiej ma rozkaz niedopuszczania nikogo, prócz lekarzy.

— I mnie — rzekł Połaniecki; — dziś pierwszy raz nie mogłem go odwiedzić, ale poprzednich dni spędzałem codzień u niego po kilka

godzin. Żonie mówię, że przesiaduję w biurze dla interesów.

— Powiedz mi, jak to się stało? — spytał Bigiel, który chciał wiedzieć wszystkie szczegóły, by je potem dokładnie po swojemu rozważyć.

— Stało się tak, — odrzekł Polaniecki — że Ignasz powiedział mi, iż idzie do zakładu obłąkanych do ojca. Byłem z tego rad, bom sądził, że go to oderwie od rozmyślań. Odprowadziłem go jednak aż do bramy, i obiecał mi, że nazajutrz do mnie przyjdzie. Tymczasem pokazało się, że chciał się mnie pozbyć, by sobie spokojnie w leś strzelić.

— Więc ty nie pierwszy go znalazłeś?

— Nie. Nie przypuszczałem nic podobnego i byłbym go czekał do jutra. Na szczęście, panna Helena przyjechała na samą wieść o zerwaniu małżeństwa...

— Ja jej dałem o tem znać, — przerwał Świrski — i tak to wzięła do serca, że ażem się zdumiał — jakby przeczuwała co się stanie!

— To dziwna istota — rzekł Polaniecki. — Nie mogłem się wywiedzieć, jak to było, dość, że ona pierwsza go znalazła, ona pierwsza dała mu ratunek, ona pierwsza wezwała całą czeredę doktorów — i wreszcie kazala go przenieść do siebie.

— Ale lekarze utrzymują, że będzie żył?

— Właściwie nie dotychczas nie wiedzą. On musiał przy strzale pochylić broń, tak, że kula, przebiwszy czoło, poszła ku górze i zatrzymała się pod czaszką. Znaleźli i wyjęli ją dość łatwo, ale czy będzie żył — a jeśli będzie, to czy umysł jego ocaleje — nie wiadomo. Jeden z lekarzy obawia się zaburzeń w mowie, ale teraz chodzi jeszcze o życie.

Wypadek, jakkolwiek ogólnie już znany i opisywany dotychczas codziennie przez gazety, czynił zawsze wrażenie tak wielkie, iż czas jakiś trwało milczenie. Świrski, który przy swych muskułach atlety miał kobiecą wrażliwość, przybladł nieco i wybuchnął:

— Przez takie — kabotenki!

Lecz siedzący obok profesor Waskowski rzekł z cicha:

— Zostaw je pan bożemu miłosierdziu.

— Proszę cię, — rzekł Bigiel, zwracając się do Polanieckiego — a ty nie podejrzewales?

— Ani mi do głowy nie przyszło, żeby miał sobie w łeb strzelić. Oczywiście, widziałem, że się z sobą łamie. Przez chwilę, gdyśmy jechali, poczęła mu się broda trząść, jakby chciał wybuchnąć płaczem, ale to harda dusza. Pohamował się zaraz i pozornie uspokoił. Głównie zwiódł mnie obietnicą, że nazajutrz przyjdzie.

Po chwili zaś mówił dalej:

— Wiecie, co mi się zdaje? Oto, że taką ostatnią kroplą, która przelała naczynie, był list Broniczowej. Ignas dał mi go do czytania: napisała mu, że to wola boska, a wina po jego stronie, że był egoistą, one zaś idą za głosem sumienia i prawości, że mu przebaczą i proszą Boga, żeby mu także przebaczył, słowem: niesłychane rzeczy! Widziałem, że to zrobiło na nim rozpaczliwe wrażenie — i wyobrażam sobie, co się musiało dziać z człowiekiem, tak skrzywdzonym i tak egzaltowanym, gdy w dodatku zobaczył, że to jemu przypisują krzywdę, gdy zrozumiał, że wszystko można sponiewierać, odwrócić, że można podeptać rozum, prawdę, najprostsze zasady słuszności — i zasłonić się Panem Bogiem. Mnie to przecie nie dotyczyło, a gdym obaczył ten cynizm, czy też ten brak moralnego zmysłu, dalibóg, zadałem sobie pytanie: czy ja zwaryowałem, czy też na świecie prawda i uczciwość są tylko złudzeniem?

Tu Połaniecki począł targać gorączkowo brodę, tak wzburzało go samo wspomnienie listu pani Broniczowej, Świrski zaś rzekł:

— Rozumiem, że gdy nawet jest się człowiekiem wierzącym, w takich chwilach można plunąć na życie.

Lecz Waskowski począł trzeć ręką czoło i następnie ozwał się, jakby sam do siebie:

— Tak. Widziałem i takich... Bo są ludzie, którzy wierzą nie z miłości, ale jakby tylko dlatego, że ateizm zbankrutował... jakby z rozpacz. Kto sobie wyobraża, że tam gdzieś, za zjawiskami, jest, nie Ojciec miłosierny, który kładzie rękę na każdej nieszczęsnej głowie, ale jakiś On, niedostępny, niezbadany i obojętny — wtedy wszystko jedno, czyby się powiedziało: absolut, nirwana — wtedy On jest tylko pojęciem, nie miłością — i nie można go kochać, a gdy przyjdzie nieszczęście, to się pluje na życie.

— To dobrze, — odpowiedział opryskliwie Świrski — ale tymczasem Zawilowski leży z rozbitą czaszką, a one pojechały sobie gdzieś nad morze i dobrze im.

— Skąd pan wie, że im dobrze? — spytał Waskowski.

— Pal je licho!

— A ja panu mówię, że to są nieszczęśliwe kobiety. Nie wolno bezkarnie deptać prawdy. One będą wmawiały jedna w drugą różne rzeczy, ale jednej wmówić nie potrafią, to jest szacunku dla siebie; poczną sobą po cichu pogardzać — i w końcu nawet to przywiązanie, jakie

do siebie mają, zmieni się w skrytą niechęć. To musi nastąpić.

— Pal je licho! — powtórzył Świrski.

— Miłosierdzie boże jest dla złych, nie dla dobrych — zakończył Waskowski.

Tymczasem Bigiel rozmawiał z Polanieckim, podziwiając dobroć i odwagę panny Heleny Zawilowskiej.

— Bo to z tego będą ludzkie gadania, bajeczne — rzekł.

— Ona o to nie dba — odpowiedział Polaniecki. — Ze światem się nie liczy, bo nie od niego nie chce. To także harda dusza. Zawilowskiemu okazywała zawsze wyjątkowe przywiązanie, a jego postępek musiał ją okropnie wstrząsnąć. Wiecie?... Historia Płoszowskiego?...

— Znałem go osobiście — rzekł Świrski. — Ojciec jego przepowiedział mi pierwszy w Rzymie, że wypłynę... O pannie Helenie mówiono bogdaj, że była narzeczoną Płoszowskiego.

— Nigdy nią nie była, ale podobno w skrytości serca kochała go ogromnie. Takie już miał szczęście... To pewna, że od jego śmierci zupełnie stała się inną. Dla kobiety, tak wierzącej, jego samobójstwo istotnie musiało być strasznym ciosem, bo co to jest — nie móż się nawet modlić za człowieka, którego się kochało!... A teraz znów Zawilowski!... Jeśli kto, to ona, zrobi wszystko,

żeby go uratować. Wczoraj, jak tam byłem, wyszła do mnie ledwie żywa — blada, zmęczona, niewyspana. A tam przecie jest komu go pilnować. Panna Ratkowska mówiła mi o niej, że od czterech dni spała może godzinę.

— Panna Ratkowska? — zapytał żywo Świrski.

— Tak! Zapomniałem powiedzieć: dowiedziała się z gazet o wypadku i tego samego dnia przeniosła się do panny Heleny, żeby czuwać nad Zawilowskim. Biedactwo, także podobniejsze do cienia, niż do człowieka.

— Panna Ratkowska!... — powtórzył Świrski.

I począł mechanicznie szukać ręką w kieszeni od surduta pugilaresu, w którym nosił jej bilet.

Przypomniawszy sobie teraz jej słowa: *«Wybrałam inaczej — i jeżeli nigdy nie będę szczęśliwa, nie chcę przynajmniej wyrzucać sobie później, że byłam nieszczera»*. Teraz dopiero zrozumiał i znaczenie, i rzeczywistą tragedję tych słów. Oto, wbrew wszelkim światowym względom, nie dbając na języki ludzkie, ta młoda dziewczyna poszła teraz pilnować tego samobójcy. Cóż to mogło znaczyć? Rzecz była jasna, jak słońce. Wprawdzie Kopowski wyjechał z inną, ale ona mówiła zawsze otwarcie, co myśli o Kopowskim,

a gdyby Zawilowski był jej obojętny, nie szłaby teraz przecie czuwać u jego łóżka.

— Zdaje się, że ja jestem osiel! — mruknął Świrski.

Lecz nie był to jedyny wniosek, do którego po dojrzałszej rozwadze doszedł. Nagle objęła go tęsknota za panną Ratkowską, żal, że się to nie stało, co się mogło stać, i wielka, bezgraniczna litość nad nią: «Spudlowałeś znów, stary dziku, — mówił sobie dalej — i dobrze ci tak! Ale dobry człowiek byłby czuł litość, a ty począłeś zgrzytać; posądzalesz ją o miłość dla durnia, o udawanie aspiracyi, o płaską naturę; obgadywałeś ją przed panią Połaniecką i przed nim; krzywdziłeś słodkie i nieszczęsne stworzenie, nie dlatego, by cię jej odmowa zbyt bolała, ale przez miłość własną. Dobrze ci tak! dobrze! Jesteś osiel, jesteś jej niewart i będziesz się kołatał sam do śmierci, jak mandryl za kratą w menażeryi».

Była w tych zarzutach część prawdy. Świrski nie kochał się na dobre w pannie Ratkowskiej, ale jej odmowa ubodła go głębiej, niż sam przyznawał — i nie umiając zapanować nad swą goryczą, wdawał się w ogólne wywody o kobietach, cytując pannę Ratkowską, jako przykład — z ujmą dla niej.

Teraz zaś poznał całą czczość podobnych

wywodów. — «Te głupie syntezy gubiły mnie zawsze — myślał. — Kobiety są to indywidua, jak wszyscy ludzie — i pojęcie ogólne: kobieta, nic nie objaśnia. Jest taka panna Castelli, jest taka pani Osnowska, w której przypuszczam rozmaite szelmostwa, nie mając zresztą na to dowodów; ale z drugiej strony, jest pani Polaniecka, pani Bigielowa, jest siostra Aniela i panna Helena, i panna Stefcia. Biedne dziecko — i dobrze mi tak! Ona się tam po cichu martwiła, a jam zgrzytał. Jeżeli taka dziewczyna nie jest dziesięć razy więcej warta ode mnie, to to słońce nie jest warte mojej fajki. Miała świętą rację, dawszy odkosza takiemu bawolowi. Pojadę sobie na Wschód i basta! Takiego światła, jak w Egipcie, niema na świecie!... I co to jest uczciwa kobieta! Przecie ona zrobiła mi dobrze nawet swoją odmową, bom się przez nią przekonał, że moje teorye o kobietach można psu o grzbiet potłuc. Ale żeby panna Zawilowska postawiła cały pułk dragonów przed drzwiami, to muszę tamtą biedaczkę zobaczyć i powiedzieć jej, co o niej myślę».

Jakoż nazajutrz udał się do domu panny Heleny. Nie chciano go wpuścić, ale nastawał tak, że wreszcie został przyjęty. Panna Helena, sądząc, że powoduje nim wyłącznie przyjaźń i troskliwość, wprowadziła go nawet do pokoju,

w którym leżał ranny. Tam, w mroku zapuszczonych rolet, ujrzał Zawilowskiego, od którego bił zdala zapach jodoformu, z obwiązaną głową i z wystającą szczęką, a przy nim te dwie kobiety wymęczone, z gorączką od bezsenności w twarzach, i rzeczywiście do dwóch cieniów podobne. Zawilowski leżał z otwartymi ustami, zmieniony, nie do siebie niepodobny, jakby bez porównania starszy, z opuchliną na powiekach, wychylających się z pod bandażu. Świrski polubił go był bardzo — i przy swej wrażliwości miał dla niego nie mniej współczucia od Polańckiego lub Osnowskiego — jednakowoż uderzyła go teraz jego szpetność. — «Ten się dopiero urządził» — pomyślał, poczem, zwróciwszy się do panny Heleny, spytał półgłosem:

— Nie odzyskał przytomności?

— Nie — odpowiedziała szeptem.

— Cóż doktor mówi?

Panna Helena poruszyła swemi wychudłemi dłońmi, na znak, że wszystko jeszcze niepewne, poczem szepnęła znowu:

— Dziś piąty dzień...

— I gorączka mniejsza — dodała panna Ratkowska.

Świrski chciał ofiarować swoje usługi do pilnowania chorego, ale panna Zawilowska wskazała mu oczyma młodego lekarza, którego zrazu nie

mógł w mroku dostrzedz, a który, siedząc w fotelu obok stołu z miednicą i stosami jodoformowej waty, drzemał ze zmęczenia, czekając, póki drugi go nie zmieni.

— Mamy dwóch, — szeptała panna Ratkowska — a prócz nich, ludzi z domu zdrowia, którzy umieją obchodzić się z chorym.

— Panie ogromnie się jednak męczą.

— Tu chodzi u chorego!... — odpowiedziała, spoglądając w stronę łóżka.

Świrski poszedł za jej wzrokiem. Oczy jego przyzwyczały się już lepiej do mroku, i dojrzał teraz wyraźnie twarz Zawilowskiego, nieruchomą, z wargami prawie czarnemi. Długie jego ciało było również nieruchome, tylko palce wychudłej ręki, leżącej na koldrze, poruszały się jednostajnym ruchem, jakby ją drapiąc.

— Wywiozą go za parę dni, jak Bóg na niebie! — pomyślał, wspominając swego kolegę, owego «Słowianina», z którym droczył się swego czasu Bukacki, a który, strzeliwszy sobie w głowę, zmarł dopiero po dwóch tygodniach męki.

Chcąc jednak dodać otuchy kobietom, rzekł wbrew temu, czego był pewien:

— Tego rodzaju rany, albo zaraz są śmiertelne, albo się leczą.

Panna Helena nie odpowiedziała nic, tylko

twarz ściągnęła się jej kurczowo i usta pobladły. Widocznie w jej duszy tała się straszna myśl, że on *także* może umrzeć, a nie chciała jej dopuścić. Miała dość jednego tamtego samobójstwa — i zarazem chodziło jej o coś więcej, niż o uratowanie Zawilowskiemu życia.

Świrski począł się żegnać. Wchodził tu z przygotowaną przemową do panny Ratkowskiej, której postanowił się przyznać, że ją niesłusznie posądzal, wyrazić całą cześć, jaką dla niej żywił, i prosić o przyjaźń, ale wobec rzeczywistej tragedii tych dwóch kobiet, wobec tej grozy śmierci i tego pół-trupa, uznał natychmiast, że wszystko, co miał zamiar powiedzieć, było lichy, mały, i że tu na takie marne, osobiste rzeczy nie pora.

Przycisnął tylko do ust w milczeniu rękę panny Heleny, a następnie panny Ratkowskiej — i wyszedłszy z tego pokoju, przesyconego nie-
szczęściem i jodoformem, odetchnął głęboko.

W jego malarskiej wyobraźni przedstawił się teraz wyraźnie Zawilowski, zmieniony, o dziesięć lat starszy, z obwiązaną głową i czarnymi wargami.

I pomimo całego współczucia, jakie dla niego miał, chwyciło go nagle oburzenie.

— Przedziurawił sobie czaszkę — mruknął — przedziurawił talent — i ani dba! A tamte, nie-

bogi, dusze z siebie wywłóczą i trzęsą się jak liście.

Poczem ogarnęło go jakby uczucie zazdrości, jakby żal nad samym sobą i jął monologować:

— Cóż, stary! A gdybyś ty na przykład zapakował sobie w swój talent kawałek ołowiu, niktby przy tobie nie chodził na palcach!

Dalsze rozmyślania przerwał pan Pławicki, który, spotkawszy go na skrócie ulicy, zatrzymał i począł rozmawiać.

— Ja dopiero z Karlsbadu — rzekł. — Panie! ile przystojnych kobietek! Dziś jadę do Buczynka... Widziałem już Połanieckiego i wiem, że córka zdrowa; ale on się jakoś ściągnął.

— Bo miał zmartwienie. Słyszał pan o Zawilowskim?

— Słyszałem! słyszałem! A cóż panie? co pan na to?

— Nieszczęście!

— Nieszczęście, ale i to, że dziś niema zasad. Wszystko to te nowe wymysły, te wasze ateizmy, hipnotyzmy, socyalizmy. Młodzież nie ma zasad — ot, co!...

KONIEC TOMU DWUDZIESTEGO PIERWSZEGO.

„Tygodnik Ilustrowany” daje rocznie przeszło 1200 ilustracyi, oraz bezpłatne reprodukcyje kolorowe obrazów artystów naszych.

W „Tygodniku Ilustrowanym” drukują się stale jednocześnie **dwa utwory** powieściowe i nowelistyczne **oryginalne** cenniejszych autorów polskich.

W dodatku powieściowym, dołączanym w arkuszach, daje Tygodnik utwory powieściowe głośniejszych pisarzy obcych.

Każdy prenumerator

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

otrzyma w r. 1900 bez żadnej dopłaty

dalszych

12 tomów dzieł Sienkiewicza

w nowem wydaniu, obejmującym w 10-cio arkuszowych tomach wszystkie utwory autora „QUO VADIS”.

Oprawa 12 tomów Dzieł Sienkiewicza wynosi rs. 2 (złr. 2.40); w tym stosunku na oprawę 6 tomów dołączać należy rs. 1 (złr. 1.20); na oprawę 3 tomów kop. 50 (ent. 60).

Pierwszych 12 tomów, zawierających:

Szkice węglem, Stary sługa, Hania, Janko muzykant, Listy z Ameryki, Z Puszczy Białowieskiej, Bez dogmatu, Jamioł, Organista z Ponikły, Listy z Rzymu, Wenecyi, Paryża, Komedia z pomyłek, Sachem,

mogą nabywać czytelnicy nasi za dopłatą rs. 5 (złr. 6.50), w oprawie rs. 7 (złr. 8.90) za 12 tomów. Przesyłka kop. 80. Prenumerata „Tygodnika Ilustrowanego” wraz z dodatkiem powieściowym i 12-tu tomami dzieł H. Sienkiewicza wynosi: w Warszawie rocznie rub. 8; z przesyłką pocztową w Król. i Ces. kwart. rub. 3, półrocznie rub. 6, rocznie rub. 12, zagranicą: rocznie rs. 13, półrocznie rs. 6 kop. 50, kwartalnie rs. 3 kop. 25.

W Krakowie kwartalnie 3.30 złr., we Lwowie kwartalnie złr. 3.60, a w Galicyi z przesyłką poczt. kwartalnie złr. 3.75. W Poznaniu rocznie Mk. 24, z przes. pocztową w Cesarstwie Niemieckiem Mk. 30.

Adres Administracyi „Tygodnika Ilustrowanego”:

Krakowskie Przedmieście, 17, Warszawa.

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXII.

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXII

RODZINA POŁANIECKICH

CZĘŚĆ VIII.

WARSZAWA

NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

(DODATEK BEZPŁATNY)

1900

Дозволено Цензурою.

Варшава, 9 Ноября 1899 г.

LIX.

Połaniecki, pod wrażeniem katastrofy, zapomniał zupełnie o obietnicy uczynionej Osnowskiemu, że napisze mu, jak Zawilowski przeniósł zerwanie małżeństwa i odjazd panny Castelli. Osnowski jednak, dowiedziawszy się o wypadku z gazet, począł codziennie wypytywać depeszami o stan chorego — i niepokoił się nim ogromnie. W prasie i publiczności krążyły najsprzeczniesze wieści. Niektóre pisma donosiły, iż stan ów jest bez nadziei, inne przepowiadały rychłe wyzdrowienie. Połaniecki przez długi czas nie mógł też donieść nic pewnego, i dopiero po dwóch tygodniach przesłał depeszę, że chory przestał się wahać między życiem a śmiercią — i że lekarze ręką już stanowczo za jego ocalenie.

Osnowski odpowiedział obszernym listem, w którym donosił zarazem rozmaite nowiny z Ostendy.

— «Bóg panu zapłaci za dobrą wiadomość. Więc to już stanowczo wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Nie umiem panu wypowiedzieć, jaki ciężar spadł z serca nam obojgu. Powiedz pan Ignasiowi, że nie tylko ja, ale i moja żona przyjęła ze łzami nowinę o jego ocaleniu. Ona o nikim innym teraz nie mówi i nie myśli, tylko o nim. Ach panie, co to są kobiety! — możnaby tomy o tem pisać! Anetka to przecie wyjątek, a da pan wiara, że, pomimo całego przerażenia, żalu i współczucia, Ignas urósł jeszcze w jej oczach przez ten nieszczęsny postępek. One szukają zawsze strony romantycznej, tak dalece, że nawet i w Kopowskim, Anetka, która zna całą jego głupotę, widzi teraz, jako w sprawcy nieszczęścia, coś demonicznego. Ale przede-wszystkiem, chwała Bogu za ocalenie Ignasia! Niech żyje na chwałę naszego społeczeństwa i niech znajdzie godną siebie istotę. Z depeszy pańskiej wnoszę, że jest pod opieką panny Heleny. Niech i jej da Bóg wszystko dobre za takie pocziwe serce. Ona istotnie nie ma nikogo bliższego na świecie — i wyobrażam sobie, że Ignas przez wspomnienie Płoszowskiego jest jej jeszcze droższy.

«Teraz, gdy mnie pan już uspokoił o jego życie, mogę wam przesłać kilka wiadomości o ciotce Broniczowej i o Linecie. Może pan już

słyszał, że one tu są, wraz z Kopowskim. Pojechały naprzód do Scheveningen, ale dowiedziały się, że tam ospa, więc uciekły do Ostendy, nie przypuszczając, że i my tu jesteśmy. Spotkaliśmy się kilkakrotnie w Kursalu — i udawaliśmy, że się nie znamy. Kopowski zostawił nawet u nas bilety, ale go nie rewizytowałem, pomimo, iż, jak słusznie mówi moja żona, on w tem wszystkiem daleko mniej winien od nich. Dopiero po otrzymaniu tej depešy, w której mi pan donosisz, że Ignasz stanowczo uratowany, zdawało mi się, że sama ludzkość nakazuje im ją posłać — i tak zrobiłem. Im się i tak tu źle dzieje, bo znajomi odsuwają się od nich — chciałem więc, by przynajmniej to wiedziały, iż nie mają życia ludzkiego na sumieniu, tem bardziej, że Lineta jakoby jednak odczuła postępек Ignasia. Jakoż tego samego dnia były u nas z wizytą, i żona moja je przyjęła. Ona słusznie mówi, że zło jest chorobą moralną, a w chorobie nie godzi się krewnych opuszczać. Wogóle to pierwsze zetknięcie się było i ciężkie i kłopotliwe dla obu stron. O Ignasiu nie mówiliśmy ani słowa. Kopowski występuje tu jako narzeczony Linety, ale nie wydają się zbyt uszczęśliwieni, choć, co prawda, to ona stosowniejsza dla niego, niż dla Ignasia, i pod tym przynajmniej względem wszystko, co zaszło, można

uważać za zrządenie boże. Wiem też od osób postronnych, że tak przedstawia rzecz i ciotka Bronieczowa. Nie potrzebuję panu mówić, jak mnie złości to nadużywanie imienia boskiego. Wiem, że niektórym z bawiących tu znajomych próbowała wmówić, iż zerwały z Ignasiem z powodu jego braku uczuć religijnych; innym opowiadała historye o jego despotyzmie i niezgodności usposobień z Linetą. Wszystko to jest oszukiwanie, nietylko świata, ale i siebie. Ciotka, przez ciągle wmawianie sobie i innym, sama w końcu uwierzyła w podniosły charakter Linety — i pod tym względem doznała ogromnego zawodu. Poczuiwa się wprawdzie do obowiązku osłaniania jej, wymyśla Bóg wie co na jej obronę i miota się, jak szalona, ale poczucie zawodu w niej tkwi i myślę, że się tem gryzie, bo zmierniała mocno. Chodzi też im widocznie o stosunki z nami; myślą, że je to niejako zwiąże napowrót ze światem, ale chociaż żona moja je przyjęła, oczywiście, stosunki nasze nie mogą powrócić do dawnej normy. Ja pierwszy nie mógłbym na to pozwolić, ze względu na mój obowiązek dobierania dla żony odpowiedniego towarzystwa. Ślub Linety z Kopowskim ma się odbyć podobno za dwa miesiące w Paryżu. Naturalnie, że nie będziemy. Żona moja zresztą patrzy na to bardzo sceptycznie. Rozpisałem

się obszerne, w nadziei, że w ten sposób zobowiązę pana do równie obszernej odpowiedzi ze wszelkimi szczegółami o Ignasiu. Gdy stan zdrowia jego na to pozwoli, niech go pan uściska ode mnie i niech mu pan powie, że ma i zawsze będzie miał we mnie najserdeczniejszego, duszą i sercem oddanego mu przyjaciela».

Pani Marynia, mimo spóźnionej pory, mieszkała jeszcze w Buczynku, więc Polaniecki, odebrawszy ten list w biurze, pokazał go najpierw Bigielom, u których był na obiedzie.

— Z jednej rzeczy się cieszę — rzekła, przeczytawszy list, pani Bigielowa: — oto, że ona wychodzi sobie zaraz za tego Kopowskiego. Inaczej bałabym się, że w Ignasiu znów się coś odezwie i że, wyzdrowiawszy, gotówby do niej powrócić.

— Nie. Zawilowski ma dużo charakteru i myślę, że nie wróciłby w żadnym razie — rzekł Bigiel. — Jak myślisz, Stachu?

Bigiel tak był przyzwyczajony pytać w każdym wypadku o zdanie współnika, że i w tym nie umiał się bez niego obejść.

— Ja myślę, że one, gdy się rozpatrzą, co zrobiły, prędzejby gotowe były wrócić, a co do niego, żyłem już tyle lat i widziałem tyle nieprawdopodobnych rzeczy, że za nikogo nie ręczę.

W tej chwili Polanieckiemu znów przypom-

niały się słowa: «Ja wiem, jaka ona jest, ale nie mogę od niej duszy odedrzeć.»

— A tybyś wrócił na jego miejscu? — spytał Bigiel.

— Myślę, że nie, ale nie zaręczam i za siebie. Przedewszystkiem nie byłbym sobie w łeb strzelał. Zresztą, nic nie wiem.

I mówił to z wielkiem zniechęceniem, pomyślał bowiem, że jeśli kto, to on nie miał prawa za siebie ręczyć.

Lecz pani Bigielowa poczęła mówić:

— Dałabym nie wiem co, żeby Ignasia zobaczyć, ale doprawdy, że łatwiej fortecę zdobyć, niż się do niego dostać. I nie rozumiem, dlaczego panna Helena tak go broni przed ludźmi, nawet tak życzliwymi, jak my.

— Ona go broni przed ludźmi, bo mu doktor nakazał bezwzględny spokój. Zresztą jemu, od czasu jak odzyskał pamięć, widok ludzi, choćby najżyczliwszych, jest ogromnie przykry. I to się rozumie. Nie może przecie z nimi mówić o swoim postępku, a widzi, że każdy, kto się do niego zbliża, myśli nie o czem innem, tylko o tem.

— A pan bywa u niego codzień!

— Mnie dopuszczają, bo ja należałem poniekąd do sprawy od początku. Pierwszy przecie

doniosłem mu o zerwaniu małżeństwa — i niby to go pilnowałem.

— Czy on tę dziewczynę jeszcze wspomina?

— Pytałem o to panny Heleny i panny Ratkowskiej: powiedziały mi, że nigdy. Sam prześiaduję także przy nim godzinami i nie słyszałem nigdy nic. To jest dziwna rzecz: on jest przytomny, wie, że jest ranny, wie, że chory, ale zdaje się przytem nie pamiętać rzeczy przeszłych, tak jakby przeszłość wcale nie istniała. Lekarze mówią, że rany w głowę powodują różne takie najszczególniejsze objawy. Zresztą poznaje każdego, kto się do niego zbliży; okazuje ogromną wdzięczność pannie Helenie i pannie Ratkowskiej. Szczególniej lubi pannę Ratkowską i widocznie tęskni za nią, gdy na chwilę od niego odejdzie. Ale też one obie — dalibóg! — słów na to niema — jakie pocziwe.

— Mnie szczególniej wzrusza panna Ratkowska — rzekła pani Bigielowa.

Bigiel zaś wtrącił:

— Ja, zastanowiwszy się dobrze nad wszystkim, doszedłem do wniosku, że ona musiała się w nim kochać.

— Niepotrzebnieś tracił czas na namysł, — odpowiedział Polaniecki — bo to jasna rzecz, jak słońce. Biedactwo chowało w sobie uczucie, póki nie przyszło nieszczęście. Dlatego odrzuciła taką

partyę, jak Świrski. Nie robię z tego tajemnicy, bo sam Świrski rozpowiada to na wszystkie strony. Jemu się zdaje, że winien jej zadośćuczynienie za to, iż posadzał ją o miłość do Kopowskiego. Gdy Zawilowski strzelił do siebie, ona była po odjeździe Osnowskich u swojej krewnej, pani Mielnickiej, ale dowiedziawszy się, że panna Helena zabrała Ignasia, przyszła do niej i uprosiła ją, by jej pozwoliła zostać. Wszyscy doskonale wiedzą, jak to rozumieć, ale ona się z takimi względami nie liczy, również jak i panna Helena.

Tu Połaniecki zwrócił się do pani Bigielowej:

— Ach, pani! panią najbardziej wzrusza panna Ratkowska, ale niech pani pomyśli, co to za, dalibóg, tragiczna postać taka panna Helena. Zawilowski przynajmniej żyje, a Płoszowski lepiej wymierzył. I wedle jej pojęć, niema dla niego miłosierdzia nawet na tamtym świecie. A ona go kocha. Oto położenie! Wreszcie po takim jednem samobójstwie przychodzi to drugie, rozdziera wszystkie rany, odświeża wszystkie wspomnienia. Panna Ratkowska może być sobie wzruszająca, ale tamta ma życie złamane raz na zawsze, żadnej nadziei, tylko rozpacz.

— Prawda, prawda! Ale ona musiała przywiązać się do Ignasia, skoro nim się tak opiekuje...

— Ja rozumiem, dlaczego ona to robi. Oto za ratunek Zawilowskiego chce wyprosić u Pana Boga miłosierdzie dla tamtego.

— To być może — rzekł Bigiel. — A Zawilowski, kto wie, czy nie ożeni się z panną Ratkowską, jak wyzdrowieje.

— Jeśli zapomni o tamtej, jeśli się nie złamie i jeśli wyzdrowieje.

— Jakto, jeśli wyzdrowieje? Sam przecie mówiłeś, że to już niewątpliwe.

— Niewątpliwe, że będzie żył, ale pytanie, czy będzie dawnym Zawilowskim. Choćby sobie był w głowę nie strzelał, to i wówczas trudnoby było orzec, czyby takie przejście nie złamało człowieka, tak egzaltowanego. A dodaj jeszcze rozbita głowę! Za to się przecie płaci. Kto tam wie, co będzie dalej, ale teraz, na przykład, niby to przytomny, niby mówi z sensem, a czasem utnie i nie może sobie przypomnieć najprostszego wyrazu. Dawniej się nigdy nie zacinał. I to dziwne, że nazwy rzeczy pamięta dobrze, ale jak chodzi o jaką czynność, najczęściej staje — i albo sobie przypomni z wysileniem, albo wcale.

— A cóż doktor?

— W Bogu nadzieja, że to przejdzie — i doktor też jej nie traci. Jednak wczoraj jeszcze, jakem tylko wszedł, powiedział: «Pani...» i uciał.

Widocznie chodziło mu o Marynię, którą sobie nagle przypomniał — ale nie umiał o nią spytać. Z każdym dniem więcej mówi — to prawda, tylko, nim przyjdzie do siebie, może jeszcze dużo czasu upłynąć, a jakieś ślady mogą na zawsze pozostać.

— A Marynia wie już o wszystkim?

— Póki nie było pewności, że będzie żył, trzymałem wszystko w tajemnicy, ale potem wołałem jej powiedzieć. Oczywiście, zachowałem wszelkie ostrożności. Całkowitego sekretu trudno było dłużej utrzymać. Zanadto ludzie o tem mówią, i bałem się, żeby nie dowiedziała się z boku. Powiedziałem jej zresztą, że jest lekko ranny i że nie mu nie grozi, ale że lekarze zakazują go odwiedzać. I tak zmartwiła się ogromnie.

— Kiedy ją pan zabierze do miasta?

— Póki pogoda, wolę, żeby siedziała na wsi.

Dalszą rozmowę przerwał list, który Polańickiemu oddał służący. List był od Maszki i zawierał następujące słowa:

— «W twoim własnym interesie chcę się z tobą widzieć. Będę cię czekał u siebie do piątej.»

— Ciekawym, czego ten chce? — rzekł Polańicki.

— Kto taki?

— Maszko. Chce się ze mną zobaczyć.

— Interesa i interesa! — rzekł Bigiel. — Ten ma ich wyżej uszu. Czasem doprawdy dziwię się, skąd mu starczy sił i głowy na to wszystko. Czy wiesz, że pani Krasławska przyjechała i że całkiem straciła oczy? Nic już nie widzi — ale to, co się zowie — nic! Byliśmy u tych pań przed wyjazdem ze wsi. Gdzie się obrócić — bieda ludzka, aż litość bierze patrzeć.

— Ale też w nieszczęściu każdy się pokazuje tem, czym jest — odrzekła pani Bigielowa. — Pamięta pan, żeśmy uważali panią Maszkową za charakter trochę oschły, a tymczasem nie uwierzy pan, jaka ona jest dobra dla matki. Nie pozwala się służącej do niej zbliżyć, sama ją wszędzie oprowadza, posługuje jej, czyta. Prawdziwie, że mi sprawiła miłą niespodziankę, a raczej obie, bo i pani Krasławska straciła całkiem dawną fanaberyę. Przyjemnie patrzeć, jak się te kobiety kochają. Pokazuje się, że w pani Maszkowej było jednak coś, na czym nie umieliśmy się poznać.

— Obie też ogromnie oburzały się postępkom panny Castelli — dodał Bigiel. — Pani Krasławska powiedziała nam: «Gdyby moja Terka tak postąpiła, to, jak jestem ślepa i potrzebująca opieki, takbym się jej wyparła.» Ale pani

Maszkowa jaka jest, taka jest, a takby nie postąpiła, bo to inny gatunek kobiety.

Polaniecki wypił swoją filiżankę czarnej kawy i począł się żegnać. Wszelka rozmowa o pani Maszkowej stała mu się od pewnego czasu nieznośną, a oprócz tego wydało mu się, że znów słyszy jakiś ustęp z tej dziwnej komedyi ludzkiej, która rozgrywała się koło niego i w której on odgrywał także swą marną rolę. Nie przyszło mu na myśl, że natura ludzka jest tak złożona, iż nawet w najlichszej mogą się jeszcze znaleźć jakieś pierwiastki dobre, i że pani Maszkowa, mimo wszystkiego, może być jednak kochającą córką. Wogóle wołał o tem nie myśleć, a natomiast począł się zastanawiać nad pytaniem: czego może od niego chcieć Maszko? Zapomniawszy, iż Maszko napisał w liście, iż chce go widzieć, nie w swoim, ale w jego własnym interesie, przypuszczał z pewnym niepokojem, że znowu zechce od niego pieniędzy.

— A ja — pomyślał — teraz mu ich nie odmówię.

I przyszło mu do głowy, że życie jest podobne do maszyneryi zegarka. Gdy w jednym kółku coś się zwichnie, wszystkie poczynają działać nieprawidłowo. Co za związek mógł istnieć między jego zajściem z panią Maszkową a jego interesami, jego kasą a jego kupiectwem?

A jednak poczuł, że nawet jako kupiec nie ma — przynajmniej względem Maszki — takiej swobody, jaką miał dawniej.

Jednakże przypuszczenia jego okazały się mylne. Maszko nie przyszedł żądać pieniędzy.

— Szukałem cię w biurze i w domu, — rzekł — wreszcie domyśliłem się, że musisz być u Bigielów i posłałem tam kartkę. Chcę z tobą pomóc w twojej własnej sprawie.

— Czem ci mogę służyć? — spytał Połaniecki.

— Przedewszystkiem, proszę cię, by to, co powiem, zostało między nami.

— Dobrze. Słucham cię.

Maszko patrzył przez chwilę w milczeniu na Połanieckiego, jakby chcąc go przygotować tem milczeniem do jakiejś ważnej wiadomości, wreszcie rzekł z dziwnym spokojem, odmierzając każdy wyraz:

— Chciałem ci powiedzieć, że jestem zgubiony bez ratunku.

— Przegrałeś sprawę?

— Nie. Sprawa przyjdzie dopiero za parę tygodni, ale wiem, że ją przegram.

— Skąd masz tę pewność?

— Pamiętasz, com ci niegdyś mówił, że sprawy o zwalenie testamentów prawie zawsze się wygrywa dlatego, że atak jest zwykle ener-

giczniejszy, niż obrona, że na zwaleniu zwykle osobiście komuś zależy, a na utrzymaniu — nie. Na świecie do wszystkiego można się przyczepić, bo choć co jest zgodne z duchem prawa, zawsze niemal, w mniejszym lub większym stopniu, nie czyni zadość jego literze, a sądy muszą trzymać się litery.

— Tak. To wszystko mówiłeś.

— Otóż tak jest i z tą sprawą, której ja się podjąłem. Nie była ona tak awanturniczą, jak się zdaje. Mnie wszystko zależało na tem, żeby zważyć testament — i byłbym może potrafił wykazać pewne jego niezgodności z literą prawa, gdyby nie to, że ktoś, równie namiętnie, usiłuje wykazać, że ich nie ma. Długo ci o tem nie będę rozповідаł, dość, żebyś wiedział, iż mam do czynienia nie tylko z przeciwnikiem adwokatem — i to z kutym na cztery nogi, ale z osobistym nieprzyjacielem, któremu chodzi nie tylko o sprawę, ale o to, by mnie zgubić. Niegdyś sponiewierałem go i teraz się mści.

— Ja wogóle nie rozumiem, jakim sposobem nie masz do czynienia wyłącznie z prokuratorem?

— Bo są i zapisy prywatne, w których obronie strona przeciwna udała się do tego Śledzia. Zresztą mniejsza z tem. Sprawę muszę przegrać, bo jest w tych warunkach do przegrania,

i gdybym był Sledziem, tobym ją wygrał tak, jak ją wygra on. Z góry to wiem — i nie ludzę się. Dość już tego wszystkiego.

— To pójdziesz dalej; będziesz apelował.

— Nie, mój kochany. Ja już nie mogę iść dalej.

— Dlaczego?

— Dlatego, że mam długów więcej niż włosów na głowie, że po pierwszej przegranej wierzyciele rzucają się na mnie — i że (tu Maszko zniżył głos) ja muszę wyjechać...

Nastąpiło milczenie. Maszko wsparł łokieć na kolanie, głowę na dłoni i czas jakiś siedział pochylony — po chwili zaś, nie podnosząc głowy, zaczął znów mówić, jakby sam do siebie:

— Urwało się. Wiązałem rozpaczliwie, póki mi ręce nie ustały; każdemu zbrakłoby sił, a ja jeszcze wiązałem. Ale już nie mogę! Bóg widzi, już nie mam sił. Każda rzecz musi mieć swój koniec — i niech się to raz skończy.

Tu odetchnął, jak człowiek ogromnie zmęczony. Poczem podniósł głowę i rzekł:

— To jednak tylko moja sprawa, a ja przyszedłem, by mówić o twoich. Słuchaj! Według kontraktu zawartego przy sprzedaży Krzemienia, miałem po rozparcelowaniu Magierówki spłacić twoją żonę; ty masz prywatnie u mnie kilka tysięcy rubli. Twojemu teściowi mam wypłacać

dożywotnią rentę. Otóż przychodzę ci powiedzieć, że nie za tydzień, to za dwa, uciekam za granicę, jako bankrut — i że grosza z tego nie będziecie widzieli.

I Maszko, powiedziawszy to wszystko z całą dobitnością i zuchwalstwem człowieka, który nie ma już nic do stracenia, począł patrzeć w oczy Polanieckiego, jakby szukając burzy.

Lecz zawiódł się najzupełniej. Polanieckiego twarz pociemniała wprawdzie na jedno мгніе oka, jakby z tłumionego gniewu, ale po chwili uspokoił się i rzekł:

— Ja się zawsze spodziewałem, że się to tak skończy.

Maszko, który, wiedząc z kim ma do czynienia, przypuszczał raczej, że Polaniecki chwyci go za kołnierz, popatrzał na niego ze zdziwieniem, jak gdyby chciał go spytać: co mu się stało?

A Polaniecki w tejże chwili pomyślał:

— Gdyby chciał jeszcze ode mnie na drogę — tobym mu nie mógł odmówić.

Głośno zaś powtórzył:

— Tak! to było do przewidzenia.

— Nie! — odrzekł Maszko, z namiętnością człowieka, który nie chce rozstać się z myślą, że wszystkiemu winien tylko zbieg wyjątkowych okoliczności: — tego nie masz prawa mó-

wieć. Ja, na godzinę przed śmiercią, gotówem powtórzyć, że mogło pójść inaczej.

A Polaniecki spytał, jakby z odcieniem niecierpliwości:

— Mój kochany, czego ty właściwie ode mnie chcesz?

Maszko ochłonął i odrzekł:

— Ja od ciebie niczego nie chcę. Przyszedłem tylko, jako do człowieka, który mi zawsze okazywał życzliwość i u którego, prócz długów pieniężnych, zaciągnąłem jeszcze dług wdzięczności — żeby ci wyznać otwarcie, jak rzeczy stoją i zarazem powiedzieć: ratuj co można i ile można.

Polaniecki zacisnął zęby. Sądził, że nawet w tej ironii życia, której zgrzyt słyszał ciągle od pewnego czasu wokół siebie, powinna być pewna miara. Tymczasem słowa Maszki o przyjaźni i długu wdzięczności wydały mu się czemś po prostu przechodzącym tę miarę: «Niech dyabli wezmą pieniądze i ciebie — byleś raz sobie poszedł!» — pomyślał w duchu.

Lecz, potłumiwszy w sobie chęć wypowiedzenia tego głośno, rzekł:

— Nie widzę sposobu.

— Jest tylko jeden — odpowiedział Maszko. — Póki jeszcze ludziom niewiadomo, że muszę się zalać, póki ze sprawą testamentu wiąza się

nadzieje, póki moje nazwisko i mój podpis coś znaczą — możesz sprzedać sumę swojej żony. Powiesz nabywcy, że chcesz skapitalizować cały majątek, lub coś podobnego. O pozór łatwo. Nabywca znajdzie się zawsze, zwłaszcza, gdy zdecydujesz się sprzedać ze znacznem ustępstwem. W widokach zysku, kupi ją byle Żyd. Wolę, żeby kto inny stracił, niż ty; a tobie wolno było nie słyszeć tego, co ci powiedział o mojem przyszłym bankructwie, i wolno ci mieć nadzieję, że sprawę wygram. Możesz być przytem pewny, że ten, kto od ciebie tę sumę kupi, sprzedałby ci ją bez żadnego skrupułu, choćby wiedział, że jutro nie będzie warta złamanego szeląga. Świat jest giełdą, a na giełdzie większość interesów robi się wedle tej normy. To się nazywa zręczność.

Na to Polaniecki odpowiedział:

— Nie. To się nazywa inaczej. Wspomniałeś Żydów: otóż istnieją pewne interesa, które oni określają jednym wyrazem: «schmutzig!» Sumę mojej żony będę ratował w inny sposób.

— Jak wola twoja. Ja, mój kochany, wiem także, co wart mój sposób, tylko widzisz, mimo wszystkiego, powiedziałem sobie, że ci go powinienem podać. Jest to może uczciwość przyszłego bankruta — ale ja już nie mogę mieć innej. Łatwo się domyślisz, jak mi lekko to mówić.

Wiedziałem zresztą z góry, że się na to nie zgodzisz, więc chodziło mi tylko o to, by zrobić swoje. A teraz daj mi filiżankę herbaty i kieliszek koniaku, bo ledwie żyję.

Połaniecki zadzwonił o herbatę i koniak, Maszko zaś mówił dalej:

— Pewną liczbę ludzi muszę zarwać — na to niema rady — więc wolę zarwać obojętnych, niż tych, którzy mi oddali jakąś usługę. Są położenia, w których trzeba być oportunistą względem własnego sumienia.

Tu Maszko uśmiechnął się z goryczą:

— Ja sam o tem nie wiedziałem, — mówił dalej — ale teraz otworzyły się przede mną nowe horyzonty. Człowiek uczy się do śmierci. My, bankruci, mamy także pewien punkt honoru. Co do mnie, mniej mi chodzi o takich, którzyby mnie także w danym razie zarwali, niż o bliźkich, którym winienem wdzięczność. Jest to może moralność Rinaldiniego, ale swego rodzaju moralność.

Tymczasem służący wniósł herbatę. Maszko, potrzebując się widocznie pokrzepić, dolał do swej filiżanki przez pół koniaku i, ostudziwszy w ten sposób wrzątek, wypił jednym tchem.

Połaniecki zaś rzekł:

— Mój kochany, położenie znasz lepiej ode mnie. Wszystko, co mógłbym ci powiedzieć prze-

ciw ucieczce, a za pozostaniem i za układem z wierzycielami, zapewne powiedziałeś sobie sam; więc wolę się spytać o co innego: Masz ty o co ręce zaczepić? masz ty choć na wyjazd?

— Mam. Czy się bankrutuje na sto tysięcy, czy na sto dziesięć — to wszystko jedno, ale dziękuję ci za pytanie.

Tu Maszko dołał znów koniaku do drugiej filiżanki herbaty — i rzekł:

— Nie myśl, że zaczynam pić z rozpacz, ale od rana dziś nie usiadłem — i jestem ogromnie zmęczony. Ach, jak mi to dobrze zrobiło! Powiem ci teraz otwarcie, że nie dałem jeszcze za wygraną. Widzisz, że nie strzeliłem sobie w łeb. To melodramat, to się już zużyło. Wiem wprawdzie, że tu wszystko dla mnie skończone, ale na tym gruncie i tak nie mógłbym wypłynąć. Tu są po prostu za małe interesa — i nie ma pola. Weź taki zachód, taki Paryż! Ot, tam ludzie robią fortuny, tam przewracają się i podnoszą. Co tu gadać, kiedy to tak jest! Czy ty wiesz, że taki Hirsch nie miał może trzystu franków, wychodząc z kraju? Wiem! wiem! ze stanowiska tutejszej stęchlizny i tutejszego safundulstwa to się wyda marzeniem, gorączką bankruta... A jednak tam gorsi ode mnie robią miliony — gorsi!... Przegram, albo wygram, ale jeśli tu kiedyś wrócę...

ciw ucieczce, a za pozostaniem i za układem z wierzycielami, zapewne powiedziałeś sobie sam; więc wolę się spytać o co innego: Masz ty o co ręce zaczepić? masz ty choć na wyjazd?

— Mam. Czy się bankrutuje na sto tysięcy, czy na sto dziesięć — to wszystko jedno, ale dziękuję ci za pytanie.

Tu Maszko dołał znów koniaku do drugiej filiżanki herbaty — i rzekł:

— Nie myśl, że zaczynam pić z rozpacz, ale od rana dziś nie usiadłem — i jestem ogromnie zmęczony. Ach, jak mi to dobrze zrobiło! Powiem ci teraz otwarcie, że nie dałem jeszcze za wygraną. Widzisz, że nie strzeliłem sobie w łeb. To melodramat, to się już zużyło. Wiem wprawdzie, że tu wszystko dla mnie skończone, ale na tym gruncie i tak nie mógłbym wypłynąć. Tu są po prostu za małe interesa — i nie ma pola. Weź taki zachód, taki Paryż! Ot, tam ludzie robią fortuny, tam przewracają się i podnoszą. Co tu gadać, kiedy to tak jest! Czy ty wiesz, że taki Hirsch nie miał może trzystu franków, wychodząc z kraju? Wiem! wiem! ze stanowiska tutejszej stęchlizny i tutejszego safundulstwa to się wyda marzeniem, gorączką bankruta... A jednak tam gorsi ode mnie robią miliony — gorsi!... Przegram, albo wygram, ale jeśli tu kiedyś wrócę...

I widocznie herbata z koniakiem poczęła go podniecać, bo zacisnąwszy dłonie, dodał:

— Obaczysz!...

Lecz Polaniecki ozwał się z większą jeszcze niż poprzednio niecierpliwością:

— Jeśli to nie są marzenia, to jest przyszłość. A teraz co?

— Teraz — rzekł po chwili Maszko — będą mnie mieli za szuję — nikt zaś nie pomyśli, że są upadki i upadki... Tobie powiem na przykład, że nie wziął od mojej żony ani jednego podpisu, ani jednego zaręczenia, i że ona będzie miała to wszystko, co miała, nim za mnie wyszła... Wyjeżdżam teraz sam, i póki się nie ustalę, ona zostanie tu z matką. Nie wiem, czyś słyszał, że pani Krasławska straciła wzrok. Nie mogę ich teraz zabierać, bo nie jestem nawet pewny, gdzie będę mieszkał... może w Paryżu, może w Antwerpii... Ale mam nadzieję, że nasze rozłączenie długo nie potrwa... One jeszcze nie wiedzą o niczem... O, w czem tkwi dramat, o, co mnie męczy...

I Maszko położył dłoń na wierzchu głowy, zmrużywszy przytem jakby z bólu oczy.

— Kiedy ty wyjeżdżasz? — spytał Polaniecki.

— Nie wiem, dam ci znać. Tyś mi widocznie chciał ofiarować pomoc — i możesz mi ją dać, chociaż nie pieniężną. Od mojej żony będą

się ludzie z początku odsuwali. Przygarnijcie ją trochę — weź ty ją w opiekę. Zgoda? Tyś był prawdziwie dla mnie życzliwy, a wiem, że i dla niej jesteś życzliwy.

— Dalibóg, można zwaryować! — pomyślał Polaniecki.

Lecz głośno rzekł:

— Zgoda.

— Dziękuję ci z duszy serca. I jeszcze jedna prośba. Ty masz na obie te panie dużo wpływu. One wierzą wszystkiemu, co powiesz. Brońże mnie trochę w pierwszych czasach wobec mojej żony. Wytlómacz jej, że co innego jest nieuczciwość, a co innego nieszczęście. Ja, dalibóg, nie jestem taki lotr, za jakiego mnie ludzie będą mieli. Ot widzisz — mogłem i żonę moją pociągnąć do ruiny, a jednak tego nie uczyniłem; mogłem z ciebie wydobyć jeszcze z jakie parę tysięcy rubli — a jednak wolę tego nie zrobić. Ty jej to wszystko potrafisz przedstawić — i ona ci uwierzy. Zgoda?

— Zgoda — powtórzył Polaniecki.

A Maszko raz jeszcze objął dłońmi głowę i jął powtarzać, ze ściągniętą jakby od fizycznego bólu twarzą:

— Oto w czem prawdziwa ruina! ot, co najwięcej boli!

I po chwili począł się żegnać, a przytem po-

nownie dziękować za życzliwość dla żony i przyszłą nad nią opiekę.

Polaniecki wyszedł z nim razem, wsiadł do powozu i ruszył do Buczynka.

Po drodze myślał o Maszce, o jego losach, ale zarazem powtarzał sobie: «Ja także jestem bankrut!» — I była to prawda. Prócz tego, od pewnego czasu dręczył go jakiś ogólny, niewyrozumowany niepokój, z którym nie mógł sobie dać rady. Naokół widział zawody, klęski, ruiny — i nie mógł się oprzeć poczuciu, że to wszystko jest i dla niego jakby jakąś zapowiedzią i groźbą na przyszłość. Dowodził sobie wprawdzie, że podobne obawy nie dadzą się logicznie usprawiedliwić, niemniej jednak obawy nie przestawały mu tkwić gdzieś na dnie duszy. I kiedy indziej mówił znów sobie: «Dlaczego ja jedynie miałbym stanowić wyjątek?» Wówczas serce ścisnęło mu się przeczuciem nieszczęścia. Było to jeszcze gorsze od tych szpilek, które mimowoli wbijali w niego, byle słowem, ludzie nawet najżyczliwsi. Wogóle nerwy jego ucierpiały w ostatnich czasach tak, że stał się prawie przesądny. Codziennie wracał do Buczynka z niepokojem, czy podczas jego niebytności nie stało się w domu co złego.

Tym razem powrócił z powodu Maszki później niż zwykle i zajechał o zupełnym już mroku.

Wysiadłszy przed gankiem na piaszczystej drodze, która tłumila turkot powozu, ujrzał przez okno Marynię, panią Emilię i profesora, siedzących przy stole w pośrodku saloniku. Marynia układała pasyans i widocznie tłumaczyła go pani Emilii, miała bowiem zwróconą ku niej głowę i palec na karcie. Polaniecki na widok jej pomyślał to, co od niejakiemu czasu ciągle sobie powtarzał i co napelniało go zarazem i uczuciem szczęścia i jeszcze większej dla siebie goryczy: «To jest najczystsza dusza, jaką w życiu spotkałem!» — I z tą myślą wszedł do pokoju.

— Spóźniłeś się dzisiaj, — rzekła Marynia, gdy przy powitaniu podnosił jej rękę do ust — ale czekamy cię z kolacją.

— Maszko mnie zatrzymał — odpowiedział Polaniecki. — Co tu słyhać?

— Jak zawsze. Wszystko dobrze.

— A ty jak się czujesz?

— Jak ryba — odpowiedziała wesolo, podając mu czoło do pocałunku.

Następnie poczęła wypytywać o Zawilowskiego. Polaniecki, po przykrej rozmowie z Maszką, po raz pierwszy odetchnął swobodniej. «Zdrowa jest i wszystko dobrze!» — pomyślał, jakby ze zdziwieniem. I rzeczywiście było mu dobrze w tym jasnym saloniku, w tym ogromnym spo-

koju, wśród życzliwych dusz i obok tej najbliższej istoty, tak dobrej i pewnej. Czuł, że tu było wszystko, czego potrzeba do szczęścia, ale jednocześnie czuł, że on to szczęście dobrowolnie popsuł, że wniósł do czystej atmosfery domowej pierwiastki zepsucia i złego — i że pod takim dachem mieszka bezprawnie.

LX.

W połowie września dni nastaly tak zimne, że państwo Polanieccy przenieśli się z Buczynka do swego miejskiego mieszkania. Polaniecki na przybycie żony odświeżył je i przyozdobił kwiatami. Zdawało mu się wprawdzie, że stracił prawo do kochania jej, ale on stracił tylko dawną swoją względem niej swobodę; natomiast może właśnie wskutek tego stał się z nią daleko bardziej uważnym i uprzedzającym. Prawa do kochania nikt nie daje i nic nie może go odebrać. Inna rzecz, że człowiek w upadku i wobec duszy nierównie szlachetniejszej może nie czuć się jej godnym. Wówczas kocha z pokorą i swego uczucia nie śmie nazwać właściwym mianem. Co Polaniecki stracił rzeczywiście, to swoją pewność siebie, swoją zamaszystość

i swoją dawną bezceremonialność w stosunku z żoną. Teraz były czasem w jego obejściu z nią takie odcienie, jakby ona była jeszcze panną Pławicką, a on niepewnym swego losu pretendentem.

Jednakże ta jego niepewność wyglądała niekiedy na chłód. Ostatecznie stosunek ich, mimo większej uwagi i staranności ze strony Polanieckiego, stał się dalszym, niż był przedtem. «Nie mam prawa!» — oto, co powtarzał sobie Polaniecki przy każdym żywszem poruszeniu serca. I Marynia w końcu spostrzegła, że oni żyją teraz z sobą jakoś inaczej, ale tłumaczyła sobie to rozmaitymi powodami.

Naprzód, w domu byli goście, przy których, bądź co bądź, swoboda pożycia musiała się zmniejszyć. Powtóre, przyszło owo nieszczęście z Zawilowskim, które Polanieckim mogło wstrząsnąć i oderwać jego myśl w inną stronę, a wreszcie Marynia przywykła już do rozmaitych zmian w usposobieniu «Stacha» i przestała przywiązywać do nich tyle znaczenia, ile przywiązywała poprzednio.

Przeszedłszy przez długie godziny smutku i rozmyślań, doszła nakoniec do przekonania, że w pierwszych czasach, póki się pewne nierówności i zagięcia charakterów nie ułożą do jednej wspólnej linii, takie różne zmiany i od-

ienie w pożyciu są rzeczą konieczną, ale przejściową. Dopomógł jej także do wykrycia tej prawdy zdrowy rozsądek pani Bigielowej, która, gdy raz Marynia poczęła podnosić jej doskonały stosunek z mężem, rzekła:

— Ej, nie od razu do tego przyszło. Z początku kochaliśmy się niby to zapalczywiej, ale byliśmy daleko mniej dopasowani; czasem jedno ciągnęło w jedną, a drugie w drugą stronę. Tylko, że oboje mieliśmy uczciwość i dobrą wolę. Pan Bóg to widział i błogosławił. Po pierwszym dziecku wszystko poszło od razu jak najlepiej — i dziś nie oddałabym mojego starego kociska za wszystkie skarby świata, chociaż mi tyje, a jak namawiam na Karlsbad, to nie chce słuchać.

— Po pierwszym dziecku? — spytała z wielkiem zajęciem Marynia. — Aha! zarazbym była zgadła, że to przyszło po pierwszym dziecku.

Pani Bigielowa poczęła się śmiać:

— A jaki on był zabawny, jak nam się pierwszy chłopak urodził! Bo przez pierwsze dni nie mówił nic a nic, tylko podnosił na czoło okulary, przypatrywał mu się, jak jakiemuś zamorskiemu dziwu, a potem szedł do mnie i całował mnie po rękę.

Nadzieja dziecka była także powodem, dla którego Marynia nie brała zbyt do serca tej

nowej zmiany w Stachu. Naprzód obiecywała sobie oczarować go z kretešem — i dzieckiem (o którym była z góry przekonana, że będzie czemś po prostu fenomenalnym) — i swoją po słabości urodą, a powtórę sądziła, że teraz nie wolno jej myśleć o sobie, ani nawet wyłącznie o Stachu. Teraz była zajęta przygotowaniem miejsca dla przyszłego gościa, zarówno w domu, jak w duszy. Czula, że trzeba obwinać taką figurę nietylko w pieluszki, ale i w miłość. Więc gromadziła odpowiednie zapasy. Mówiła sobie zarazem, że życie we dwoje może być zmienne, ale we troje nie może być czem innem, tylko szczęściem i wypełnieniem się owego oczekiwanego miłosierdzia i laski bożej.

Wogóle patrzyła w przyszłość nadzwyczaj raźnie. Jeśli wreszcie Połaniecki był dla niej jakiś inny, jakby bardziej etykietałny i jakby dalszy, miewał natomiast takie delikatności, jakich nie okazywał dawniej. Troskę i zmęczenie, które widywała na jego twarzy, przypisywała przywiązaniu do Zawilowskiego, o którego zdrowie nie było już wprawdzie obawy, ale którego nieszczęście sama odczuwała kobiecym sercem, rozumiejąc, że może ono trwać póty, póki i życie. Rozumienie tego dało niejedną chwilę smutku i jej, i Bigielom, i wszystkim, którym Zawilowski stał się blizkim.

Przytem, wkrótce po przybyciu Polanieckich do miasta, nadeszły nagle z Ostendy wiadomości, grożące nowemi na przyszłość powikłaniami. Pewnego poranku Świrski wpadł jak bomba do biura i, wzięwszy Bigiela i Polanieckiego do osobnego pokoju, rzekł im z tajemniczą miną:

— Wiecie co się stało? Był u mnie Kresowski, który wczoraj wrócił z Ostendy. Osnowski rozstał się z żoną i połamał kości Kopowskiemu. Skandal bajeczny! Cała Ostenda nie mówi o niczem innem.

Oni obaj umilkli pod wrażeniem wieści, wreszcie Polaniecki rzekł:

— To prędzej czy później musiało przyjść. Osnowski był ślepy.

— A ja nic nie rozumiem — dodał Bigiel.

— Niesłychana historia! — rzekł Świrski. — Ktoby coś podobnego przypuścił!

— Cóż mówi Kresowski?

— Kresowski opowiada, że Osnowski umówił się raz z jakimiś Anglikami, że pojedzie z nimi do Blackenberga na strzelanie delfinów. Tymczasem spóźnił się na kolej, czy też na tramwaj. Mając przed sobą godzinę czasu, wrócił do domu i zastał u siebie Kopowskiego. Wyobraźcie sobie, co musiał zobaczyć, skoro czło-

wiek tak łagodny uniósł się i stracił głowę do tego stopnia, że, bez pamięci na skandal, wygrzmocił Kopowskiego tak, że Kopowski leży.

— On tak był w żonie zakochany, że mógł nawet oszaleć, lub ją zabić — rzekł Bigiel. — Co za nieszczęście dla człowieka!

— Oto co są kobiety! — zawołał Świrski.

Polaniecki milczał. Bigiel, któremu ogromnie żał było Osnowskiego, począł chodzić po pokoju. Nakoniec stanął przed Świrskim i, wsadzwszy ręce w kieszeń, rzekł:

— A jednak, ja nie nie rozumiem.

Świrski zaś, nie odpowiadając wprost, rzekł, zwróciwszy się do Polanieckiego:

— A pamiętasz pan, co ja o niej w Rzymie mówiłem — wtedy, gdy malowałem portret pańskiej żony? Stary Zawilowski nazywał Osnowską dziełatką. Teraz rozumiem, jak to było słuszne; bo dziełatka ma jeszcze drugą nazwę: «śmiecucha!» Co za kobieta! Wiedziałem, że niewiele warta, ale nie przypuszczałem, żeby mogła pójść tak daleko... I to z takim Kopowskim!... Teraz widzę jaśniej rozmaite rzeczy! Kopowski tam przecie ciągle przesiadywał; niby to starał się o pannę Castelli, potem niby o pannę Ratkowską, a widocznie porozumieli się z panią i wynajdowali na wspólną pozory. Co za wesoly chłopys! Castelka na obiad, a Osnowska

na deser! Takiemu dobrze!... Między temi oblema musiała też być rywalizacya. Jedna przez drugą czyniły ustępstwa, żeby go do siebie pociągnąć. Myślicie, że tam miłość własna kobieca mało znaczyła?

— Masz pan zupełną słuszność — rzekł Polański. — Osnowska była zawsze najprzeciwniejsza małżeństwu Kopowskiego z Castelli i dlatego prawdopodobnie tak gorliwie swatała ją Ignasiowi. Gdy tamci, mimo wszystkiego, potrafili się porozumieć, posunęła się do ostateczności, by Kopowskiego przy sobie zatrzymać. Stosunek ich to stara historia.

— Trochę zaczynam rozumieć — rzekł Bi-giel; — ale jakie to smutne!

— Smutne?... — spytał Świrski. — Przeciwnie! Kopowskiemu było wesoło!... Chociaż — nie! «Mile złego początku, lecz koniec żaloszny!» Niema mu czego zazdrościć. Wiecie wy, że Osnowski mało co słabszy ode mnie, bo on się bał utyć przez kokieterię dla żony i od rana do wieczora uprawiał wszelkie możliwe sporty. Ach, jak on ją kochał! jaki to dobry człowiek — i jak mi go żal! Wszystko ta kobieta w nim miała: serce, majątek, psie przywiązanie — i wszystko podeptała. Taka Castelli nie była przynajmniej jeszcze żoną.

— I oni się naprawdę rozstali?

— Tak dalece naprawdę, że ona już wyje-

chała. Co tam musi być, skoro taki Osnowski ją opuścił — dalibóg, ciężko myśleć.

Lecz Bigiel, który lubił brać rzeczy ze strony praktycznej, rzekł:

— I ciekawym, co ona zrobi? Bo cały majątek jego.

— Jeśli jej od razu nie zabił, to pewno nie da jej z głodu umrzeć. To nie tego rodzaju człowiek. Kresowski mówił mi, że on został w Ostendzie, i że chce Kopowskiego jeszcze wyzwać. Ale Kopowski z tydzień podobno musi poleżeć. Będzie i pojedynek. Pani Broniczowa z panną Castelli wyjechały także do Paryża.

— A małżeństwo z Kopowskim?

— Jakże pan chcesz? Samo się przez się rozumie, że wobec tak jawnej zdrady oblubieńca — zerwane. Zło nie pluży. Osiadły i one na koszu. Ha! Niechże szukają za granicą jakiego księcia Crapulescu, bo po tem, co zrobiły z Ignasiem, tu mógłby taką Castelkę wziąć chyba szuja, albo dureń. Zawilowski przecie do niej nie wróci.

— Ja to samo mówiłem Polanieckiemu — rzekł Bigiel; — a on mi na to odpowiedział: «Kto wie!»

— E? — rzekł Świrski — czy pan naprawdę przypuszczasz?...

— Nie wiem! nie wiem! — odpowiedział

jakby z wybuchem Polaniecki; — za nie nie ręczę, za nikogo nie ręczę i za siebie nie ręczę!

Świrski spojrzał na niego z pewnem zdziwieniem.

— Ha, może to i racya! — rzekł po chwili. — Gdyby mi kto był wczoraj powiedział, że Osnowscy kiedykolwiek rozstaną się z sobą, miałbym go za bzik.

I począł się żegnać, bo mu pilno było do roboty, a przytem, chcąc raz jeszcze usłyszeć o katastrofie Osnowskich ze wszelkimi szczegółami, umówił się z Kresowskim na obiad. Bigiel i Polaniecki zostali sami.

— Zło trzeba zawsze przyplacić — rzekł po namyśle Bigiel. — A wiesz, co mnie zastanawia? Oto, jak jednak u nas poziom moralny się obniża. Weź taką Broniczową, taką Castelli, taką Osnowską... Jakie to nieuczciwe, jakie popsute i jakie w dodatku głupie! Jakaś mieszanina licho wie czego, jakieś pretensye bez granic, a zarazem natury pokojówek! Aż ckliwo myśleć — prawda? I tacy ludzie, jak Ignas, lub Osnowski, płacą za to.

— I tej logiki się nie rozumie — odpowiedział pośępnie Polaniecki.

Bigiel począł znów chodzić po pokoju, cmościć i kręcić głową — nagle stanął przed Pola-

nieckim z rozjaśnioną twarzą i, klepiąc go po ramieniu, rzekł:

— No, mój stary! ty i ja możemy sobie powiedzieć, żeśmy na loteryi życia wyciągnęli wielkie losy. Nie byliśmy także święci, ale może Pan Bóg dlatego nam poszczęścił, żeśmy się nie podkopywali po złodziejsku pod cudze domy.

Polaniecki nie odrzekł nic, tylko począł zbierać się do wyjścia.

Tak się już złożyły warunki, że wszystko, co się naokół działo, i wszystko, co naokół slyszał, tworzyło jakby pilę, która szarpała jego nerwy. W dodatku miał poczucie, że to nietylko jest okrutnie męczące i bolesne, ale poczyną być i śmieszne. Chwilami przychodziło mu do głowy zabrać Marynię i zakopać się z nią gdzieś na jakiej zapadłej wsi, byle daleko od tej nieznośnej komedyi życia, która zarazem stawiała się coraz więcej plugawą. Wiedział jednak, że tego nie zrobi choćby z tej przyczyny, że stoi temu na przeszkodzie stan Maryni. Zerwał wszelako skończone już prawie układy o Buczynek, dlatego, by sobie upatrzeć jakąś dalszą i mniej przystępną letnią siedzibę. Wogóle stosunki z ludźmi poczęły mu ogromnie ciężać, czuł zaś, że jest w wirze i że się z niego nie wydobędzie. Chwilami budził się w nim dawny, pelen energii i trzeźwości człowiek, który pytał sam siebie

ze zdziwieniem: «Co u dyabła! czemu mi taka wina, jakich ludzie dopuszczają się codziennie tysiące, tak narasta bez żadnej miary?» Ale zmysł prawdy odpowiadał mu wówczas, że jak w medycynie nie masz chorób, tylko są chorzy, tak w świecie moralnym nie masz win, tylko są winni. Co jeden łatwo znosi, to drugi przyplaca życiem. I próżno usiłował się osłonić. Wina jego, jako człowieka zasad, jako człowieka, który poślubił zaledwie przed pół rokiem taką kobietę, jak Marynia, jako człowieka, którego wkrótce czekało ojcostwo, była bez miary — i tak niczem nieusprawiedliwiona, tak niesłychana, że czasem aż zdumiewał się, jak ją mógł spełnić. Teraz, wracając do domu pod wrażeniem nieszczęścia Osnowskiego i obracając je w głowie na wszystkie strony, miał znów poczucie, jakby pewna część odpowiedzialności za to, co się stało, ciążyła i na nim. «Bo ja — mówił sobie — jestem akcyonaryuszem w tej fabryce, która wytwarza takie stosunki i takie kobiety, jak Castelli lub Osnowska.» Poczem przyszło mu do głowy, że Bigiel miał słuszną, mówiąc, iż poziom moralny się obniża — i że nastrój ogólny, który nie wyłącza możliwości podobnych postępów, jest wprost niebezpieczny. Rozumiał bowiem, że to wszystko nie płynęło ani z wyjątkowych nieszczęść, ani z nadzwyczajnych

namiętności, ani ze zbytnej wybujałości natur, ale ze społecznej swawoli, i że imię podobnych zboczeń jest: legion. «Ot — pomyślał — tylko w kółku moich znajomych jest Maszkowa, jest Osnowska, jest panna Castelli — a przeciw nim kogo postawię? — jedną moją Marynię!» — I w tej chwili przyszło mu na myśl, że obok Maryni jest w jego kółku jeszcze i pani Emilia, i pani Bigielowa, i panna Helena Zawilowska, i panna Ratkowska. Natomiast Marynia przedstawiła mu się na tem tle zepsucia i lekkomyślności tak do tamtych niepodobna, tak czysta i tak pewna, że wzruszył się do głębi duszy na samo jej wspomnienie. «To inny świat, to inny gatunek» — pomyślał. Na chwilę przypomniał sobie, że i Osnowski nazywał swoją żonę wyjątkiem, ale wnet odrzucił precz od siebie tę złą myśl: — «To Osnowski się mylił, a ja się nie mylę.» I uczuł, że sceptycyzm, któryby się nie cofnął przed Marynią, byłby nietylko głupim, ale i nędznym. W niej nie było wprost miejsca na zło. Na błocie siadać może tylko ptactwo błotne. Sam on mówił jej niegdyś żartując, że gdyby nosiła korki, toby ze zgryzoty, że oszukuje świat, dostała zapalenia sumienia. I w tym żarcie była prawda. Widział ją teraz oto przed sobą tak wyraźnie, jak się zawsze widzi osobę, o której się rozmyśla ze skupionem uczuciem,

widział jej zmienioną postać i zmienioną twarz, w której pozostały jednak zawsze te same śliczne, nieco za szerokie usta, i te same przeczyste oczy — i wzruszał się coraz bardziej. «Ja naprawdę wygrałem wielki los na loteryi życia, — myślał — alem nie umiał tego szczęścia ocenić.» — «Zło trzeba zawsze przyplącić» — mówił Bigiel. I Polaniecki, któremu nieraz już przychodziła podobna myśl, uczuł teraz przed nią zabobonny strach. Jest — myślał — jakaś logika, z mocy której zło, jak fala odbita od brzegu, wraca się, musi więc wrócić i moje. I nagle wydało mu się zupełnem niepodobieństwem, żeby on mógł posiadać spokojnie taką kobietę i takie szczęście. Nie byłoby w tem właśnie tej logiki, która nakazuje wracać się fali złego. A zatem co? Zatem Marynia może naprzykład umrzeć przy słabości. Pani Maszkowa może przez zemstę nad nim powiedzieć jakieś słowo, które utkwi w Maryni — a wobec jej stanu wyjdzie potem pod postacią gorączki. Nie potrzeba nawet na to całej prawdy. Owszem, pani Maszkowa może się przytem nawet pochwalić, że oparła się jego zamachom, a kto wie — mówił sobie Polaniecki — czy w tej chwili Maszkowa nie jest z wizytą u Maryni, a w takim razie pierwsza lepsza rozmowa o mężczyznach — i kilka żartobliwych słów — wystarczy...

Tak rozmyślając, czuł, że mu czapka gore na głowie, i przyszedł do domu z uczuciem trwogi. Ale w domu nie zastał pani Maszkowej, natomiast Marynia oddała mu kartkę od panny Heleny Zawilowskiej, proszącą, by po obiedzie przyszedł do niej.

— Boję się, czy panu Ignasiowi nie jest gorzej — rzekła Marynia.

— Nie. Ja tam wpadłem na minutę rano. Panna Helena była na jakiejś konferencji z prawnikiem Kononowiczem, ale widziałem i pannę Ratkowską i Zawilowskiego. Miał się zupełnie dobrze i rozmawiał ze mną prawie wesoło.

Przy obiedzie Polaniecki postanowił powiedzieć Maryni o nowinach, które słyszał, wiedział bowiem, że i tak nie ukryją się przed nią, a nie chciał, by doniesiono jej o nich zbyt nagle i nieostrożnie.

Więc gdy spytała go, co słyhać w biurze i na mieście — odrzekł:

— W biurze nic nowego, a na mieście mówią o jakichś nieporozumieniach między Osnowskimi.

— Między Osnowskimi?

— Tak. Coś tam zaszło w Ostendzie. Podobno powodem wszystkiego jest Kopowski.

Marynia zaczerwieniła się i rzekła:

— Co też ty Stachu mówisz?

— Mówię, co slyszałem. Pamiętasz moje uwagi na wieczorze zaręczynowym Zawilowskiego? Pokazuje się, że miałem słuszość! Krótko ci powiem, że była jakaś awantura i że wogóle jest źle.

— Ale przecie mówileś, że Kopowski jest narzeczonym panny Castelli?

— Jest, albo przestał nim być. Tam się mogło wszystko pozrywać.

Na Maryni wiadomość sprawiła wielkie wrazenie. Chciała jeszcze dopytywać, ale gdy Polaniecki powiedział jej, że nic więcej nie wie, i że prawdopodobnie dopiero za kilka dni nadejdą dokładniejsze wieści, poczęła biadać nad dolą Osnowskiego, którego zawsze bardzo lubiła, i oburzać się na panią Anetę.

— Ja myślałam, — mówiła — że on ją przejedna i pociągnie swoim przywiązaniem, ale ona jego nie warta, i pan Świrski ma słuszość w tem, co o kobietach mówi.

Lecz dalszą rozmowę przerwał pan Pławicki, który po wczesnym restauracyjnym obiedzie przyszedł, by powiedzieć «wielką nowinę», o której także już słyszał, bo mówiło o niej całe miasto. Polaniecki pomyślał teraz, że dobrze zrobił, przygotowawszy do niej żonę, albowiem już w opowiadaniu pana Pławickiego rzecz przybrała barwy nader jaskrawe. Pan Pławicki

wspominał wprowadzić w ciąg opowiadania o zasadach i o «dawnych matronach», widocznie był jednak zadowolony, że zdarzyło się coś tak budzącego zajęcie — i widocznie brał także rzecz ze strony komicznej, bo w końcu rzekł:

— No! ale to rezolutna kobietka! to figlarka! Co na placu, to nieprzyjacieli! Nikomu nie przepuściła, nikomu, nikomu!... Biedny Osnosio, ale ona nikomu nie przepuściła!

Tu podniósł do góry brwi, a potem spojrzał na Marynię i Połanieckiego, jakby chcąc sprawdzić, czy pojęli, co miało znaczyć «nikomu». Ale na twarzy Maryni odbił się niesmak.

— Fe! Stachu — rzekła — jakie to wszystko nietylko niegodziwe, ale brzydkie.

LXI.

Po obiedzie Połaniecki udał się do panny Heleny. Zawilowski nosił jeszcze na czole czarną przepaskę, z szerszym w pośrodku plastrem, zakrywającym ranę, zacinał się i, patrząc, nieco zezował, ale wogóle przychodził coraz bardziej do siebie i uważał się już za zdrowego, lekarz zaś zapewniał, że i te objawy, jakie jeszcze pozostały wskutek rany, miną bez śladu. W chwili,

gdy Polaniecki wszedł, młody człowiek siedział przy stole, w głębokim fotelu, w którym niegdyś siadywał stary pan Zawilowski, i słuchał z przymkniętymi oczyma wierszy, które mu czytała panna Ratkowska.

Lecz ona na widok gościa złożyła książkę.

— Dobry wieczór pani! — rzekł Polaniecki.

— Jak się masz, Ignasiu? Widzę, że przerwałeś czytanie. W czym państwo się tak zaczytujecie?

Panna Ratkowska zwróciła ku książce swą krótko ostrzyżoną głowę (miała dawniej przepyszne włosy, ale ostrzygła je, by jej nie zabierały czasu, potrzebnego przy chorym) i odrzekła:

— To są wiersze pana Zawilowskiego,

— Swoich własnych wierszy słuchasz? — rzekł, śmiejąc się, Polaniecki. — No, i jak ci się podobają?

A Zawilowski odrzekł:

— Słucham, jak nie swoich.

Po chwili zaś dodał, mówiąc zwolna i trochę się zacinając:

— Ale ja znów będę pisał, tylko całkiem przyjdę do siebie...

I widać było, że ta myśl bardzo go zajmuje, i że nieraz musiał już o tem mówić, bo panna Ratkowska rzekła, jakby mu chcąc dodać otuchy:

— I takie same śliczne, i już niezadługo.

A on uśmiechnął się do niej z wdzięcznością — i umilkł.

Lecz w tej chwili weszła do pokoju panna Helena i, uściskawszy rękę Polanieckiego, rzekła:

— Jak to dobrze, że pan przyszedł; chciałam się pana poradzić...

— Służę pani.

— Nie. Proszę pana do siebie.

I przeprowadziwszy go do drugiego pokoju, wskazała krzesło, poczem siadłszy naprzeciw, milczała, jakby zbierając myśli.

Polaniecki, patrząc na nią pod światło, pierwszy raz dostrzegł kilka srebrnych nitok w jej jasnych włosach — i pomyślał, że ta kobieta nie ma jeszcze trzydziestu lat.

Ona zaś poczęła mówić swoim głosem zimnym i stanowczym:

— To właściwie nie jest prośba o radę, ale o pomoc dla mego krewnego. Wiem, że pan jest jego prawdziwym przyjacielem, a przytem i mnie okazał pan tyle serca przy śmierci ojca, że na resztę życia zachowam wdzięczność, a teraz będę mówiła z panem otwarciej, niżbym mówiła z kim innym... Z powodów osobistych, których nie chcę dotykać, a o których mogę panu tylko powiedzieć, że są bardzo bolesne, postanowiłam stworzyć sobie inne warunki ży-

cia, dla mnie znośniejsze. Byłabym to zrobiła dawniej, ale póki ojciec żył — nie mogłam. Potem przyszło to nieszczęście! Zdawało mi się, że moim obowiązkiem jest nie opuszczać ostatniego krewnego, noszącego nasze nazwisko, dla którego przytem miałam szczerą i serdeczną przyjaźń. Ale teraz on, Bogu dzięki, uratowany. Lekarze odpowiadają za jego życie, i jeśli Bóg dał mu wyjątkowe zdolności i przeznaczył go do wielkich rzeczy, nie nie staje na przeszkodzie jego przeznaczeniu.

Tu przerwała, jakby zamyśliwszy się nagle nad czemś przyszłym, poczem, zbudziwszy się, mówiła dalej:

— Ale tem samem moje ostatnie zadanie skończone, i wolno mi wrócić do poprzednich zamiarów. Pozostaje tylko majątek, który mój ojciec pozostawił znaczny, a który mi jest do mojego przyszłego życia zupełnie niepotrzebny. Gdybym mogła uważać go za swoją osobistą własność, rozporządziłabym nim może inaczej; ponieważ jednak jest to majątek rodzinny, uważam, że nie mam prawa przekazywać go na inne cele, póki żyje ktoś z rodziny, noszący to samo nazwisko. Nie ukrywam panu, że powoduje mną i przywiązanie do mego kuzyna; sądzę jednak, że przedewszystkiem robię to, co mi sumienie nakazuje, a przytem spełniam wolę

ojca, który jej spisać nie zdążył, ale który (wiem ze wszelką pewnością) część majątku chciał Ignasiowi zostawić. Ja wyposażam siebie sama, nie w tym stopniu, jak ojciec myślał, ale biorę jednak więcej, niż mi potrzeba. Resztę niech dziedziczy Ignas. Akt darowizny spisał już, według wszelkich przepisów prawnych, pan Kononowicz. Obejmuje on ten dom, Jaśmień, majątek w Kutnowskim, majątki poznańskie i kapitały, z wyjątkiem tej części, którą sama siebie wyposażam, i jakiejś części, którą przeznaczam dla panny Ratkowskiej. Chodzi tylko o to, by ów akt Ignasiowi wręczyć. Pytałam dwóch lekarzy, czy to nie jest za wcześnie i czy wstrząśnienie nie mogłoby mu zaszkodzić. Zaręczają mi, że nie, i wszelka pomyślna nowina może tylko pomyślnie wpłynąć na jego zdrowie, co jeśli tak jest, chcę to zaraz uczynić, bo mi pilno.

Tu uśmiechnęła się blado. Połaniecki zaś, uściskawszy jej rękę, spytał z nieklamanem wzruszeniem:

— Droga pani, ja nie przez ciekawość pytam: co pani zamierza?

Ona zaś, nie chcąc widocznie odpowiedzieć wprost, rzekła:

— Człowiek ma zawsze prawo schronić się pod opiekę boską. Co do Ignasia, on ma pocztowe serce i szlachetny charakter, który się nie

popsuje majątkiem; ale to majątek jest bardzo znaczny, a on jest młody, niedoświadczony, zacznie życie w zupełnie zmienionych warunkach, więc chciałam pana, jako zacnego człowieka i jako jego przyjaciela, prosić o opiekę nad nim. Niech go pan strzeże, niech go pan ochrania przed złymi ludźmi, ale przede wszystkim niech mu pan przypomina, że obowiązkiem jego jest pisać i pracować dalej. Mnie chodziło nietylko o uratowanie jego życia, ale i o uratowanie jego zdolności. Niech pisze, niech się wypłaci społeczeństwu nietylko za siebie, ale i za tych, których Bóg stworzył na chwałę i pomoc ludziom, a którzy zgubili i siebie i swoje zdolności.

Tu nagle wargi jej pobladły, ręce zaciśnęły się i głos uwiązł w gardle. Zdawać się mogło, że nagromadzona w tej duszy rozpacz zerwie naraz wszystkie tamy; po chwili opanowała się jednak, i tylko zaciśnięte ręce świadczyły, z jakim jej to przyszło wysileniem.

Polaniecki, widząc jej mękę, sądził, że w tym razie najlepiej będzie zwrócić jej myśl w inną stronę, do rzeczy praktycznych i bieżących, dlatego też rzekł:

— Oczywiście, będzie to niesłychana zmiana w życiu Ignasia; spodziewam się jednak i ja, że mu wyjdzie tylko na dobre... Znając go,

trudno przypuścić inaczej. Czyby jednak pani nie mogła odłożyć tej darowizny na rok, lub przynajmniej pół roku?

— Dlaczego?

— Dla przyczyn, które nie leżą w samym Ignasiu, ale które mogą mieć z nim związek. Nie wiem, czy doszła panią wiadomość, że małżeństwo panny Castelli z Kopowskim jest zerwane, i że położenie tych pań jest wskutek tego ogromnie przykre. Przez zerwanie z Ignasiem oburzyły na siebie opinię, a teraz znów nazwiska ich są na językach ludzkich. Byłoby dla nich doskonalem wyjściem wrócić do Ignasia — i można przypuścić, że, dowiedziawszy się o darowiznie pani, będą z pewnością usiłowały to uczynić, a Ignasz, zwłaszcza po tak krótkim czasie i tak osłabiony, jak zawsze jest — niewiedomo, czy nie da się pociągnąć...

Panna Helena patrzyła na Polanieckiego ze ściągniętymi z natężenia uwagi brwiami, poczem, zastanowiwszy się nad tem, co powiedział, odrzekła:

— Nie. Ja sędzę, że Ignasz wybierze inaczej.

— Odgaduję pani myśl, ale niech pani pomyśli, że on do tamtej był przywiązany nad wszelką miarę, tak, że nie chciał przeżyć jej straty.

I tu stało się coś, czego Polaniecki nie spo-

dziewał się, albowiem panna Helena, tak władająca sobą i niemal surowa, rozłożyła bezradnie swoje wychudłe ręce i rzekła:

— Ha! gdyby tak było... gdyby dla niego nie było innego szczęścia, tylko w niej... Och, panie, ja przecie wiem, że on nie powinien tego uczynić, ale są rzeczy od człowieka mocniejsze, i są takie, których koniecznie do życia potrzeba, a przytem...

Polaniecki spoglądał na nią ze zdziwieniem, ona zaś po chwili dodała:

— Przytem człowiek zawsze może wstąpić na lepszą drogę — póki żyje.

— Nie przypuszczałem, że coś podobnego od niej usłyszę — pomyślał Polaniecki.

I głośno rzekł:

— W takim razie pójdźmy do Ignasia.

Zawilowski przyjął wiadomość naprzód ze zdumieniem, a potem z radością, ale była to radość, jakby tylko zewnętrzna. Można było przypuścić, że za pomocą mózgu rozumie, że spotyka go coś ogromnie pomyślnego, i mówi sobie, że trzeba się z tego cieszyć, ale tego sercem nie odczuwa. Serce to objawiło się tylko w trosce i zajęciu, z jakimi począł się wypytwać panny Heleny, co ona zamierza i co się z nią stanie. Panna Helena nie chciała mu odpowiedzieć i, wspomniawszy ogólnikowo, że za-

mierza usunąć się od życia i że postanowienie jej jest niezachwiane, zaklinała go o to, o co widocznie najwięcej jej chodziło, to jest, żeby nie zgubił swych zdolności i nie zawiódł przywiązanych do siebie ludzi. Mówiła do niego, jak matka, on zaś, powtarzając: «Będę znów pisał, tylko całkiem przyjdę do siebie» — całował jej ręce i miał lzy w oczach. Niewiadomo jednak było, czy były to lzy współczucia dla niej, czy żal dziecka, które opuszcza dobra i słodka opiekunka; albowiem panna Helena powiedziała mu, że od tej chwili uważa się za jego gościa w tym domu i że za dwa dni zamyśla się usunąć.

Zawilowski nie chciał się jednak na to zgodzić i wymógł na niej, że zostanie jeszcze przez tydzień, na co wreszcie przystała z obawy, by go nie drażnić i nie zaszkodzić jego zdrowiu. Wówczas, uspokoiwszy się, wpadł w wesołość małego chłopca, którego prośbie uczyniono załość. W końcu wieczora zamyślił się jednak, jakby coś sobie przypominając, poczem powiódłszy zdziwionemi oczyma po obecnych, rzekł:

— Dziwna rzecz, ale tak mi się zdaje, jakby to wszystko już niegdyś się zdarzyło.

Połańiecki zaś, chcąc wprowadzić weselszy ton do rozmowy, spytał, śmiejąc się:

— Za poprzednich istnień, na innych planetach? Prawda?

— Tak, to już wszystko niegdyś było — powtórzył Zawilowski.

— I te same wiersze już pisałeś — na księżycu?...

On zaś podniósł leżącą na stole książkę, popatrzał na nią, zamyślił się — i w końcu rzekł:

— Ja znów będę pisał — tylko całkiem przyjdę do siebie.

Połaniecki pożegnał się i wyszedł. Tegoż jeszcze wieczoru panna Ratkowska przeniosła się do swojego pokoiku u pani Mielnickiej.

LXII.

Rozejście się Osnowskich, którzy w życiu towarzyskiem zajmowali dość wybitne stanowisko, i wielka fortuna, która nagle spadła na Zawilowskiego, były to najważniejsze nowiny, którymi zajmowało się całe miasto. Ludzie, którzy przypuszczali, że panna Helena wzięła do siebie młodego krewnego dlatego, by się za niego wydać, osłupieli z podziwu. Powstały nowe plotki i przypuszczenia: poczęto szeptać sobie do uszu, iż Zawilowski był synem starego bogacza i że zagroził siostrze procesem o ukrycie testamentu, która też woląla zrzec się wszystkiego i wyje-

chać za granicę, niż narazić się na skandaliczny proces. Inni wszelako twierdzili, że powodem jej wyjazdu była panna Ratkowska, i że między temi paniami działy się niesłychane i oburzające rzeczy, wskutek których szanujące się domy nie puszczają przez próg panny Ratkowskiej. Byli wreszcie i tacy, którzy, występując w imię publicznego dobra, odmawiali wprost pannie Helenie prawa do rozporządzania w ten sposób majątkiem, dając przytem do zrozumienia, że sami, w danym razie, rozporządziliby nim inaczej i zgodniej z pożytkiem powszechności.

Słowem, mówiono wszystko, na co się może zdobyć plotkarstwo, wścibstwo, lekkomyślność i niecna złośliwość. Wkrótce atoli ciekawości ogólnej przybył nowy pokarm pod postacią wieści o pojedynku Osnowskiego z Kopowskim, w którym Osnowski został ranny. Kopowski wrócił też niebawem do miasta ze sławą bohatera nadzwyczajnych przygód miłosnych i orężnych — głupszy niż kiedykolwiek, ale zarazem piękniejszy niż kiedykolwiek i wogóle tak uroczy, że na sam jego widok młodsze i starsze serca poczynaly bić przyśpieszonym tętnem.

Osnowski, raniony dość lekko, leczył się w Brukseli. Świrski otrzymał od niego krótką wiadomość wkrótce po pojedynku, że ma się do-

brze, że w połowie zimy wybiera się do Egiptu, ale że przedtem wróci do Przytułowa. Z wiadomością tą przyszedł do Połanieckiego, wyrażając przytem obawę, czy Osnowski nie powróci tylko dlatego, by znów poszukiwać swej krzywdy na Kopowskim.

— Bo tego jestem pewny, — rzekł — że jeśli on został ranny, to dlatego, że na to pozwolił. Podług mnie, on chciał po prostu zginać. Ja się z nim nastrzelałem niemało u Brufiniego i wiem, jak on strzela. Widziałem go, jak zbijał zapalki — i jestem przekonany, że gdyby był chciał Koposia zdmuchnąć, to tylebyśmy go dziś widzieli.

— Być może, — odpowiedział Połaniecki — ale skoro mówi o podróży do Egiptu, to widocznie nie ma zamiaru dać się zabić. Owszem, niech jedzie i niech zabierze z sobą Zawilowskiego.

— Prawda, że i Zawilowski powinien trochę świata zobaczyć. Chciałbym stąd do niego zajrzeć. Jak on się ma?

— Pójdę razem z panem, bom go dziś nie widział. On się dobrze ma, ale jest jakiś dziwny. Pamiętasz pan, jaka to była harda i zamknięta w sobie dusza? Otóż teraz niby zdrow, ale zrobiło się z niego małe dziecko: przy najmniejszej przykrości lzy ma w oczach.

Po chwili wyszli razem. Po drodze Świrski spytał:

— Panna Helena jest jeszcze przy Zawilowskim?...

— Jest. On tak do serca bierze jej odjazd, że jej go żal. Miała wyjechać za tydzień, a teraz, jak pan widzisz, minął już i drugi.

— Co ona właściwie chce z sobą zrobić?

— Nikomu wyraźnie nie mówi. Prawdopodobnie wstąpi do jakiego zakonu i będzie się całe życie modliła za Płoszowskiego.

— A panna Ratkowska?

— Panna Ratkowska jest u pani Mielnickiej.

— Czy bardzo Zawilek po niej tęskni?

— Przez pierwsze dni. Potem jakby zapomniał.

— Jeśli w ciągu roku nie ożeni się z nią, to ja powtarzam swoje oświadczenie. Jak Boga kocham! Taka kobieta, jak raz zostanie żoną, to się do człowieka przywiąże.

— Wiem, że panna Helena w duszyby sobie tego życzyła, żeby on się z Ratkowską ożenił. Ale kto wie, jak się to obróci?

— E! jestem pewny, że się ożeni, a to, co ja mówię, to są marzenia głowy ściętej. Ja się już nie ożenię.

— Żona mi wspominała, że jej to pan wczoraj mówił; ale ona się śmiała z tej groźby.

— To nie groźba, tylko, że nie mam szczęścia.

Dalszą rozmowę przerwał im widok powozu, w którym siedziała pani Krasławska z panią Maszkową. Jechały w kierunku alei, chcąc widocznie zażyć powietrza. Dzień był jasny, ale chłodny — i pani Maszkowa tak była zajęta naciąganiem na matkę ciepłego płaszczyka, że nie spostrzegła ich i nie oddała im ukłonu.

— Byłem u nich onegdaj — rzekł Świrski; — to dobra kobiecina!

— Słyszę, że jest bardzo dobrą córką — odpowiedział Połaniecki.

— To to i ja spostrzegłem, będąc u nich, ale — jak to zwykle staremu sceptykowi — zaraz mi przyszło do głowy, że ona znajduje zarazem upodobanie w roli troskliwej córki. Czyś pan nie zauważył, że kobiety częstokroć robią coś dobrego dlatego, że myślą, iż im z tem ładnie?

I Świrski nie mylił się. Pani Maszkowa znalazła istotnie upodobanie w roli poświęcającej się córki, ale było to już bardzo wiele, bo takie upodobanie wypłynęło jednak z rzeczywistego jej przywiązania do matki i z tego, że na widok jej nieszczęścia coś w niej zbudziło się i zadrgało. Przytem Świrski nie chciał, czy nie umiał uczynić ze swej myśli tego dalszego wywodu, że jak w zakresie toalety kobieta do nowego kapelusza potrzebuje nowego okrycia, no-

wej sukni i nowych rękawiczek, tak i w zakresie dobra, raz coś posiadłszy, lubi być także od stóp do głowy na nowo odziana. W ten sposób odrodzenie się kobiety nie jest nigdy zupełnie niemożliwem.

Ale tymczasem doszli do Zawilowskiego, który przyjął ich z radością, albowiem od niejakiego czasu, jak zwykle powracającym do życia chorym, widok ludzi czynił mu przyjemność. Dowiedziawszy się od Świrskiego, że ten jedzie wkrótce do Włoch, począł się napierać, by go z sobą zabrał.

— Aha! — pomyślał Świrski — więc ci jakoś panna Ratkowska nie w głowie?

Zawilowski począł dowodzić, że od dawna marzył o Włoszech i że czuje, iż nigdzieby mu się tak nie pisało, jak tam, pod temi wrażeniami sztuki i tych wieków, rozsypujących się w ruiny, obwinięte w bluszcz. Śmiał się do tej myśli i unosił, więc pocziwy Świrski zgodził się bez trudności.

— Ale — rzekł — ja teraz tam długo nie zabawię, bo mam tu do roboty kilka portretów, a przytem obiecałem panu Połanieckiemu wrócić na chrzciny.

Poczem zwrócił się do Połanieckiego:

— No, cóż nareszcie: na chrzciny syna, czy córki?

A Połaniecki odrzekł:

— Niech już będzie co chce, byle Bóg dał szczęśliwie.

I gdy tamci poczęli układać plan podróży, pożegnał się i poszedł do biura. Miał do przejrzenia całą pocztę z dnia zeszłego, więc zamknawszy się w swym gabinecie, począł czytać listy i zapisywać do skorowidza te, które dotyczyły spraw, wymagających natychmiastowego załatwienia. Po niejakiem jednak czasie przerwał mu robotę świeżo przyjęty do biura woźny, który, wszedłszy, oświadczył, że jakaś pani chce się z nim widzieć.

Połaniecki zaniepokoił się. Przyszło mu nie wiadomo dlaczego na myśl, że to nie może być kto inny, tylko pani Maszkowa. I w przewidywaniu jakichś wyjaśnień i scen, serce poczęło mu bić niespokojnie.

Tymczasem we drzwiach ukazała mu się najniespodziewaniej uśmiechnięta, wesola twarz Maryni.

— A co? zrobiłam ci niespodziankę? — rzekła.

Połaniecki zerwał się na jej widok z uczuciem naglej i ogromnej radości i, chwyciwszy jej ręce, począł je kolejno całować.

— A moja droga! To rzeczywiście niespodzianka! — rzekl. — Skądże ci przyszło do głowy tu zajrzeć?

I tak mówiąc, począł przysuwać jej fotel i usadzać ją, jak milego, a zarazem znakomitego gościa. Z rozpromienionej jego twarzy widać było, jaką jej obecność czyni mu przyjemność.

— Mam ci coś ciekawego do pokazania, — rzekła Marynia — a że trzeba mi i tak dużo chodzić, więc tu zaszłam. A ty co myślałeś? że to kto? przyznaj mi się zaraz!

To rzekłszy, poczęła mu przegrażać, śmiejąc się, on zaś odrzekł:

— Tu się tyle interesów załatwia. W każdym razie nie myślałem, że to ty. Co masz mi do pokazania?

— Patrz, jaki list odebrałam.

Polaniecki wziął list i począł czytać:

«Droga i kochana pani! Zdziwi to może panią, że się do niej udaję, ale pani, która masz zostać wkrótce matką, jedna na świecie zrozumiesz, co musi się dziać w sercu matki (choćby była tylko ciotką), która widzi nieszczęście swego dziecka. Niech mi pani wierzy, że nie chodzi mi o nic innego, tylko o przyniesienie chwilowej chociaż ulgi nieszczęśliwemu dziecku, a chodzi mi o to tembardziej, że w tem wszystkim, co się stało, ja sama głównie zawiniłam. Może i te słowa panią zdziwią, ale tak jest! Ja zawiniłam, bo że zły i zepsuty człowiek, w chwili,

gdy Niteczce zrobiło się źle i gdy straciła przytomność, ośmielił się dotknąć jej swojemi niegodziwemi ustami, to nie powinnam była z tego powodu głowy tracić i z dziecka czynić ofiary. Winien wprawdzie i Józio Osnowski, który kwestę małżeństwa postawił na ostrzu noża — i, jeśli, podejrzewając już coś, chciał w ten sposób pozbyć się z domu Kopowskiego, to niech mu to Bóg przebaczy, bo nie godzi się bronić siebie kosztem cudzego szczęścia i życia. Ach, pani! mnie w pierwszej chwili także się zdawało, że jedynem wyjściem jest małżeństwo z tym niegodziwcem, i że Niteczka nie ma już prawa zostać żoną Ignasia. Pisałam nawet umyślnie do niego, że ona poszła za popędem serca i że oddaje tamtemu rękę z przywiązania, bo myślałam, że w ten sposób Ignas przeniesie łatwiej jej stratę, i chciałam zmniejszyć jego boleść... Niteczka dla Kopowskiego! Bóg miłościwy tego nie dopuścił, a gdy i ja spostrzegłam, że byłoby to śmiercią dla Niteczki, obłędem myślałyśmy już tylko o tem, jak się uwolnić z tych więzów. Dziś nie chodzi też już o powrót do dawnych stosunków, bo i Niteczka tak straciła wiarę w ludzi i życie, że prawdopodobnie nigdyby się na to nie chciała zgodzić. Ona nawet nie wie, że piszę ten list. Gdyby kochana pani widziała, jak ona przyplaciła to wszystko

zdrowiem i jak okropnie odczuła postępek pana Zawilowskiego, miałaby pani nad nią litość. On nie powinien był tego robić, choćby ze względu na nią; niestety! — mężczyźni, jak prawdziwi egoiści, w takich razach liczą się tylko z własną wolą. Ona tyle w tem wszystkiem winna, ile nowonarodzone dziecko, ale ja patrzę na to, jak mi niknie w oczach i jak od rana do wieczora gryzie się tem, że stała się mimowolną przyczyną jego nieszczęścia i że mu mogła złamać życie. Wczoraj ze łzami w oczach prosiła mnie, bym, w razie jej śmierci, była matką dla Ignasia i opiekowała się nim, jak własnym synem. Codziennie mówi o tem, że on musi ją przeklinać, a mnie serce pęka, bo doktor powiedział, że za nic nie ręczy, jeśli taki stan potrwa. Bóg miłosierny! Ale niech i pani przyjdzie z pomocą rozpaczy matki: niech pani chociaż od czasu do czasu doniesie mi coś o Ignasiu, a raczej, niech pani napisze mi, że jest zdrow, spokojny, że o niej zapomniał i że jej nie przeklina, że-bym mogła pokazać jej ten list i przynieść choć trochę ulgi w cierpieniu. Ja czuję, że piszę nawpół przytomnie, ale pani zrozumie, co się we mnie dzieje, gdy patrzę na tę nieszczęśliwą ofiarę. Bóg to pani wynagrodzi, a ja się będę codziennie modliła, aby córka pani, jeśli Bóg da wam córkę, była szczęśliwsza od mojej biednej Niteczki».

— Cóż ty o tem myślisz? — spytała Marynia.

— Ja myślę, — rzekł Polaniecki — że wieść o zmianach w losie Zawilowskiego rozeszła się dostatecznie szeroko, a powtóre, myślę, iż ten list, przesłany pod twoim adresem, przeznaczony jest rzeczywiście dla Ignasia.

— To być może. To nie jest szczery list. Ale one jednak mogą być bardzo nieszczęśliwe.

— Pewno, że nie musi im być wesoło. Osnowski miał słuszość, pisząc, że w tem wszystkiem jest jeszcze i dla Broniczowej ogromny zawód, i że ona napróżno chce samą siebie oszukać. A co do panny Castelli, wiesz, co mi powiedział Świrski? Nie powtórzę ci jego dosadnych słów, ale powiedział, że teraz może ją wziąć chyba albo głupiec, albo człowiek bez moralnej wartości. One same to rozumieją i pewno, że im niewesoło. Być może, że i sumienie się odzywa, ale patrz jednak, ile w tym liście wykrętów. Nie pokazuj go Ignasiowi.

— Nie. Nie pokażę — odpowiedziała Marynia, której najgorętsze życzenia były po stronie panny Ratkowskiej.

A Polaniecki, idąc za myślą, która go nurtowała od dawna, powtórzył jej niemal dosłownie to, co powtarzał sobie samemu:

— Jest jakaś logika, która karze, i one zbierają to, co posiały. Zło, jak fala, odbija się od brzegu i wraca.

Na to Marynia poczęła kreślić parasolką figury po podłodze, jakby się nad czemś namyślając, potem zaś, podniósłszy na męża swoje jasne oczy, rzekła:

— Prawda, mój Stachu, że zło wraca, ale może także wrócić jako zgryzota i jako żal, a wówczas Pan Bóg poprzestaje na takiej pokucie i więcej nie karze.

Gdyby Marynia, wiedząc nawet, co mu dolega, chciała złagodzić jego udręczenia i dodać mu otuchy, nie potrafilaby wynaleźć nic lepszego nad tych kilka prostych słów. Polaniecki żył od niejakiego czasu pod przeczuciem, że musi go spotkać jakieś nieszczęście, i pod ustawicznym przed nim strachem. Dopiero od niej dowiedział się, że ową powracającą falą może być sama jego zgryzota i żal. Tak! nagryzł się niemało i żalu w nim nie brakło, a czuł również, że gdyby to mogło być zadośćuczynieniem, byłby gotów przecierpieć jeszcze dwakroć mocniej. Tymczasem brała go ochota porwać w ramiona tę pełną prostoty i prawości kobietę, od której płynęło na niego tylko dobro — i jeśli tego nie uczynił, to jedynie z obawy wzruszeń dla niej, ze względu na jej stan i ową nieśmiałość,

która go w stosunku do niej krępowała. Natomiast podniósł do ust jej rękę i rzekł:

— Ty masz słuszość — i jesteś bardzo dobra.

A ona, rada z pochwały, uśmiechnęła się do niego i poczęła zbierać się do domu.

Gdy wyszła, Polaniecki zbliżył się do okna i odprowadzał ją oczyma. Z daleka widział jej przegiętą postać, posuwającą się ociężałym krokiem, oraz ciemne włosy, wyglądające z pod kapelusza — i w tej chwili odczuł z nową, większą niż kiedykolwiek siłą, że to jest jego najdroższa w świecie istota — i że ją jedną kocha i będzie kochał do śmierci.

LXIII.

We dwa dni później Polaniecki odebrał od Maszki kartkę, zawierającą parę słów pożegnania. «Wyjeżdżam dziś — pisał Maszko. — Będę się starał koniecznie jeszcze wpaść do ciebie, ale na wszelki wypadek żegnam cię i dziękuję ci za wszystkie dowody przyjaźni, jakie mi okazałeś. Niech ci Bóg szczęści lepiej, niż mnie dotąd szczęścił. Bardzobym chciał zobaczyć się z tobą choć na minutę — i jeśli będę mógł, wpadnę do ciebie koło czwartej do biura. Tym-

czasem powtarzam prośbę, byście pamiętali o mojej żonie i przygarnęli ją trochę, gdy ludzie ją opuszczą. Ciebie proszę również, byś mnie przed nią bronił przeciw ludzkim językom. Wyjeżdżam do Berlina — o dziewiątej w wieczór — i zupełnie otwarcie. Do widzenia, a w każdym razie bądź zdrow — i raz jeszcze dzięki za wszystko. — Maszko».

Polaniecki poszedł koło czwartej do biura, ale przeszło godzinę czekał na próżno. — «Nie przyjdzie — pomyślał wreszcie; — tem lepiej!» I poszedł do domu z poczuciem pewnego zadowolenia, że udało mu się uniknąć kłopotliwego spotkania. Wieczorem jednak poczęło się w nim budzić pewne politowanie dla Maszki. Pomyślał, że to jest człowiek, który wprowadził szłą i gorączkową drogą, ale się namęczył i naszarpał, a w końcu ciężko przyplacił — że to wszystko, co się stało, było dawno do przewidzenia, jeżeli zatem ci, którzy to przewidywali, żyli z nim i przyjmowali go u siebie, nie powinni teraz okazywać mu pogardy w chwili upadku. Rozumiał też, ile Maszce sprawi przyjemności swym przybyciem na kolej — i po chwili wahania — poszedł.

Po drodze przypomniał sobie, że prawdopodobnie znajdzie na dworcu i panią Maszkową, lecz wiedział, że i tak musi ją spotykać, a są-

dział, że cofnąć się z tego powodu byłoby jakimś marnem tchórzostwem.

Z temi myślami wszedł na dworzec. W niewielkiej salce pierwszej klasy było już kilka osób i na stołach leżały całe stosy ręcznych tobołków, lecz nigdzie nie mógł dostrzedz Maszki, i dopiero rozejrzawszy się dokładnie, rozpoznał w młodej zakwefionej damie, siedzącej w kącie sali, panią Maszkową,

— Dobry wieczór — rzekł, zbliżywszy się ku niej. — Przychodzę pożegnać pani męża. Co się z nim dzieje?

Ona, skinąwszy mu lekko głową, odrzekła zwykłym sobie chłodnym głosem:

— Mój mąż kupuje bilety. Zaraz przyjdzie.

— Jak to bilety? Czyby i pani miała z nim jechać?

— Nie; mój mąż kupuje bilet.

Dalsza rozmowa w tych warunkach przedstawiała się dość trudno; po chwili jednak wszedł Maszko, w towarzystwie kolejowego służącego, któremu oddawał bilet i pieniądze z poleceniem wyekspedycowania rzeczy. Przybrany w długi płaszcz z peleryną i w miękki filcowy kapełusz, wyglądał razem ze swymi długimi faworytami i ze złotymi binoklami na jakiegoś podróżującego dyplomatę. Połaniecki też ludził się, że Maszko okaże nadzwyczajną radość z jego

przybycia. Maszko, ujrawszy go, rzekł wprawdzie: — «Ach, jakżem ci wdzięczny, żeś przyszedł!» — ale jakby z pewną niedbałością i z pośpiechem, zwykłym u ludzi, którzy wyjeżdżają.

— No, — ozwał się, rozglądając się po sali — wszystko załatwione! Ale gdzie to są moje ręczne pakunki! — A są! — Dobrze!

Poczem zwrócił się do Polanieckiego i powtórzył:

— Dziękuję ci, żeś przyszedł. Zróbże mi w takim razie jeszcze jedną laskę i odwieź żonę do domu, albo przynajmniej wyjdź z nią razem i pomóż jej odnaleźć powóz. Tereniu, pan Polaniecki odwiezie cię do domu. Mój drogi, choć na chwilę, mam ci jeszcze coś powiedzieć.

I wzięwszy Polanieckiego na bok, począł mówić gorączkowo:

— Odwieź ją koniecznie. Ja swój wyjazd upozorowałem, ale ty, tak, mimochodem, powiedz jej, że dziwisz się, iż na tak krótko przed terminem sprawy wyjeżdżam, bo gdyby mnie jaki wypadek zatrzymał, sprawa musiałaby być przegrana. Chciałem u ciebie być, żeby cię właśnie o to prosić, ale, jak to wiesz... w dniu wyjazdu! Termin za tydzień!... Ja zachoruję; stanie za mnie mój dependent, który jest poczynającym adwokatem — i oczywiście przegra. Ale rzecz będzie upozorowana przez wypadek. Żonę za-

bezpieczyłem. Wszystko jest na jej imię i nie zabiorą jej jednej szklanki. Sam też mam jeden pomysł, z którym udam się do Towarzystwa budowy okrętów w Antwerpii. Jeśli zrobię układ, lasy zadrzą w całym kraju, ale kto wie, czy w takim razie nie wrócę, bo cała sprawa o Płoszów jest wobec tego drobnostką. Nie mogę mówić obszerniej! Gdyby nie te ciężkie chwile, które przejść musi moja żona, bronilibym się zgryzocie, ale to mnie dusi tak!

Tu pokazał ręką na gardło, a potem mówił jeszcze śpieszniej:

— Nieszczęście na mnie spadło, ale nieszczęście może spaść na każdego. Zresztą za późno o tem mówić. Jak było, tak było, alem robił, co mógł, i jeszcze zrobię, co będę mógł. I to dla mnie ulga, że ty także swoje wydobędziesz — choćby z Krzemienia! Żebyś miał czas powiedzieć ci, co mam za pomysł, sambyś przyznał, że lada komu by nie przyszedł do głowy. Być może, że będę miał interesa i z waszą spółką. Widzisz, że się nie daję... I żonę zabezpieczyłem zupełnie. Ha! stało się! stało! Inny na mojem miejscu gorzejby skończył. Czy nieprawda? Ale wracajmy teraz do żony.

Połaniecki słuchał z pewną przykrością słów Maszki. Podziwiał wprawdzie jego duchową niepożytość, ale jednocześnie czuł, że brak w nim

jakiejś równowagi, która różni przedsiębiorczego człowieka od przedsiębiorczego awanturnika. I zdawało mu się, że w Maszce jest już coś z przyszłego wytartego wygi, który będzie się jeszcze długo rzucał, ale razem ze swymi pomysłami będzie spadał coraz niżej, aż skończy na wykrzywionych butach, drugorzędnej kawiarni i opowiadaniach wśród tak samo «zalamanych» o swojej dawnej wielkości. Pomyślał także, że powód tego wszystkiego, to życie, oparte od początku na nieprawdzie, i że Maszko, przy całej swej inteligencji, nigdy nie potrafi się z pęt nieprawdy wydobyć.

Oto udawał jeszcze i teraz przy żonie. Poniemkąd musiał to czynić, ale, gdy sala poczęła się napelniać ludźmi, a między nimi niektórzy znajomi przychodzili ich witać i zamienić parę takich prędkich słów, jakie zamienia się na kolejach, Maszko odzywał się do nich z takim jakimś odcieniem wyższości i laski, że Polanieckiego brała złość. «I pomyśleć, — mówił sobie — że on ucieka przed wierzycielami; coby było, gdyby ten człowiek doszedł kiedykolwiek do fortuny!»

Ale tymczasem ozwał się dzwonek, a z za okien dał się słyszeć pośpieszny oddech lokomotywy. Ludzie poczęli się ruszać i śpieszyć. «Ciekawym, co się w nim teraz dzieje?» — po-

myślał Polaniecki. — Lecz on i w takiej chwili nie mógł wydobyć się z więzów kłamstwa. Być może, że serce ścisnęło mu się złem przeczuć, że miał błysk jasnowidzenia, iż tej żony, którą kochał, więcej nie zobaczy, że jedzie na poniewierkę, na upadek, ale nie wolno mu było ni okazać tego, co czuł, ani nawet pożegnać żony tak, jakby chciał.

Ozwał się drugi dzwonek. Wyszli na peron, i Maszko zatrzymał się jeszcze chwilę przed sleepingiem. Blask latarni padał prosto na jego twarz, na której zjawily się około ust dwie zmarszczki. Lecz mówił spokojnie, tonem człowieka, którego interesa zmuszają do kilkodniowego wyjazdu, i który jest pewien, że wróci.

— No, do widzenia, Tereniu. Ucałuj ode mnie ręce mamy i bądź mi zdrowa. Do widzenia! do widzenia!

To mówiąc, podniósł jej rękę, którą jednak długo trzymał przy ustach.

A Polaniecki, usunąwszy się umyślnie nieco na bok, myślał:

— Oni się widzą ostatni raz. Za jakie pół roku nastąpi urzędowa separacya.

I uderzył go szczególny los tych obydwóch kobiet, jednaki dla matki i córki. Obie wyszły za mąż ze wszelkimi pozorami świetności — i oby-

dwóch mężowie musieli odbieżeć od domowego ogniska, pozostawiając żonom tylko wstyd.

Lecz tymczasem zadzwoniono po raz trzeci. Maszko wsiadł do wagonu. Przez chwilę w szerokiej szybie sleepingu widać było jeszcze jego faworyty i złote binokle, poczem pociąg zasunął się w ciemność.

— Służę pani — rzekł Polaniecki.

I był prawie pewien, że pani Maszkowa podziękuje mu sucho za towarzystwo. Był nawet z tego powodu zły, albowiem postanowił powiedzieć jej coś nietylko o mężu, ale i od siebie. Lecz ona skłoniła głowę na znak zgody. Miała także swój plan. W sercu jej zebrało się tyle gorzkiej niechęci i urazy do Polanieckiego, iż w przypuszczeniu, że on może znowu zechce skorzystać z chwili, którą mieli spędzić samowtór, postanowiła mu dać odpawę, którąby długo popamiętał.

Lecz myliła się najzupełniej. Naprzód, on przez nią rozbił się, jak łódź o skałę, i z tego powodu przez jakiś czas czuł dla niej nietylko niechęć, ale i nienawiść. Powtórę, jeśli później, przez coraz wyraźniejsze poczucie, że wina jest wyłącznie po jego stronie, nienawiść ta przeszła, to zmienił się tak dalece, że był już niemal zupełnie innym człowiekiem. Kupiecki obra-
chunek z samym sobą nauczył go, że za po-

dobne wybryki za drogo się płaci; był w fazie ogromnej tęsknoty do życia bez oszustwa, a wreszcie zgryzota i żal tak przeżarły w nim żądzę, jak rdza przeżera żelazo. Pomagając jej teraz wsiadać do powozu i dotknąwszy jej ramienia, pozostał spokojny — i wsiadłszy, począł jej zaraz mówić o Maszce, sądził bowiem, że przez samo uczucie ludzkości należy przygotować ją na przyszłą katastrofę i złagodzić jej znaczenie.

— Podziwiam odwagę męża pani — rzekł. — Niech w czasie jego pobytu w Berline runie jeden most na kolei, to nie będzie mógł wrócić na sprawę, od której — jak pani zapewne wiadomo — cały jego los zależy. Musiał wyjechać dla ważnych powodów, ale to zawsze hazard.

— Mosty są mocne — odpowiedziała pani Maszkowa.

Lecz on, nie zrażony tą niezbyt zachęcającą odpowiedzią, mówił dalej, odchylając przed nią stopniowo zasłonę przyszłości, i mówił tak długo, że tymczasem przybyli przed mieszkanie Maszków. Wówczas ona, nie rozumiejąc widocznie znaczenia jego słów, a może zła, że nie miała sposobności dania mu zamierzonej odpawy, rzekła, wysiadłszy już z karety:

— Czy pan ma jakiś osobisty cel w tem, żeby mnie niepokoić?

— Nie, pani — odrzekł Polaniecki, który uznał, że nadszedł czas powiedzenia jej tego, co jej postanowił powiedzieć od siebie. — W stosunku do pani mam tylko jeden cel, oto oświadczyć, że względem pani niegodnie zawinił — i że panią z całej duszy przepraszam.

Lecz młoda kobieta, nie odpowiedziałwszy ani słowa, weszła do sieni. Polaniecki do końca życia nie dowiedział się, czy to było milczenie niewiści, czy przebaczenia.

Jednakże wracał do domu z pewną ulgą, albowiem zdawało mu się, że powinien był tak postąpić. Był to w jego oczach mały akt pokuty — było mu zaś wszystko jedno, jak pani Maszkowa go zrozumiała. «Może sądzi, mówił sobie, że ją przepraszal za moje późniejsze postępowanie; w każdym razie będę jej teraz śmielej w oczy patrzył».

I w tej jego myśli było niezawodnie trochę egoizmu, ale była i wola wyjścia z manowców.

LXIV.

Panna Helena odebrała również przed wyjazdem od pani Broniczowej list, w rodzaju tego, który odebrała Marynia, i również, jak Marynia, nie pokazała go Zawilowskiemu. Zresztą

i Zawilowski wyjechał razem ze Swirskim w tydzień później, nie odwiedzwszy nikogo ze znajomych, z wyjątkiem panny Ratkowskiej. Sam Świrski odwiódł go od wszelkich odwiedzin, i Polaniecki, w rozmowach z żoną, przyznawał mu zupełną słusność. — «Teraz — mówił — byłoby to przykre i dla Ignasia, i dla nas. Co innego ci, którzy go codzień odwiedzali, bo ci do niego przywykli, ale nikt z innych nie mógłby się powstrzymać, by mimowoli nie spoglądać na ślad, jaki mu na czole pozostał. Zresztą Ignas zmienił się bardzo. Przez podróż przyjdzie zupełnie do siebie, i gdy wróci, my przyjmujemy go, jakby nic nie zaszło, a obcy będą w nim przedewszystkiem widzieli bogatego panicza».

I tak mogło być rzeczywiście. Ale tymczasem przez ów wyjazd wokół Polanieckich uczyniło się pusto. Kółko ich znajomych rozproszyło się na wszystkie strony. Osnowski bawił ciągle w Brukseli; o niej nikt dobrze nie wiedział, gdzie jest. Pani Broniczowa z panną Castelli siedziały w Paryżu; zbrakło również domu Zawilowskich; pani Krasławska z córką zamknęły się i żyły tylko jedna dla drugiej, a na koniec choroba przykuła biedną panią Emilię raz na zawsze do łóżka.

Pozostali tylko Bigielowie i profesor. Ale on był również chory, a przytem zdziwaczał tak

bardzo, że dalsi mieli go wprost za waryata. Inni mówili z pewną ironią, iż człowiek, który spodziewa się, że duch chrześcijański przeniknie tak samo w dzieje, jak przeniknął w stosunki prywatne, nie może być chyba przy zdrowych zmysłach. On sam począł też myśleć o śmierci i czynić do niej przygotowania. Często powtarzał Polanieckiemu, że chciałby umrzeć w «sieni do innego świata» — i wybierał się w tym celu do Rzymu. Ale, kochając bardzo Marynię, pragnął doczekać się przedtem jej słabości.

W ten sposób czas upłynął Polanieckim w wielkiem osamotnieniu. Było ono zresztą potrzebne i dla Maryni, która w ostatnich dniach czuła się mocno niezdrowa, i dla jego usposobienia. Polaniecki pracował w biurze — i nad sobą; wyrabiał w sobie nowego człowieka i czuwał nad żoną, ona zaś również przygotowywała się do nowej w życiu epoki — i przygotowywała się wesoło, albowiem zdawało jej się, że sama jej zapowiedź wpływa doskonale na nich oboje. Polaniecki stawał się z każdym dniem jakiś mniej bezwzględny, wyrozumialszy w sądach o ludziach i łagodniejszy, nie tylko w stosunku do niej, ale w stosunku do wszystkich, z którymi go stykało życie. Ją otaczał wyjątkową, uprzedzającą troskliwością, a jak-

kolwiek przypuszczała, że troskliwość owa ma na celu nie tyle jej osobę, ile dziecko — uznawała to za słuszne i była mu wdzięczna. Dziwiła ją czasem pewna nieśmiałość i jakby pewne wahanie się w jego obejściu, ale, nie mogąc odgadnąć, że to jest tylko powstrzymywanie uczucia dla niej, przypisywała podobne objawy obawie Stacha o to, czy wszystko odbędzie się szczęśliwie.

I w tych warunkach poczęły uchodzić całe tygodnie. Jednostajność ich przerywały czasem listy Świrskiego, który, gdy mógł złapać wolną chwilę, donosił co mógł, o Zawilowskim i o sobie. W jednym z tych listów pytał w imieniu Zawilowskiego, czy pani Połaniecka pozwoli, by ten opisy swych wrażeń posyłał pod formą listów do niej. — «Mówiliśmy z nim o tem obszernie — pisał Świrski. — On utrzymuje naprzód, że i pani może będzie przyjemnie mieć echa z kraju, który pani pozostawił tyle miłych wspomnień, a powtóre, że to bardzo ułatwia robotę, gdy się pisze jakby prywatnie. — Jest zdrow, chodzi, jada i sypia doskonale. Co wieczór widuję go też, jak siada do biurka i zabiera się do pisania. Uważałem, że próbuje i wierszy. Jakoś to nie idzie, bo dotąd, o ile wiem, nie nie napisał — przypuszczam jednak, że powoli wszystko się odnajdzie, a tymczasem

może forma listów istotnie ułatwić mu pracę. Dodaję na ostatek, że pannę Helenę wspomina z ogromną wdzięcznością, a na każde wspomnienie o pannie Ratkowskiej rozpromienia się w oczach. Ja zaś często mu o niej wspominam, bo cóż mam biedny robić? Jak co nie przeznaczone, to i niema rady, a jak komu pisane, że musi zostać kolkiem w płocie — to nie puści liści i na wiosnę.»

W połowie listopada przyszedł jednak z Rzymu list, który obojgu Polanieckim dał dużo do myślenia. Świrski pisał co następuje:

— «Wyobrażcie sobie państwo, że jest tu pani Broniczowa i panna Castelli — i żem się z nimi widział. Ja w Rzymie, jak w domu, więc o ich przyjeździe dowiedziałem się zaraz na drugi dzień. I wiecie, com na razie zrobił? Oto namówilem Ignasia do Sycylii, w czem zresztą nie miałem wiele trudności. Pomyślałem, że będzie siedział w Palermo, w Syrakuzach i w Taorminie, a gdyby wypadkiem wpadł w ręce «maffii», mniej drogo zapłaci za wykup, niż już zapłacił za prawo noszenia przez pewien czas pierścionka panny «Niteczki». — Mówilem sobie, że jeśli się mają spotkać gdziekolwiek na świecie i godzić, niechże się sobie spotykają i godzą, ale nie chciałem brać tego na własne sumienie, zwłaszcza po tem wszystkiem, co zaszło. —

Ignas jest niby zdrow, ale umysłowo nie przyszedł jeszcze do siebie i w tym stanie mógłby łatwo być doprowadzony do czegoś, czegoby potem całe życie żałował. Co do tych pań, domyśliłem się odrazu, dlaczego one tu przyjechały, i cieszyłem się w duszy, że im pomieściłszy — że zaś domysł mój był trafny, to dowód, że w kilka dni później przyszedł do Ignasia list, na którym rozpoznałem charakter szanownej wdowy po nieboszczyku Teodorze. Napisałem na kopercie, że Zawilowski wyjechał, niewiadomo dokąd, i list odesłano retro.

«To jednak dopiero początek historii. Naza jutrz odbieram list ja, z wezwaniem na rozmowę. Odpisuję, że z żalem muszę odmówić, ale moje zajęcia nie pozwalają mi na zrobienie sobie tej przyjemności. Na to odbieram drugą kartkę, już z odwołaniem się do mego charakteru, talentu, pochodzenia, serca, współczucia dla nieszczęśliwej kobiety — i z prośbą, bym, albo sam przyszedł, albo wyznaczył godzinę w pracowni. Nie było rady — poszedłem. Przyjęła mnie sama pani Broniczowa, ze Izami i z całym potokiem opowiadań, których nie będę powtarzał, ale w których «Niteczka» ukazuje się, jak Św. Agnieszka-męczennica. Pytałem: czem mogę służyć? Powiedziała mi, że tu nie chodzi o nic innego, tylko o dobre słowo ze strony Zawilowskiego, że

«dziecko jest chore, kaszle i prawdopodobnie roku nie przeżyje, ale chce umrzeć ze słowem przebaczenia». Na to, wyznaję, że trochę zmiękl, ale się trzymał. Nie mogłem zresztą dać adresu Zawilowskiego, bom nie wiedział rzeczywiście, w którym hotelu się zatrzyma. Pocilem się, jak w łaźni, i w końcu przyrzekłem tam coś ogólnikowo, że jeśli Ignasz zacznie kiedy pierwszy ze mną mówić o panie Castelli, to go będę namawiał, by postąpił zgodnie z chęcią pani Broniczowej.

«Ale to wszystko jeszcze nic. W chwili, gdym myślał o odwrocie, weszła nagle sama panna Lineta i zwróciła się do ciotki z prośbą, by mogła ze mną sam na sam pomówić. Nawiasem powiem państwu, że wychudła i że wydała mi się jeszcze wyższa, niż zwykle, prawdziwie jak «topolka», którą lada wiatr może złamać. Ledwośmy zostali sami, zwróciła się do mnie i powiedziała mi tak: «Ciotka próbuje mnie uniewinnić i robi to wszystko z miłości dla mnie, więc jestem jej wdzięczna, ale ja nie mogę tego przenieść i oświadczam panu, że jestem winna, że jestem zła, że jestem nic nie warta, i że, jeśli jestem nieszczęśliwa, to stokrotnie na to zasłużyłam». — Usłyszawszy to, zdumiałem, ale widziałem, że mówi szczerze, bo jej się usta trzęsły i oczy zaćmiły. Mówcie sobie państwo, że

mam maślane serce, ale wyznaję, że się grubo wzruszył, i spytałem, co mogę dla niej uczynić. Na to odpowiedziała mi, że nie, ale prosiła, że-
bym wierzył przynajmniej w to, że ona w tych usiłowaniach ciotki do nawiązania na nowo stosunku nie bierze żadnego udziału, że jej się po postępku Zawilowskiego otworzyły oczy na to, jaka ona jest, co zrobiła, i że tego nigdy w życiu nie zapomni. W końcu powtórzyła raz jeszcze, że ona jedna wszystkiemu winna, i prosiła, żebym tę naszą rozmowę powtórzył Zawilowskiemu, ale nie teraz, tylko kiedyś, gdy jej już nie będzie mógł posądzać, że go chce wzruszyć.

«No i co? Dalibyście czemuś podobnemu wiarę? Ja widzę jasno dwie rzeczy. Naprzód, że ją zamach Zawilowskiego na siebie musiał, bądźco bądź, okropnie wstrząsnąć, a powtórę, że jest bajecznie nieszczęśliwa, i kto wie, czy rzeczywiście nie chora. Przychodzi mi też na myśl to zdanie panny Heleny Zawilowskiej, któreś mi pan powtórzył, że o człowieku nie wolno wątpić, póki żyje. W każdym razie jest to rzecz nadzwyczajna. Wierzę też, że gdyby nawet Zawilowski chciał teraz do niej wrócić, ona nie zgodziłaby się na to tylko dlatego, że się go nie czuje godna. Co do mnie, myślę, że na świecie jest wiele lepszych i szlachetniejszych od niej

natur kobiecych, ale niech mnie licho porwie, jeśli będę działał przeciw niej!»

W dalszym ciągu następowały zapytania o zdrowie i ukłony dla państwa Bigielów.

List ten uczynił wielkie na wszystkich wrażenie i dał powód do licznych rozpraw między Polanieckimi i Bigielami. Pokazało się też zarazem, jak dalece zmienionym człowiekiem jest Polaniecki. Dawniej nie znalazłby dość słów potępienia dla panny Castelli i nie byłby nigdy uwierzył, że w tego rodzaju kobiecie może się odczuwać jakaś struna uczciwsza; obecnie zaś, gdy pani Bigielowa (która, jak i inne panie, ciałem i duszą należała do stronnictwa panny Ratkowskiej) wyraziła wątpliwość, czy nie jest to tylko odmienna taktyka ze strony panny Castelli — rzekł:

— Nie, ona na to zbyt młoda i wydaje mi się w tem szczerą. To już jest wielka rzecz, jeśli tak bezwzględnie uznaje swoją winę, bo to dowodzi, że jej zbrzydła życiowa nieprawda.

Po chwili zaś zastanowienia dodał:

— Ja pamiętam, jak naprzykład taki Maszko nieraz niby uznawał, że idzie błędną i fałszywą drogą, ale natychmiast szukał po za sobą przyczyn, któreby go mogły usprawiedliwić: «U nas tak trzeba»; «to wina naszego społeczeństwa»; «placę takimi pieniędzmi, jakie mają

kurs! — Com się tego nasłuchał! I to była również nieprawda. Tymczasem jest pewna odwaga w powiedzeniu: moja bezwzględna wina! — i kto tę odwagę ma, temu jeszcze coś zostało.

— Więc pan sądzi, że Zawilowski dobrzeby zrobił, wróciwszy do niej?

— Ani tak sędzę, ani przypuszczam, by się to stać mogło.

Lecz żywe zajęcie, rozbudzone wiadomościami z Rzymu, oraz troska o Zawilowskiego i pannę Castelli, przeszły wkrótce pod naciskiem poważniejszej troski, jaka zawisła nad domem Polanieckich. Pod koniec listopada zdrowie Maryni poczęło się psuć widocznie. Psuło się zresztą już od dawna, ale ona ukrywała to, póki mogła. Przychodziły na nią teraz ciężkie bicia serca i osłabienie tak wielkie, iż bywały dni, w których nie mogła poruszyć się z fotelu. Następnie dołączyły się do tego bóle krzyża i zawroty głowy. W ciągu tygodnia zmieniła się w oczach i wychudła do tego stopnia, że nawet lekarze, którzy aż dotąd uważali te objawy za zwykłą zapowiedź zbliżającej się słabości, poczęli się nimi niepokoić. Przezroczysta jej twarz przybierała teraz czasem odcień błękitnawy i, zwłaszcza w chwilach, gdy chora trzymała oczy zamknięte, stawała się podobną do twarzy umarłej. Nawet pani Bigielowa, największa optymistka

w otoczeniu, nie mogła w końcu oprzeć się obawom, lekarz zaś oświadczył wprost Polanieckiemu, że w takich warunkach oczekiwane przejście może być niebezpieczne i samo w sobie i w następstwach. Naprawdę jedna tylko Marynia, lubo codziennie słabsza i więcej wyczerpana, nie traciła otuchy.

Polaniecki zaś ją tracił. Przyszedł na niego czas tak ciężki, że wszystkie bóle i zmartwienia, jakie trafiło mu się w życiu przechodzić, wydały mu się niczem w porównaniu z tym straszliwym niepokojem, przechodzącym częstokroć w zupełną utratę nadziei. Niegdyś, po ożenieniu się z Marynią, w jego pojęciach o małżeństwie i nadziejach na przyszłość, dziecko było czemś głównem; teraz dopiero uczuł, że oddałby nie jedno, ale wszystkie dzieci, jakie kiedykolwiek mógł mieć, byle uratować tę jedyną, kochaną głowę. I serce krajało mu się, gdy czasem Marynia powtarzała swym osłabionym głosem pytanie, które i przedtem nieraz mu zadawała: «Stachu, a jeśli będzie chłopiec?» — Radby był upaść jej do nóg i, objawszy jej, powiedzieć: «Niech licho porwie chłopca, czy dziewczynę, byleś została mi ty!» — musiał zaś uśmiechać się do niej i zapewniać ją spokojnie, że mu to wszystko jedno. Opadły go znów dawniejsze strachy — i owa nadzieja, którą w nim wzbu-

dzily słowa Maryni, że fala zlego wraca przy lasce bożej tylko jako żal, rozwiała się bez śladu. Teraz chwilami miewał znowu poczucie, że choroba Maryni może być właśnie taką powracającą falą. Jakim sposobem tak mogło być, na to nie miał odpowiedzi, ale próżno rozum mówił mu, że na przykład między występkiem pani Osnowskiej, lub panny Castelli, a karą, jaka je spotkała, istnieje bezpośredni związek, którego tu nie masz. Strach odpowiadał mu na to, że zło może się filtrować przez życie tak tajemniczymi drogami, iż rozum ludzki nigdy ich nie wysledzi. I na tę myśl ogarniała go jakaś wprost mistyczna bojaźń. Człowiek w nieszczęściu traci zdolność do ścisłych rozumowań i żyje pod uciskiem groźby — i pod takim uciskiem żył Polaniecki. Widział tylko przepaść i własną bezsilność. Nieraz, patrząc na wynędzniałą twarz Maryni, mówił sobie: «Trzeba być szalonym, żeby przypuścić, iż ona może nie umrzeć!» — a jednocześnie szukał rozpaczliwie na twarzach otaczających choć cienia nadziei, i każdą kroplą krwi, każdą cząstką mózgu, całą duszą i sercem buntował się przeciw jej śmierci. Wydawało mu się to niepojętą krzywdą, żeby ona miała zamknąć na zawsze oczy, zanim on nie okaże jej, jak ją bez miary kocha, zanim jej nie wynagrodzi tych wszystkich chwil nieuwagi,

szorstkiego obejścia, egoizmu i niewiary, zanim nie powie jej, że stała się duszą jego duszy, czemś nietylko nad wszystko w życiu umiłowanem, ale i uczczonem. Powtarzał sobie, że jeśli Bóg tego dla niego nie uczyni, to powinien uczynić dla niej, żeby przynajmniej odeszła z uczuciem takiego szczęścia, na jakie zasłużyła. Od tych zuchwałych narzuczeń Bogu, jak powinien postąpić, przechodził znów do skruchy, pokory i prośby. Ale tymczasem Marynia była z każdym dniem bardziej i niebezpieczniej chora, on zaś, wśród dwóch rozpacz, z których jedna krzyczała: «To nie może być!» — a druga: «To musi być!» — wił się istotnie, jak w kleszczach.

Nadomiar, z konieczności, z obawy, by żonie nie odebrać otuchy, musiał wobec niej udawać, że z jej choroby niewiele sobie robi. I lekarz i pani Bigielowa przestrzegali go codziennie, by jej nie przestraszał; wskazywał mu to również własny rozum, a jednocześnie było to dla niego nowem udręczeniem, przychodziło mu bowiem na myśl, że ona może to wziąć za brak uczucia i umrzeć z myślą, że on jej nigdy nie kochał. Zmieniło się też w nim wszystko do dna. Bezsensowność, zmęczenie i trwoga wprowadziły go w stan jakiejś chorobliwej egzaltacji, w której samo nawet niebezpieczeństwo, i tak aż nadto rzeczywiste, widział w spotęgowanym stopniu.

Zdawało mu się, że niema żadnej nadziei, i chwilami myślał o Maryni, jakby już umarła. Po całych dniach rozpamiętywał wszystkie dodatnie strony jej charakteru, jej słowa, dobroć, spokój; przypominał sobie, jak wszyscy ją kochali, i jednocześnie czynił sobie rozpaczliwe wyrzuty, że jej nigdy nie był wart, że ją nie dość kochał, nie dość cenił, że w końcu złamał jej wiarę, a zatem musi ją stracić — i traci słusznie.

I w tem poczuciu, że rzecz tak straszna jest zarazem zasłużoną i że na wszelką poprawę jest za późno, było po prostu coś rozdzierającego. Ci nawet, którzy za życia byli zawsze bardzo kochani, odchodząc, pozostawiają po sobie żal, że jeszcze nie dość byli kochani — ze wszystkich najcięższy.

Na początku grudnia wrócili po dwumiesięcznym pobycie we Włoszech Świrski i Zawilowski. Połaniecki tak wysechł i zmizerniał przez ten czas, że go ledwie poznali; ale i on, cały pogrążony w swem nieszczęściu, prawie nie zwrócił na nich uwagi i słuchał, jak przez sen, słów pociechy i otuchy ze strony obydwóch, również jak i opowiadań, któremi zacny malarz próbował rozerwać jego strapioną myśl. Co go teraz mógł obchodzić Zawilowski, pani Broniczowa, lub panna Castelli, wobec tego, że jego Marynia mogła lada dzień skończyć! Świrski, który miał

dla niej ogromną przyjaźń, chcąc zaczerpnąć skądkolwiek trochę nadziei, udał się do pani Bigielowej, lecz i ta nie miała jej wiele. Lekarze sami nie wiedzieli dobrze, co chorej jest, bo do jej stanu przyłączyły się jeszcze rozmaite inne powikłania, nie dające się nawet określić. Wiadomo im było tylko, że serce chorej działa nieprawidłowo, obawiano się zaś przede wszystkim, by, wskutek złego krążenia krwi, nie potworzyły się w żyłach skrzepy, grożące natychmiastową śmiercią. Lecz prócz tego, nawet w razie szczęśliwego rozwiązania, obawiano się mnóstwa rzeczy: i wycieńczenia, i upadku sił, i wszelkiego rodzaju następstw, które dopiero później mogły się ukazać. Swirski przekonał się, że pani Bigielowa nie ludzi się już także, gdyż w końcu rozmowy rozplakała się i rzekła:

— Biedna Marynia, ale biedny i on! Żeby mu chociaż dziecko zostało, możeby znalazł siłę do zniesienia tego ciosu.

I wyplakawszy się, dodała:

— I tak ja nie rozumiem, jak on może to wszystko wytrzymać.

Była to prawda. Połaniecki nie jadł i nie spał. W biurze nie pokazywał się od dawna, z domu zaś wypadł tylko chwilami po kwiaty, które Marynia zawsze lubila i których widok ją rozweselał. Ale była już tak chora, że on

za każdym razem, niosąc pęki chryzantem, wracał ze straszną myślą, że może niesie je na trumnę. Maryni samej otworzyły się oczy, że to może zbliża się śmierć. Mężowi nie chciała o tem mówić, ale przed panią Bigielową płakała któregoś dnia z żalu za życiem i za «Stachem». Martwiła się też myślą, jak on to przeniesie, bo chciało jej się, żeby jej bardzo żałował, a jednocześnie, żeby niebardzo cierpiał. Przez długi czas udawała jednak przed nim, że jest pewna, iż wszystko skończy się szczęśliwie.

Ale później, gdy poczęły przychodzić na nią omdlenia, zebrała się na odwagę, by z nim mówić trochę otwarciej. Wydało jej się to obowiązkiem, więc którejś nocy, gdy pani Bigielowa, zwyciężona bezsennością, poszła spać, a on czuwał, jak zawsze, przy niej, przyciągnęła do siebie jego rękę i rzekła:

— Stachu, ja chciałabym z tobą pomówić i o jedną rzecz cię prosić.

— Co chcesz, kochanie? — spytał Polaniecki.

Ona czas jakiś namyślała się widocznie, jakby wyrazić swoją prośbę, a potem poczęła mówić:

— Obiecaj mi... Ja wiem, że pewno wyzdrowieję... ale przyrzecz mi, że... choćby to był chłopiec, ty go będziesz kochał i będziesz dla niego dobry.

Polaniecki nadludzkim wysiłkiem pohamował

łkanie, które chwytalo go za piersi, i odrzekł spokojnie:

— Moje drogie kochanie! I ciebie będę zawsze kochał i jego. Bądź pewna!..

Na to Marynia spróbowała podnieść jego rękę do ust, ale z osłabienia nie mogła tego uczynić, więc poczęła się tylko uśmiechać do niego z wdzięcznością, a po chwili znów rzekła:

— I jeszcze jedno... Nie myśl, żebym przypuszczała zaraz jakie straszne rzeczy — wcale nie! — ale ja — chciałabym się wypowiedzieć...

Połanieckiego dreszcz przebiegł od stóp do głowy.

— Dobrze, moje dziecko — odpowiedział zająkliwym i jakby nieswoim głosem.

Ona zaś, przypomniawszy sobie, że niegdyś podobalo mu się jej wyrażenie: «służba Boża», i chcąc mu dać poznać, że tu nie chodzi o nic innego, tylko o wypełnienie zwykłych religijnych obowiązków, powtórzyła z uśmiechem, niemal wesołym:

— Służba Boża!

I spowiedź odbyła się nazajutrz. Połaniecki tak był już pewien, że to jest koniec wszystkiego, iż niemal dziwilo go, że Marynia żyje jeszcze, a nawet, że wieczorem uczyniło się jej nieco lepiej.

Nie śmiał już wpuścić nadziei do duszy. Ona

jednak stała się rzeźwiejsza i mówiła, że jej lżej oddychać. Około północy poczęła z nim zwykłą wojnę o to, by poszedł odpocząć. Jakoż on, ze zmartwienia i trudu wyglądał już niewiele lepiej od niej. Bronił się też i teraz z początku, utrzymując, że spał w dzień, co była nieprawda — i że jest wypoczęty; ale gdy nalegała koniecznie — ustąpił, tem bardziej, że była przy niej umyślna kobieta i Bigielowa, a lekarz, który od tygodnia sypiał w ich mieszkaniu, upewnił go, że na dziś nie należy się niczego gorszego spodziewać.

Wyszedłszy jednak, uczynił to, co czynił zwykle, to jest siadł na fotelu przy drzwiach i począł nasłuchiwać, co dzieje się w jej pokoju.

Za najmniejszym szmerem zrywał się, lecz gdy szmer ustawał, siadał znowu i poczynął rozmyślać, prędko a chaotycznie, jak czynią ludzie, nad którymi wisi niebezpieczeństwo. Chwilami jednak myśli zachodziły mu ze znużenia jedna za drugą, tworząc jakąś zbitą gęstwinę, w której się plątał, nie mogąc nic rozeznąć. Morzył go też i sen. Siły miał niepospolite, ale od dziesięciu dni przebierał się tylko, nie rozbierał — i na nogach podtrzymywała go jedynie czarna kawa i gorączka. Nie poddawał się i teraz, choć głowa ciążyła mu ołowiem, a gęstwina myśli zmienila się jakby w czarną

chmurę, bez jednego jaśniejszego promyka. Mechanicznie tylko powtarzał sobie jeszcze, że Marynia chora i że on nie powinien usnąć; ale słowa te nie miały już dla niego najmniejszego znaczenia.

Wreszcie trud, wyczerpanie i bezsenne noce przemogły. Chwycił go nieprzeparty, kamienny sen, w którym nic się nie śni, w którym ginie rzeczywistość, ginie cały świat i samo życie zdaje się drętwieć.

Nad ranem zbudziło go dopiero pukanie do drzwi.

— Panie Stanisławie! — ozwał się przytłumiony głos pani Bigielowej.

Połaniecki zerwał się na równe nogi i, oprzytomniawszy w tejże chwili, wybiegł z pokoju. Jednem spojrzeniem objął łóżko Maryni, i na widok zapuszczonych firanek nogi zachwiały się pod nim.

— Co się stało? — wyszeptał zbielełemi wargami.

A pani Bigielowa odpowiedziała równie cicho, głosem nieco zdyszany:

— Macie syna...

I położyła palec na ustach.

LXV.

Były jeszcze dni ciężkie i bardzo ciężkie. Przyszło osłabienie tak wielkie, że życie Maryni poczęło się wahać, jak płomyk. Zgaśnie czy rozetleje? — na to nie umiał nikt odpowiedzieć. Chwilami wszyscy byli przekonani, że już, już gaśnie. Jednakże młodość i ulga, jaką organizmowi przyniosło przyjście na świat dziecka, przeważyły szalę na stronę życia. Któregoś dnia chora po długim śnie obudziła się jakby rzeświejsza. Stary lekarz, który był przy niej i który to stwierdził, chcąc upewnić się lepiej, że owo polepszenie nie jest złudzeniem, zażądał wezwania drugiego, z którym przedtem składali konsylia. Polaniecki sam po niego pojechał i prawie odchodził od zmysłów, szukając go po mieście przez pół dnia, nie śmiał bowiem jeszcze mieć nadziei, że to już zwrot stanowczy w jej chorobie i w jego niedoli. Gdy nareszcie odnalazł utrapionego medyka i gdy przywiózł go do domu, przyjęła ich w przedpokoju pani Bigielowa, z mokremi rękami, ale z twarzą rozpromienioną, i rzekła:

— Lepiej! stanowczo lepiej!

I nie mogła mówić więcej, bo łzy popłynęły z jej oczu. Polaniecki pobił ze wzruszenia,

ona zaś, opanowawszy po chwili swą radość, poczęła mówić, uśmiechając się przez łzy:

— Wie pan, wojuje już o jedzenie! Przedtem kazala sobie przynieść małego. Dopytywała także, czemu pan nie wraca. A teraz wojuje o jedzenie, ale jak wojuje! A, chwala Bogu! chwala Bogu!

I w uniesieniu uściskała Polanieckiego, a on przez długi czas nie odejmował ust od jej rąk; drżał tylko cały z wysilenia, żeby potłumić radość, ale zarazem i jęki, które, nagromadziwszy się w nim przez tyle dni trwogi i męczarni, chciały teraz koniecznie wybuchnąć.

Tymczasem lekarze poszli do Maryni i siedzieli przy niej dość długo. Gdy po skończonej naradzie ukazali się znowu, na twarzach ich widać było zadowolenie. Na gorączkowe zapytania Polanieckiego, ten, który stale był przy Maryni, stary impetyk, ze złotymi okularami na nosie i złotem sercem w piersiach, sam uszczęśliwiony, ale utrudzon bardzo, rzekł oburkliwie:

— Jak się ma? Idź pan, podziękuj Bogu!... ot co!

I Polaniecki poszedł. Gdyby był człowiekiem zupełnie niewierzącym, byłby w tej chwili poszedł tak samo — i z sercem, wezbranem łzami i wdzięcznością, byłby dziękował tak samo Bogu, że się nad nim zlitował i pozwolił wrócić fali

złego tylko pod postacią żalu, zgryzoty, męki — nie pod postacią śmierci.

Poczem, uspokoiwszy się, wszedł na palcach do pokoju żony, przy której była już pani Bigielowa. Marynia raźnie spoglądała przed się rozweselonemi oczyma, i na pierwsze wejrzenie znać było, że istotnie ma się daleko lepiej. Ujrzawszy go, rzekła:

— A widzisz, Stachu... dobrze!

— Dobrze, kochanie — odpowiedział cicho Polaniecki.

Nie pora była jeszcze na głośne wybuchy, więc siadł w milczeniu przy jej łóżku. Lecz po chwili radość i ogromna miłość do niej zmogły go tak, iż, przechyliwszy się, objął rękoma jej okryte koldrą stopy, a następnie, przyłożywszy do nich twarz, pozostał w ten sposób bez ruchu.

Ona zaś, jakkolwiek bardzo jeszcze osłabiona, uśmiechała się z zadowolenia. Przez czas jakiś patrzyła na niego, poczem, zupełnie jak dziecko uszczęśliwione, że je pieszczą, rzekła do pani Bigielowej, ukazując swoim przezroczystym paluszkiem na tę ciemną czuprynę, przytuloną do jej nóg:

— Kocha!

Nazajutrz Marynia czuła się jeszcze zdrowszą, i od owej chwili każda niemal godzina przyno-

sila polepszenie. W końcu był to już nie powolny powrót do zdrowia, ale jakby rozkwit, jakby nagły powrót wiosny po zimie, który zdumiewał samego lekarza. Połanieckiemu chciało się teraz chwilami krzyczeć z radości, która dusiła go tak, jak dawniej — męka. Trzymano Marynię jeszcze w łóżku, przez zbytek ostrożności; ale gdy wracały jej siły, rumieńce, ochota do życia, humorem, poczęła sobie przykrzyć i codzień wieczorem zapowiadać, że nazajutrz wstanie. Pod jednym tylko względem długa choroba i bezsilność przyniosły zmianę w jej usposobieniu, która jednak wkrótce miała przejść razem z innymi śladami słabości. Oto tak spokojna i rozsądna niegdyś kobietka, stała się na pewien czas jakby rozpieszczonem dzieckiem, które często napierało się rozmaitych rzeczy bardzo usilnie i odczuwało prawdziwe zmartwienie, jeśli mu ich odmawiano. Połaniecki, rozmawiając z nią, wchodził mimowoli w jej ton, skutkiem czego owe «grymasy» były powodem do weselości.

Raz poczęła się przed nim skarżyć, że pani Bigielowa nie chce jej dać czerwonego wina. Pani Bigielowa tłumaczyła się, że dała tyle, ile doktor pozwolił, ale musi czekać na jego pozwolenie, żeby dać więcej. Połaniecki jął zaraz Marynię pocieszać, mówiąc do niej tak zupełnie, jak niegdyś mawiał do Litki:

— Dadzą dziecku wina, zaraz dadzą!... Tylko doktor przyjdzie...

A Marynia na to:

— Czerwonego!...

— Ale jak czerwonego! — odpowiedział z zapalem Polaniecki.

Poczem oboje poczęli się śmiać, a z nimi razem i pani Bigielowa. Jak dawniej w całym tym pokoju unosiła się trwoga śmierci i nieszczęścia, tak teraz często radość rozświecała go, jak słońce. Chwilami wpadali w doskonały humor, a do kompanii należał częstokroć i dziadzio Pławicki, który, od czasu przyścia na świat wnuka, stał się pełen patryarchalnej, ale dobrotliwej powagi, nie wyłączającej wesołości. Bywało zresztą różnie; czasem bowiem brał w nim górę nastrój wysoki i uroczysty. Pewnego dnia przyniósł testament i zmusił wszystkich do wysłuchania jego paragrafów od początku do końca. We wstępie żegnał się we wzruszających słowach z życiem, z córką, z Polanieckim i z wnukiem, nie szczędząc przytem wskazówek, tyczących jego wychowania na dobrego wnuka, dobrego syna, ojca i obywatela; następnie czynił go spadkobiercą wszystkiego, co posiadał — i, pomimo że od bankructwa Maszki posiadał tylko tyle, ile mu dawał Polaniecki — niemniej czuł się wzruszonym swoją hojnością i niemniej cały

wieczór miał minę pelikana, który nakarmił własną krwią pisklęta.

Człowiek, który się odradza na świat po ciężkiej chorobie, przechodzi poniekąd znów przez wszystkie okresy dzieciństwa i pierwszej młodości, z tą jedynie różnicą, że to, co dawniej liczyło się na lata, liczy się w takich warunkach na tygodnie, lub nawet na dni. Tak było z Marynią. Pani Bigielowa, która z początku nazywała ją «bébé», mówiła, śmiejąc się, że stopniowo «bébé» zmienia się w małą dziewczynkę, a z dziewczynki w podlotka. Ale w podlotku poczęła się następnie odnajdować kobieca kokieteria. Teraz, gdy ją czesano, wymagała już koniecznie, by jej stawiano na kolanach niewielkie zwierciadło, które miała po matce, i pilnie badała w niem, czy też zapowiedź pani Bigielowej, że «potem jest się jeszcze ładniejszą», sprawdza się na niej. W pierwszych czasach oględziny niezbyt ją zadowalały, później jednak coraz więcej. Nakoniec, któregoś dnia, kazała sobie zaraz po uczesaniu podać raz jeszcze zwierciadło— i jeszcze raz odbyła dokładny przegląd cery, oczu, ust, włosów, wyrazu, słowem wszystkiego, co było do obejrzenia.

I *revia* musiała wypaść dobrze, albowiem poczęła się uśmiechać, rozpromieniać, wreszcie zwróciła się w stronę pokoju Połanieckiego i, prze-

grażając wymizerowaną piastką, z miną wielce zdobywczą, rzekła:

— A, poczekaj-no teraz, panie Stachu!

Rzeczywiście zaś nigdy nie była równie śliczna. Pleć jej, zawsze bardzo czysta, stała się jeszcze bardziej przezrocza i jeszcze więcej liliowa, niż wówczas, gdy Zawilowski tracił głowę i rymował z tego powodu od rana do wieczora. A obok tego, na policzkach jej świecił już pierwszy różowy blask zdrowia. Z oczu, z ust, ze zdrobniałej po chorobie twarzy, było jakby światło, jakby odrodzenie się do życia i jakby wiosna. Była to po prostu cudna głowa, pełna barw jasnych a leciuchnych, a zarazem subtelnego rysunku — prawdziwie wytworna i, jak się niegdyś wyraził Zawilowski: polna — tak cudna, że chwilami, gdy leżała na poduszkach i na podścieli ciemnych włosów, nie można się jej było dość napatrzeć. To też tak zwany «Pan Stach», który to wszystko widział doskonale, i który, wedle określenia Bigiela, nie mógł już z miłości «ani ręką, ani nogą ruszyć» — nie potrzebował wcale «czekać». Nietylko ją teraz kochał jak kobietę i jak drogą głowę, ale czuł dla niej wdzięczność bez granic za to, że nie umarła — i okazywał swą wdzięczność w ten sposób, że starał się odgadywać jej myśli. Marynia ani przypuszczała kiedykolwiek, że stanie się do

tego stopnia osią jego życia, żrenicą jego oka, duszą jego myśli i czynności. Nigdy nie było im z sobą źle, ale teraz, wraz z powrotem do zdrowia Maryni, weszło do ich domu niebywale szczęście i niebywała radość.

Przyczyniał się do niej dzielnie i młody Polaniecki. Marynia nie mogła sama karmić, i mąż, przewidując to, sprowadził do syna żywicielkę. Chcąc jednak sprawić chorej przyjemność, sprowadził dawną jej znajomą z Krzemienia. Służyła ona niegdyś u Plawickich, po ich wyjeździe zaś zgodziła się do Jalbrzykowa, i tam zdarzyło się jej nieszczęście. Nigdy nie wiadano dobrze, kto był jego przyczyną; jeśli jednak któremu z większych właścicieli można było zarzucić brak miłości do ludu, to nie panu Gątowskiemu, albowiem w całym Jalbrzykowie pełno było dowodów, jak dalece pan Gątowski lud kochał. Nawet i przy układach o serwituty, współobywatele z Jalbrzykowa między innemi kwestyami podnosili i tę, że: «pan dzie-
dzic na białym koniu jeździ, z pistoletu se strzyla i dziewczkom w ślipia patrzy» — i jeśli z jednej strony nie łatwo było pojąć, jaki właściwie związek mają powyższe zwyczaje pana Gątowskiego z układami o serwituty, to natomiast z drugiej stawało się zupełnie jasnem, iż, dzięki tymże zwyczajom, Polaniecki znalazł z lat-

wością w Jalbrzykowie karmicielkę dla swego syna.

Że zaś była to silna, młoda i hoża Mazurka, przeto młody człowiek mógł tylko dobrze wyjść na jej opiece. Wogóle ów mały Polaniecki była to osoba, która od pierwszej chwili przyjścia na świat rozpanoszala się w domu codziennie bardziej, nie licząc się z nikim i nie myśląc o niczem, tylko o własnych potrzebach i przyjemnościach. W myśl tej metody, w chwilach wolnych od uczt i snu, zajmował się ćwiczeniem i rozwojem swych małych płuc, za pomocą krzyku tak doniosłego, na jaki tylko poranny jego wiek umiał się zdobyć. Przynoszono go wówczas najczęściej do Maryni, przyczem rozpoczynały się nieskończone sesye, na których rozpatrywano szczegółowo wszystkie jego fizyczne i umysłowe zalety, oraz uderzające podobieństwo do życiodawców. Stwierdzono w ten sposób, że ma nos matki, odrzuciwszy z rzadką w głosowaniu jednomyślnością uwagę mamki, że ma nos jak «kociak»; stwierdzono również, że będzie miał niezmiernie ujmujący uśmiech, że będzie brunetem, że będzie niezawodnie wysoki, że jest bardzo żywy i że będzie się odznaczał zadziwiającą pamięcią. Pani Bigielowa, póki Marynia leżała jeszcze w łóżku, robiła przytem na swoją rękę rozmaite odkrycia, które zwiasto-

wala wszem wobec. Raz też, wpadłszy do Maryni, poczęła mówić z radością i godnym wszelkiego uznania pośpiechem:

— Wyobraź sobie, rozłożył paluszki u jednej rączki, a drugą, przysięglabyś, że je liczy. Będzie z pewnością matematyk!

Marynia zaś odrzekła z zupełną powagą:

— To będzie miał po ojcu.

I ona jednak zrobiła odkrycie, wcześniejsze nawet pod względem daty od wszystkich pani Bigielowej, mianowicie, że to jest «bardzo kochane stworzonko». Co do Polanieckiego, ten w pierwszych chwilach patrzył na nowego znajomego z zdziwieniem i pewną nieufnością. W swoim czasie bardzo sobie życzył mieć córkę, z tego głównie względu, iż, będąc z usposobienia i serca wielkim dzieciarzem, wyobraził sobie, że tę całą tkliwość, jaką się ma w sobie, można oddać tylko dziewczynce. Niewiadomo dlaczego tkwilo w nim pojęcie, że syn to będzie zaraz jakieś chłopisko, nieledwie z wąsami, mówiące basem, wierzgające jak żreback, do którego z tkliwością nie warto i przystępować, bo on ją ma — w pogardzie. Stopniowo dopiero, przypatrując się tej drobnej, śpiącej w poduszkach, figurze, poczał dochodzić do przekonania, że to nie tylko nie jest żadne «chłopisko», ale po prostu godna litości bieda, taka mała, słaba,

bezbronna, tak potrzebująca opieki i kochania, jak i wszystkie w świecie dziewczyny. Zresztą mówił sobie: «Taki on tam jeszcze i chłopiec!» — i od tej chwili rozczulał się dla niego coraz więcej, a po kilku dniach próbował go nawet sam nosić do Maryni, co zresztą czynił z takim nakładem zgoła zbyt wielu ostrożności, a zarazem tak niezgrabnie, że doprowadzał do śmiechu nie tylko Marynię i panią Bigielową, ale, z ujmą swej powagi — nawet i mamkę.

I śmiech rozlegał się teraz w mieszkaniu Polanieckich niemal od rana do wieczora. Oboje, budząc się rano, budzili się z tem błogiem poczuciem, że dzień przyniesie im nową radość. Bigiel, który od czasu jak Marynia wstała, dopuszczany był wieczorem razem ze swoją wiołonczelą, przypatrując się ich życiu, rzekł raz, po chwili odpowiedniej rozwagi:

— Na dobrych ludzi, jak i na każdego, może przyjść nieszczęście; ale za to, jak im dobrze, tak, dalibóg, nikomu nie jest lepiej.

A im było rzeczywiście dobrze. Marynia, wedle tego, co słyszała w swoim czasie od pani Bigielowej i co myślała sama, sądziła, że przyczyną tego ponownego rozkwitu miłości męża jest dziecko, które ich związało nowymi węzłami... Któregoś dnia poczęła nawet o tem mówić z Polanieckim, lecz on odrzekł jej z całą prostotą:

dziecka do chrztu nie trzymał, więc nie wie, czyby mu się chrześniak zdrowo chował, a zwłaszcza, czyby miał szczęście do kobiet». Na to Polaniecki począł się śmiać i nazywać go przesądnym Włochem, lecz Marynia, która najprędzej domyśliła się o co chodzi, korzystając z chwili, w której chcąc się wymknąć, wycofywał się do okna, rzekła półgłosem:

— Kumostwo w drugą parę nie jest w danym razie przeszkoda.

Swirski powiódł za nią oczyma, następnie uśmiechnął się, ukazując swoje małe zdrowe zęby, i nagle rzekł, zwracając się do panny Ratkowskiej:

— Prawda, że to tylko w drugą parę, więc... służę pani!

I wszyscy otoczyli teraz malego Stasia, który na ręku niani, przybrany w powłóczyste muśliny i koronki, wyglądał dzielnie razem ze swoją lysiną i wytrzeszczonemi okragłemi oczkami, w których świat zewnętrzny odbijał się tak mechanicznie, jak w zwierciadle. Bigiel wziął go teraz na ręce i rozpoczął się obrząd.

Obecni słuchali w należytem skupieniu poważnych sakramentalnych słów, lecz młody poganin okazał wyjątkową zatwardziałość. Naprzód począł wierzgać tak, że wysunął się napół z rąk Bigiela, poczem, gdy Bigiel wyrzekał

się w jego imieniu czarta i jego nieprawości, uczynił wszystko, co było w jego mocy, żeby go zagłuszyć. Dopiero, ujrzawszy niespodzianie wśród krzyku okulary Bigiela, uciał nagle, jakby chcąc dać do zrozumienia, że jeśli na świecie istnieją tak zdumiewające przedmioty, to w takim razie co innego.

Zresztą obrząd się skończył, i zaraz potem oddano go w ręce niani, która po chwili ułożyła go w przepysznem łóżeczku, mającem kształt wózka, darze Świrskiego — i chciała go wytoczyć z pokoju. Lecz Świrski, który może dotąd nigdy w życiu nie widział z bliska tak malej osoby, i w którego piersiach biło stęsknione oddawna za ojcowstwem serce, zatrzymał nianię i, pochyliwszy się do kolyski, wziął dziecko w ramiona.

— Ostrożnie! ostrożnie! — zawołał, zbliżając się, Polaniecki.

A malarz odwrócił się do niego, i rzekł:

— Panie, ja miewałem w ręku wyroby Luca della Robbia.

I rzeczywiście, podniósł male stworzenie i począł je huścić z taką zręcznością, jakby całe życie dzieci niańczył. Następnie przystąpił z nim do profesora Waskowskiego i spytał:

— Cóż? Co kochany profesor myśli o tym młodym Aryjczyku?

— A cóż? — odpowiedział staruszek, spoglą-

dając z rozczuleniem na malca: — naturalnie, że Arya! najczystszej krwi Arya!

— I przyszedł misjonarz? — dodał Polaniecki.

— Nie uchylił się od tego w przyszłości, nie uchylił, tak, jak i wy nie umiecie się uchylić! — odpowiedział profesor.

Jakoż przyszłości niepodobna było przesądzać, na razie jednak młody Aryjezyk uchylił się od wszelkich misyi w sposób tak niedwuznaczny, a nawet wprost obelżywy, że trzeba go było oddać niani. Panie jednak nie przestały się nim bawić, cmokać na niego i zachwycać się nim, póki nie doszły do stanowczego wniosku, że to jest dziecko zupełnie wyjątkowe, że całe zachowanie się jego dowodnie o tem świadczy, i że trzebaby chyba nie mieć oczu, żeby nie poznać, że to będzie najprzystojniejszy w kraju mężczyzna, a przytem geniusz.

Geniusz jednak usnął wreszcie, jak gdyby odurzony kadzidłami, a tymczasem podano śniadanie. Marynia, mimo całej przyjaźni dla malarza, posadziła jednak koło panny Ratkowskiej Zawilowskiego. Chciała, jak zresztą i wszyscy, nie wyjmując nawet Świrskiego, żeby się coś w ich stosunkach wyjaśniło. Zawilowskiego postępowanie było bowiem dziwne. Świrski utrzymywał, że on nie jest jeszcze zupełnie normalny. Był zdrow, sypiał i jadł dobrze, na-

wet nieco utył, mówił rozsądniej, choć powolniej, niż dawniej, ale pojawiała się w nim jakaś niemoc woli, jakiś brak inicjatywy, której przedtem było w nim tak pełno. We Włoszech rozpromieniał się na wspomnienie panny Ratkowskiej, i gdy o niej mówił, oczy czasem zachodziły mu łzami. Po powrocie, gdy mu ktoś czasem napomknął, że wartoby pójść z wizytą do panny Ratkowskiej, a zwłaszcza, gdy ofiarował się iść z nim razem, mówił: «A prawda» — i szedł z radością. Po za tem jednak zdawał się jakby nie pamiętać o jej istnieniu. Widoczne czasem było, że jakieś inne myśli nurtują go w głębi duszy i pochłaniają wszystkie jego duchowe władze. Świrski przypuszczał przez jakiś czas, że to może pamięć o panie Castelli — przekonał się jednak z pewnem zdziwieniem, że tak nie jest, i wreszcie zaczął mniemać, że Zawilowski dlatego nigdy jej nie wspominał, iż stracił poczucie jej rzeczywistości, albo też, że wydawała mu się już czemś tak odległym, jakimś wrażeniem tak rozwianem, że wspomnień o niej nie mógł związać w żywą, realną całość. Nie był jednak smutny. Owszem, chwilami znać w nim było zadowolenie i radość z życia, jakby się dopiero po powtórnej odrodzeniu na niem poznał. Prawdziwie smutną, coraz bardziej zamkniętą w sobie i coraz cichszą była panna Rat-

kowska. Może, prócz braku wzajemności, niepokoiły ją w Zawilowskim i inne rzeczy, ale nie mówiła o swych niepokojach z nikim. Marynia i pani Bigielowa, sądząc, że wyłącznym powodem jej smutku jest zachowanie się Zawilowskiego w stosunku do niej, otaczały ją najserdeczniejszym współczuciem i gotowe były uczynić wszystko, by jej przyjść z pomocą. Marynia, od czasu powrotu Zawilowskiego z Włoch, widziała go po raz pierwszy, ale pani Bigielowa mówiła z nim codziennie o paninie Ratkowskiej, unosząc się nad nią, wspominając, ile jej winien wdzięczności, i dając mu coraz wyraźniej do zrozumienia, że powinien się jej jakoś z takiego długu uiszczyć. Poczciwy Świrski, wbrew własnemu nadziejom, powtarzał mu toż samo — i Zawilowski wszystko przyznawał, tylko, jakby nie chcąc, lub nie umiejąc wyprowadzić ostatecznego wniosku, mówił o rychłym swym powrotnym wyjeździe, o planach jeszcze większych podróży na przyszłość, słowem o rzeczach, które z natury swej wyłączały udział panny Ratkowskiej.

I teraz, siedząc obok, niewiele do siebie mówili. Zawilowski jadł obficie — i z zajęciem, a nawet pewną niecierpliwością, przeprowadzał oczyma nowe dania, które podawano naprzód starszym; panna Ratkowska, zauważywszy to,

spoglądała na niego chwilami jakby z bolesnem współczuciem, a Marynię poczęło to trochę korcić, więc, chcąc zawiązać między nimi rozmowę, rzekła, przechyliwszy się przez stół:

— Pan tak świeżo z podróży, niechże pan coś opowie mnie i Stefcu o Włoszech. Wszak ty, Stefcu, nie byłeś tam dotąd?

— Nie byłam — odpowiedziała panna Ratkowska; — ale niedawno właśnie czytałam jakąś podróż... tylko, że czytać a widzieć to co innego.

I zarumieniała się lekko, spostrzegła bowiem, iż się zdradziła, że czytywała o Włoszech właśnie wówczas, gdy Zawilowski tam bawił.

On zaś rzekł:

— Mnie pan Świrski namówił aż do Sycylii, ale tam były jeszcze upały; tamby trzeba teraz jechać!

— A! — rzekła Marynia — dobrze, że mi się przypomniało! A moje listy? Pytał pan przecie przez pana Świrskiego, czy chcę, by mi pan spisywał swoje wrażenia, a potem nie odebrałam ani literki!

Zawilowski zaczerwienił się nagle, zmieszał, a potem rzekł jakimś dziwnym, niepewnym głosem:

— Bo... jeszcze nie mogłem... Ja będę ogromnie dużo pisał, ale później...

Świrski, posłyszawszy te słowa, zbliżył się

po śniadaniu do Maryni i rzekł, ukazując Zawilowskiego oczyma:

— Wie pani, jakie on mi czasem robi wrażenie? — że to jest kosztowne naczynie — rozbite.

LXVII.

W parę dni po chrzcinach Świrski odwiedził Połanieckiego w biurze, by się dowiedzieć o zdrowie Maryni, a zarazem pogadać o rozmaitych rzeczach, które mu leżały na sercu. Widząc jednak, że się spóźnił, i że Połaniecki zabierał się do wyjścia, rzekł:

— Niech pan dla mnie nie zostaje. Pogawędzimy na ulicy. Światło dziś tak ostre, że nie mogę nic robić, więc odprowadzę pana do domu.

— Musiałbym pana w każdym razie przeprosić — odpowiedział Połaniecki. — Moja Marynia dziś po raz pierwszy wychodzi, i idziemy do Bigielów na obiad. W tej chwili musi być już ubrana, ale mam jeszcze ze dwadzieścia minut czasu.

— Skoro wychodzi, to widać, że zdrowa.

— Chwalić Boga, jak ptak! — odpowiedział z radością Połaniecki.

— A Aryjczyk?

— Aryjczyk także tego się trzyma.

— Ach, szczęśliwy człowieku! — rzekł Świrski: — ja, gdybym miał w domu taką żabę, nie mówiąc już o takiej żonie, to nie wiem... chyba-bym po dachach chodził!

— To też nie uwierzysz pan, jak mnie ten chłopak bierze za serce... Codzień więcej — a wogóle tak, że anim się spodziewał, bo trzeba wiedzieć, że ja sobie życzyłem córki.

— Jeszcze nie wieczór! przyjdzie i córka! — odrzekł Świrski. — Ale pan się śpieszysz, więc chodźmy.

Połaniecki wdział futro, i wyszli na ulicę. Dzień był mroźny, jasny. Wokół rozlegał się pośpieszny brzęk dzwonków od sanek. Ludzie mieli kołnierze na uszach, szron na wąsach i z ust wyrzucali słupy pary.

— Wesoly jakiś dzień — rzekł Połaniecki. — Cieszę się dla mojej Marylki, że pogoda.

— Panu wesoło, więc wszystko bierzesz jasno — odrzekł Świrski, biorąc go pod rękę.

Lecz nagle puścił ramię Połanieckiego i, zastąpiwszy mu drogę, rzekł z taką miną, jakby się chciał z nim kłócić:

— Czy pan wiesz, że pan masz za żonę najpiękniejszą kobietę w Warszawie? To ja panu powiadam — ja!

I począł stukać się ręką w piersi, jakby chcąc powiększyć pewność, że to mówi on, nie kto inny.

— Ba! — rzekł, śmiejąc się, Polaniecki — i zarazem najlepszą, najpoczciwszą w świecie; ale chodźmy, bo mróz.

Gdy zaś Świrski wziął go pod rękę, dodał z pewnem wzruszeniem:

— Com ja jednak przeszedł podczas jej choroby, to Pan Bóg jeden wie... Lepiej o tem nie wspominać... Zrobiła mi po prostu niespodziankę swoim powrotem do zdrowia, ale też jeśli Bóg da doczekać wiosny, zrobię i ja jej niespodziankę, z której będzie rada.

— Jej niema z kim porównać — odpowiedział Świrski.

Tu, zatrzymawszy się znowu, rzekł jakby z pewnem zdziwieniem:

— I, jak Boga kocham, ile w niej przytem prostoty!

Przez jakiś czas szli w milczeniu, następnie Polaniecki począł wypytywać Świrskiego o wyjazd.

— Zatrzymam się ze trzy tygodnie we Florencyi — odrzekł malarz. — Mam tam jakąś robotę. Prócz tego, stęskniłem się do światła na San-Miniato, do Ginewry, w której się niegdyś kochałem, i do Cimabuego. Pamiętasz pan w Santa

Maria Novella, w kaplicy Rucellai?... Po trzech tygodniach pojedę do Rzymu. Właśnie chciałem o tem z panem pogadać, bo dziś rano był u mnie Zawilek z propozycją, żebyśmy znów jechali razem.

— A! — rzekł Polaniecki. — I zgodziłeś się pan?

— Nie miałem serca odmówić, choć — między nami — on bywa czasem ciężki. Pan przecie wiesz, jak go pokochałem i jak mu współczułem, więc samemu mi przykro to mówić, ale bywa bestya ciężka!... Co tu gadać: zmienił się ogromnie! Na chrzcinach powiedziałem pani, że on chwilami wydaje mi się, jak kosztowne naczynie — rozbite. I to prawda! Albo to ja raz widziałem, jak on się męczył nad tymi listami, w których chciał opisywać dla pani Włochy. Chodził całemi godzinami po pokoju, tarł swoje postrzelone czoło, siadał, wstawał, a papier, jak był czysty, tak i pozostał. Daj Boże, żeby odzyskał dawny lot! Teraz jednak on wszystkiemu wokoło powtarza, że będzie pisał, ale sam już zaczyna o sobie wątpić — i gryzie się. Wiem, że się gryzie.

— Byłoby to nieszczęście i dla niego i dla panny Heleny — odpowiedział Polaniecki. — Gdybyś pan wiedział, jak jej rozpaczliwie chodziło nie tylko o jego życie, ale i o jego talent!

— Byłaby szkoda ogólna — odpowiedział Świrski. — Kogo mi jednak najbardziej żal, to panny Ratkowskiej. Ona też poczyną już wątpić, czy on będzie tem, czem był, i to ją dręczy, może więcej od innych smutków.

— To biedna dziewczyna — rzekł Polaniecki — i tem biedniejsza, iż z tych wszystkich jego zamiarów podróży jedno widać jasno: że on o niej ani myśli. Szczęście, że panna Helena zapewniła jej byt niezależny.

— Ja rok czekam, — odpowiedział Świrski — a po roku oświadczam się powtórnie. Wzięła mnie! niema co gadać! Uważałeś pan, jak jej ślicznie z tymi krótkimi włosami. Powinna zawsze tak chodzić. Rok czekam i milczę, ale potem będę uważał, że mam rozwiązane ręce. Niepodobna też, żeby i w niej przez rok coś się nie zmieniło, zwłaszcza, jeśli tamten nie da znaku życia... Wszystko to jest ogromnie dziwne! Myślisz pan, że ja nie robię wszystkiego, co w mojej mocy, żeby w nim rozdmuchać jakąś iskrę dla niej? Dalibóg, że człowiek nigdy chyba więcej nie robił przeciw własnemu sercu. Pani Bigielowa robi także, co może. Ale trudno! Nikt znowu nie ma prawa powiedzieć mu wyraźnie: «Żeń się!» skoro on jej nie kocha. I to jest jeszcze dziwniejsze, że on i o tamtej, zdaje się, nie myśli. Jedna panna Ratkowska więcej jest

warta, niż cały zagajnik takich „*Topolek*” — ale to inna rzecz! Mnie o to chodzi, żeby ona nie myślała, że ja umyślnie wywożę Zawilowskiego. Nie odmówilem mu, bom nie mógł, ale, mój drogi panie, jeśli tam kiedy będzie mowa o naszym wyjeździe, wspomnijcież jej, że ja, dalibóg, nie namawiałem Zawilowskiego do podróży i że oddalbym więcej, niż ona przypuszcza, byle jej było dobrze, choćby kosztem starego brysia, jak ja.

— Oczywiście, że tak zrobimy — odpowiedział Połaniecki.

— To i dziękuję! Przed wyjazdem będę jeszcze u pani z pożegnaniem.

— Koniecznie — i to wieczorem, żebyśmy mogli dłużej posiedzieć. Myślę też, że jak pan latem wróci, to czas jakiś zabawicie u nas z Zawilowskim.

— W Buczynku?

— W Buczynku, albo i nie w Buczynku; to jeszcze niewiadomo.

Dalszą rozmowę przerwał im widok Osnowskiego, który w tej chwili wychodził z owocarni, trzymając w ręku zwinięty w róg biały pakiet.

— Patrz pan: Osnowski! — rzekł Świrski.

— A jaki zmieniony! — odrzekł Połaniecki.

I rzeczywiście, Osnowski był ogromnie zmieniony. Z pod futrzanej czapki wyglądała twarz

chuda, pożółkła i jakby wiele starsza. Futro zdawało się na nim wisieć. Ujrzawszy dwóch przyjaciół, stropił się; widocznem było przez chwilę, że się waha i namyśla, czy nie przejść koło nich, udając, że ich nie poznaje. Ale na chodniku były pustki i zeszli się nadto blisko; więc nagle zmienił zamiar — i zbliżywszy się, począł mówić z nienaturalnym pośpiechem, jakby w chęci zagadania tego, o czem wszyscy trzej wyłącznie myśleli:

— Dzień dobry panom! O, to wypadek, żeśmy się spotkali, bo ja siedzę w Przytułowie i w mieście rzadko bywam. Kupilem sobie właśnie winogron, bo mi teraz każą jeść winogrona. Ale sprowadzają je w trocinach, więc wszystkie czuć trocinami; myślałem, że tu będą lepsze. Mróz dzisiaj — prawda? Na wsi doskonała sanna.

I poczęli iść razem — wszyscy trzej zakłopotani. Polaniecki wreszcie spytał:

— Pan podobno wybiera się do Egiptu?

— To dawny zamiar, ale teraz może się wybiorę. Na wsi w zimie niema roboty, a samemu nudno.

Tu urwał nagle, spostrzegłszy, że wchodzi na śliską drogę.

I szli dalej, w milczeniu jeszcze cięższem, czując tę niezmierną przykrość, jaką czuje się zawsze, gdy, na mocy jakiegoś milczącego

układu, mówi się o rzeczach blahych, skrywając główne i zarazem bolesne. Osnowski radby był ich pożegnać. Ale ludziom, przywykłym przez całe lata do zachowywania pewnych form, chodzi mimowiednie, choćby w największym nieszczęściu, o pozory, więc też i on pragnął znaleźć jakiś łatwy i naturalny sposób do rozstania się z nimi. Tymczasem, nie mogąc nic znaleźć, przedłużał tylko trudne położenie. W końcu też począł ich żegnać tak niespodzianie i nie-naturalnie, jak człowiek, który traci głowę.

Lecz w ostatniej chwili postanowił nagle inaczej. Ta jakaś komedia wydała mu się nieznośną. Miał jej dosyć! Przyszło mu do głowy, że właśnie nie powinien robić z niczego tajemnicy, i że w tem unikaniu każdej wzmianki o nieszczęściu jest coś nędznego. Na twarzy jego znać było przymus i mękę, lecz, zatrzymawszy się, począł mówić przerywanym głosem, tracąc co chwila oddech:

— Moi panowie... Przepraszam, że was jeszcze zatrzymuję... Ale panowie wiecie, żem się rozstał z żoną... Nie widzę powodu, dla którego nie miałbym o tem mówić, zwłaszcza z ludźmi tak uczciwymi i blizkimi... Oświadczam więc panom, że to było... że stało się tak... to jest... to jest, że to ja sobie życzyłem i że żonie mojej nic...

Lecz głos uwiązł mu w gardle, i nie mógł mówić dalej. Widocznie chciał wziąć winę na siebie, ale nagle uczuł całe nieprawdopodobieństwo, cały bezmiar i całą rozpaczliwą czczość tego kłamstwa, które musiałoby być tak pustym dźwiękiem słów, że nawet ni poczucie jakiegoś obowiązku, ni żadne względy światowe, nie mogły go usprawiedliwić.

I straciwszy do reszty głowę, odszedł w męce, razem ze swemi winogronami i ze swem nieszczęściem — bez dna!

A Świrski i Połaniecki szli przez jakiś czas pod wrażeniem tego nieszczęścia — w milczeniu.

— Dalibóg! — rzekł wreszcie Połaniecki — serce się kraje.

A malarz odrzekł:

— Takiemu chyba śmierci życzyć.

— I przecie ten na podobny los nie zasłużył.

— On? — rzekł Świrski. — Daję panu słowo, ilekroć go sobie przypominam, tylekroć widzę go całującego jej ręce. Czynił to tak ciągle, że inaczej nie umiem go sobie wyobrazić...

Po chwili zaś dodał:

— I co mnie jeszcze zastanawia, to, że nieszczęście przecina stosunki ludzkie, podobnie jak śmierć, a jeśli nie przecina zupełnie, to rozluźnia. Wy się niedawno znacie, ale ja, na przykład, żyłem z nim blisko, a teraz on mi jakiś dalszy,

i ja mu bardziej obcy. I niema rady, a to takie smutne!

— Smutne i dziwne...

Lecz Świrski stanął nagle i zawołał:

— Wie pan co? Niechże tę panią Osnowską piorun zapali! Panna Helena mówiła, że o człowieku nie wolno wątpić, póki żyje, ale tę niech piorun trzaśnie!

A Polaniecki odrzekł:

— Nie było może w świecie kobiety więcej ubóstwianej, niż ona.

— O! masz pan! — rzekł zapalczywie Świrski, — Kobiety, panie, biorąc wogóle...

Lecz nagle uderzył się rękawiczką po ustach.

— Nie! — zawołał. — Do dyabła ze starym nałogiem! Dałem sobie słowo nie robić żadnych ogólnych wywodów o kobietach.

— Ja wspomniałem dlatego, że on ją tak ubóstwiał, — rzekł Polaniecki — że teraz po prostu nie rozumiem, jak on potrafi żyć bez niej.

— A musi! — zakończył Świrski.

Osnowski zaś rzeczywiście musiał, a nie umiał. W Przytułowie i w Warszawie, gdzie pełno było wspomnień o niej, życie stało mu się wkrótce niemożliwym, więc w miesiąc później wybrał się w podróż. Lecz, wyjechawszy niezdrów już z Warszawy, zaziębł się w zbyt ogrzonym wagonie — i w Wiedniu zapadł tak ciężko, że

musiał się położyć. Zaziębienie, które poczytano z początku za influencję, zmieniło się w gwałtowny tyfus. Po kilku dniach chory stracił przytomność i leżał w hotelu na łasce obcych lekarzy i obcych ludzi, daleko od domu i swoich. Lecz potem, w gorączce, która zwarzyła mu mózg i pomieszała zmysły, zdawało mu się, że widzi koło siebie jakąś twarz — najdroższą w życiu, kochaną zawsze, kochaną w osamotnieniu, kochaną w chorobie i wobec śmierci. Zdawało mu się to nawet i wówczas, gdy już odzyskał przytomność, lecz tak był osłabiony, że nie mógł jeszcze ni poruszyć się, ni mówić, ni nawet zlać swych myśli.

Później widzenie znikło.

Ale on począł o nie wypytywać Sióstr miłosierdzia, które niewiadomo kto przysłał, a które otaczały go teraz najtroskliwszą opieką — i począł tęsknić bez miary.

LXVIII.

Po uroczystości chrzcin i po wyjeździe Świrskiego i Zawilowskiego, Polanieccy zaczęli znowu żyć życiem zamkniętem i domowem, nie widując niemal nikogo, prócz Bigielów, pani Emilii

i profesora Waskowskiego. Ale dobrze im było w tem ciasnem kółku blizkich przyjaciół, a najlepiej z sobą. Polaniecki był w tych czasach mocno zajęty; przesiadywał w biurze i dużo za biurem, załatwiając jakieś sprawy, o których nikomu nie wspominał. Lecz po ukończeniu roboty przybiegał teraz do domu z większą jeszcze skwapliwością, niż wówczas, gdy, jako narzeczony, latał każdego dnia do mieszkania Plawickich. Wróciła mu dawna żywość, dawny humor i dawne zaufanie do życia. Niebawem też uczynił odkrycie, które jemu samemu wydało się dziwnem: oto, że nie tylko żonę kocha z całych sił, jak żonę i najbliższą głowę, ale, że kocha się w niej, jako w kobiecie, bez niepokoju i targaniny, bez przeskoków od radości do rozpacz i wątpliwości, ale ze wszelkimi wzruszeniami szczerego uczucia, z całem mrowiem pragnień, z wiecznie jednaką, świeżą wrażliwością na jej kobiece uroki i z nieustajacem baczeniem, które czuwa, przewiduje, jedna, uprzedza chęci i ustawicznie zabiega, by szczęścia nie zrazić i nie utracić. «Zmieniam się w Osnowskiego,—mówił sobie wesoło—ale mnie jednemu wolno być Osnowskim, dlatego, że «moja mała» nigdy nie zostanie Osnowską!» Często też mówił teraz do niej «moja mała», ale było w tem tyle czci, ile pieszczoty. Rozumiał także, że nie

byłby jej tak pokochał, gdyby była inna, że to wszystko jest dzieło jej ogromnej dobrej woli i tej jakiejś dziwnej prawości, która biła od niej tak naturalnie, jak ciepło bije od ogniska. Polaniecki wiedział, że jego rozum był sprężystszy, myślenie rozleglejsze i wiedza głębsza, niż wiedza jej, a jednak czuł, że przez nią — i jedynie przez nią — wszystko to, co było w nim, stawało się jakoś bardziej wykończone i szlachetniejsze. Przez jej również wpływ te wszystkie zdobyte przez niego zasady przechodziły z jego głowy, gdzie były martwą teorią, do jego serca, gdzie stawały się życiem. Pomiarkował, że nie tylko szczęście, ale on sam jest poniekąd jej dziełem. Było w tem nawet trochę rozczarowania do siebie, widział bowiem teraz bez żadnej wątpliwości, że gdyby był dostał byle jaką kobietę, to i sam mógłby być wyjść na byle kogo. Czasem dziwił się nawet, jak ona mogła go pokochać — przypominał sobie jednak wtedy jej wyrażenie «służba boża» — i to tłumaczyło mu wszystko. Dla takiej kobiety małżeństwo było także «służbą bożą», a zatem i miłość nie jakąś dziką siłą, leżącą po za wolą ludzką, ale właśnie aktem dobrej woli, służbą przysiędze, służbą bożemu prawu, służbą obowiązkom. Marynia kochała go dlatego, że był jej mężem. Taka była — i skończyło się! Pola-

mu, nie wychodząc nigdzie, tylko do biura, albo wyjeżdżając czasem z Marynią i Stasiem na krótkie przejażdżki powozem. Jednostajność życia, a raczej jednostajność pogody i szczęścia przerywały tylko wiadomości z miasta o znajomych, które najczęściej przynosiła pani Bigielowa. W ten sposób Marynia dowiedziała się, że panna Ratkowska, która w ostatnich czasach nie pokazywała się nigdzie, założyła z dochodu, zapewnionego jej przez pannę Helenę, ochronkę dla dzieci, a następnie, że pan Osnowski wyjechał rzeczywiście do Egiptu, ale nie sam, tylko ze swoją «Anetką», z którą po przyjęciu do zdrowia ostatecznie się połączył. Pan Kresowski, dawny sekundant Maszki, widział ich nawet w Tryeście i opowiadał ironicznie Polanieckiemu, że «pani ma minę kornej pokutnicy». Ale Polaniecki, wiedząc z doświadczenia, jak człowiek kruszeje w nieszczęściu i ile może być szczerości w pokucie, odpowiedział zupełnie poważnie, że skoro panią Osnowską mąż przyjął, to żaden porządny człowiek nie ma prawa być surowszym od niego.

Ale później przyszła z Włoch wieść jeszcze dziwniejsza i tak niesłychana, że stała się przedmiotem rozmów nie tylko Polanieckich i Bigielów, lecz i całego miasta, mianowicie, że malarz Świrski oświadczył się w Rzymie o rękę panny

Castelli i że ślub ich ma się odbyć zaraz po Wielkanocy. Marynia była tem tak poruszona, że namówiła męża, aby do Świrskiego napisał i zapytał się, czy to prawda. Odpowiedź przyszła po upływie dni dziesięciu i, gdy Połaniecki wszedł nareszcie do pokoju żony, trzymając za róg koperty i ze słowami: «List z Rzymu!» — poważna pani Połaniecka przybiegła z czerwonymi od ciekawości uszkanb, poczem, ze skronią przy skroni, czytali co następuje:

«Czy to prawda? — Nie, drodzy państwo — nie prawda! Ale żebyście zrozumieli, dlaczego nie mogło się to stać i nie stanie się nigdy, muszę wam mówić o Zawilowskim. Przyjechał tu przed trzema dniami, poprzednio namówilem go, by został we Florencyi, a potem zobaczył Sienę, Parmę, a zwłaszcza Rawennę. Stąd wyprawiam go do Aten, i jutro wyjeżdża via Brindisi. Tymczasem przesiadywał u mnie od rana do wieczora, ja zaś widziałem, że mu coś dolega, i chcąc naprowadzić rozmowę na rzeczy, które go najbliżej obchodzą, wczoraj spytałem niebacznie: czy czasem nie ma w tece z pół tuzina raweńskich sonetów. I wiecie co się stało? Z początku pobałdł i odpowiedział, że jeszcze nie, ale że wkrótce zacznie pisać — a potem rzucił nagle kapelusz na ziemię i począł szlochać, jak małe dziecko. Nigdy chyba nie widziałem wybuchu

podobnej bolesti. Po prostu wil mi się w rękach, powtarzając, że zabił swój talent, że już w nim nic niema, że nigdy już nie napisze i że wolałby był sto razy, żeby panna Helena nie była go odratowała. Oto, co się z nim dzieje, podczas gdy ludzie powtarzają zapewne, że nie pisze, bo ma pieniądze. I to tak już zostanie. Zabili tego biedaka, zamordowali w nim duszę i talent — zgasili duży ogień, przy którym mogłoby być ludziom widno i ciepło. I tego — widzicie — ja nie mógłbym zapomnieć. Bóg z panną Castelli! ale nie godziło się wyrywać takich piór, by sobie zrobić z nich wachlarz, który się potem wyrzuca przez okno. Tak! tegobym nie mógł zapomnieć! Mniejsza o to, co tam gadałem w Warszawie, że teraz pozostaje jej tylko szukać księcia Crapulescu, bo nikt inny jej nie weźmie. Na świecie nie brak także i zaślepieńców. Co do mnie jednak, nie jestem ani księciem Crapulescu, ani zaślepieńcem. Wolno odpuszczać tylko *swoje* własne krzywdy, ale nie cudze, albowiem byłoby to zbyt łatwo. I oto wszystko, co w tej kwestyi mogę wam powiedzieć, gdyż resztę sami wiecie. Czekam do roku, a potem powtarzam moją prośbę pannie Ratkowskiej. Zechce mnie, czy odrzuci, niech ją w każdym razie Bóg błogosławi — jest to jednak moje nieodmienne postanowienie».

— Tak, — przerwała Marynia — ale skądże się takie wiadomości wzięły?

Lecz w dalszym ciągu listu Świrski dawał na to odpowiedź.

«Te wszystkie plotki — pisał — mogły powstać z tego powodu, iż widywano mnie dość często z temi paniami. Pamiętacie, że za poprzedniej bytności w Rzymie, pani Broniczowa pierwsza do mnie pisała, a następnie, gdym był u nich, panna Castelli, zamiast szukać wykrętów, sama oskarżyła się przede mną. Wyznaję, że mnie to ujęło. Niech co chcą mówią, jest jednak w otwartem wyznaniu winy jakieś rozbudzenie się uczciwości, jakaś odwaga, jakiś zwrot, jakiś jęk żalu, który, jeśli nie odkupuje winy, to przynajmniej może odkupić duszę. I wiercie mi, że w tem, co mówię, tkwi coś więcej, niż moje maślane serce. Pomyślcie także, że im się naprawdę źle dzieje. Małoż to razy widziałem, z jakim one wahaniem zbliżają się do ludzi, i jak ich przyjmują ci, którzy mają odwagę swych zasad. Zebrało się w nich tyle goryczy, że, jak słusznie przepowiedział niegdyś Waskowski, same poczynają się na siebie rozgoryczać. To jest straszne położenie, w którym należy się jeszcze niby do świata, a dźwiga się już brzemię głośnie awantury. Bóg z niemi! Dużoby o tem pisać, ale ja pamiętam teraz zawsze, co powiedziała panna

Helena, że o człowieku nie wolno wątpić, póki żyje. Ta biedna Lineta zmieniła się ze zgryzoty, schudła i zbrzydła, a mnie tem bardziej jej żal. Żal mi nawet i pani Broniczowej, która wprawdzie wyklamuje ludziom dziury w uszach, czyni to jednak z przywiązania do tej dziewczyny. Sam przecie dopiero co powiedziałem, że tylko własne krzywdy wolno odpuszczać, ale byłby człowiek chyba jakimś gorylem, nie chrześcijaninem, gdyby nie odczuł trochę litości nad ludzką biedą. Czy teraz, gdym świeżo zobaczył rozpacz Ignasia, będę miał jeszcze serce pójść do nich — nie wiem — nie żałuję jednak, żem bywał. Ludzie pogadają i przestaną, a za jaki rok — jeśli Bóg da doczekać mnie i tamtej słodkiej dziewczynie — poznają, że gadali głupstwa.

List kończył się wzmianką o Osnowskich, o których połączeniu Świrski już wiedział i słyszał nawet rozmaite szczegóły, nieznane Polańskim.

«Ja myślę, — mówił — że Bóg jest mocniejszy, niż ludzka przewrotność, a zarazem bajecznie miłosierny, i że czasem pozwala dlatego nieszczęściu bić w człowieka jak młotem, żeby z niego jakąś poczeiwszą iskrę wykrzesać. Ja teraz wierzę nawet w odrodzenie się takiej Osnowskiej. Może to jest naiwne, ale chwilami przypuszczam, że całkiem złych ludzi niema

na świecie! Patrzcie, że jednak coś zadrgało i w takiej pani Anecie i że go pilnowała w chorobie. Oj te kobiety! tak mi już przewróciły w głowie, że wkrótce nie będę miał zdania nie tylko o nich, ale o niczem».

Dalej były zapytania o Stasia i serdeczne słowa dla jego życiodawców, a na koniec obietnica powrotu w pierwszych dniach wiosny.

LXIX.

A wiosna rzeczywiście szła i w dodatku czyniła się zarówno ciepła, jak wczesna. Polaniecki w końcu marca i na początku kwietnia począł znowu wyjeżdżać i spędzać po kilka dni za domem. Obadwaj z Bigielem byli tak zajęci, że niekiedy do późnego wieczoru siedzieli w biurze. Pani Bigielowa przypuszczała, że muszą coś przedsiębrać na wielką skalę, dziwiło ją to jednak, że mąż, który zawsze mówił z nią o wszystkich interesach i niemal myślał przy niej głośno, a nawet często się jej radził, tym razem milczał jak zakłęty. Marynia zauważyła również, że Stach ma zaprzątniętą głowę w niezwykle sposób. Tkliwszy był dla niej niż kiedykolwiek, ale jej się zdawało, że nawet w tej jego tkli-

wości, jak również w każdej rozmowie i w każdej pieszczocie, jest jakaś trzecia, inna myśl, która go zajmuje tak całkowicie, że ani na chwilę nie może się od niej oderwać. I ten stan jakowegoś roztargnienia powiększał się z każdym dniem, a z nadejściem maja przeszedł w coś gorączkowego. Marynia poczęła się teraz wahać, czy nie zapytać męża, co mu jest. Bała się trochę być natrętną, ale chodziło jej również i o to, by nie pomyślał, że ją jego sprawy zbyt mało obchodzą. W tej niepewności postanowiła czekać na sposobną chwilę, mając nadzieję, że on sam zacznie mówić o swoich zajęciach, choć z daleka.

Jakoż, wkrótce potem, zdawało jej się pewnego dnia, że stosowna chwila nadeszła. Polański wrócił tym razem wcześniej z biura i wrócił z twarzą tak jakoś dziwnie rozpromienioną, choć poważną, że spojrzawszy mu w oczy, prawie mimowolnie spytała:

— Coś ci się musiało zdarzyć pomyślnego, Stachu?

On zaś siadł przy niej, i zamiast odpowiedzieć wprost, począł mówić jakimś trochę dziwnym głosem:

— Patrz, jaka pogoda i jak ciepło. Można by już okna otwierać. Wiesz, o czem ja ciągle myślałem w ostatnich czasach? — że i dla twego

zdrowia, i dla Stasia, trzeba nam wcześniej z miasta wyjechać.

A Marynia rzekła:

— Jeśli Buczynek nie najęty?...

— Buczynek sprzedany — odpowiedział Polaniecki.

A następnie, wzięwszy jej obie ręce i patrząc jej w oczy z ogromną miłością, począł mówić:

— Słuchaj, moje drogie stworzenie, ja mam ci coś powiedzieć — i coś, co powinno cię ucieszyć, ale przyrzecz mi, że się nadto nie wzruszysz?

— Dobrze. Co, Stachu?

— Widzisz, dziecinko, Maszko uciekł za granicę, bo miał więcej długów, niż majątku. Wierzyście rzucili się na wszystko, co po nim zostało, by choć cośkolwiek odzyskać. Poszło to na licytację Towarzystwa. Magierówka została rozparcelowana i przepadła, ale Krzemień, Skoki i Suchocin były do uratowania — więc — tylko się nie wzruszaj, kochanie — więc — ja to dla ciebie kupilem.

Marynia patrzyła na niego czas jakiś, mrugając oczyma i jakby uszom nie wierząc. Ale nie! Sam był tak wzruszony, że nie mógł żartować. Oczy zaćmiły się jej łzami, i nagle zarzuciła mu obie ręce na szyję.

— Stachu!!

I w tej chwili nie mogła się zdobyć na inne słowa, ale w tym jednym okrzyku było i podziękowanie, i wielka miłość, i kobiece uwielbienie dla dzielności tego człowieka, który wszystkiego potrafił dokazać. Polaniecki zaś zrozumiał to, i w poczuciu tak ogromnego szczęścia, jakiego nigdy dotąd nie doznał, począł mówić, trzymając ją ciągle przy piersiach:

— Ja wiedziałem, że cię to ucieszy, a Bóg jeden wie, że i dla mnie niema większej uciechy, niż twoja radość. Pamiętałem, żeś żałowała Krzemienia, i że to była krzywda dla ciebie — a że można ją było naprawić, więcem naprawił... Ale to nie! Gdybym ci dziesięć takich Krzemieni kupił, jeszczebym ci się nie wypłacił za to dobro, któreś mi wyrządziła, i jeszczebym ciebie nie był wart.

I mówił szczerze, lecz Marynia oderwała głowę od jego ramienia i, podnosząc na niego oczy, zarazem mokre i jasne, rzekła:

— To ja ciebie nie jestem warta, Stachu! i nawet nie spodziewałam się, że będę taka szczęśliwa!

Poczęli się więc sprzeczać, kto więcej wart, ale były w tej sprzeczce częste milczące przerwy, albowiem Marynia, co chwila obejmując go, podsuwała mu swoje śliczne, nieco za sze-

rokie usta, a on wpijał się w nie, a następnie całował naprzemian jej oczy. Przez długi jeszcze czas chciało jej się to śmiać, to płakać z radości, gdyż rzeczywiście szczęście jej przeszło wszystko, czego się kiedykolwiek spodziewała. Oto matka napisała jej niegdyś słabnącą już ręką: «Nie dlatego powinno się wychodzić za mąż, by być szczęśliwą, ale dlatego, by spełnić obowiązki, jakie Bóg wówczas nakłada, a szczęście to tylko przydatek i podarek boży». Tymczasem tego przydatku było teraz więcej, niż się mogło w sercu pomieścić. Były próby, były chwile i smutku i nawet zwątpienia, ale to wszystko przeszło — i wreszcie ten «Stach» nietylko ją pokochał, jak żrenicę własnego oka, ale spełnił więcej, niż kiedykolwiek przyrzekał.

I w tej chwili oto, chodząc wielkimi krokami po pokoju, wzruszony jeszcze, ale rad z siebie i z wyrazem pewnej chępliwości na swojej czarnej twarzy, mówił:

— Cóż, Maryś! Teraz się dopiero zaczniesz robotą! — co? Bo ja o gospodarstwie nie mam najmniejszego pojęcia, i to będzie twoja rzecz. Ale myślę, że administrator będzie ze mnie niezgorszy! Będziem oboje pracowali, bo to duża rzecz ten Krzemień.

Ona zaś odrzekła, składając ręce:

— Mój Stachu złoty! ja wiem, żeś ty to dla

mnie zrobił. Ale czy aby to tobie nie zaszkodzi w interesach?

— W interesach? Myślisz może, że ja się dałem obedrzeć. Ale gdzie tam! Tanio kupilem! bardzo tanio! Bigiel, który się wszystkiego boi, przyznaje jednak, że to dobry interes. Zresztą zostaje dalej w spółce... Ty się tylko, Maryś, nie bój biedy na Krzemieniu, ani dawnych kłopotów. Będzie za co gospodarować — i powiem ci szczerze, że gdyby się dziś cały Krzemień w ziemię zapadł, jeszczebyśmy mieli z czego żyć, razem ze Stasiem.

— Ja — rzekła Marynia, patrząc na niego tak, jak mniej więcej patrzyłaby na Napoleona, lub innego podobnej miary zdobywcę — jestem pewna, że ty potrafisz wszystko, co zechcesz, ale wiem, że to tylko dla mnie kupiłeś Krzemień.

— A spodziewam się! — odpowiedział Polański. — Dlatego, że tam leży twoja matka, dlatego, że cię kocham, i dlatego, że ty kochałaś Krzemień. Ale swoją drogą, tyś mnie nawróciła do ziemi. Przypomniałem sobie, coś mówiła w Wenecyi, gdy Maszko chciał sprzedawać Krzemień Bukackiemu. Nie masz pojęcia, jak ja jestem pod twoim wpływem. Czasem coś powiesz, a ja na razie nic! — ale to we mnie zostaje i później się niespodzianie odzywa. Tak

było i w tej sprawie. Teraz samemu mi się dziwnem wydaje, żeby mieszkać na tej planecie, niby coś mieć, a nie mieć trzech lokci kwadratowych tej ziemi, o których możnaby powiedzieć: «moje!» To już była rzecz postanowiona, to kupno. Możesz zauważyła, że od kilku miesięcy kręciłem się, jak mucha w ukropie. Nie chciałem ci tylko nie mówić, póki nie będzie wszystko skończone; wołałem, żebyś miała niespodziankę. I masz! To za to, żeś mi zdrowa i taka kochana!

Tu, chwyciwszy jej rękę, począł je znowu przyciskać do ust i do czoła; ona chciała również ucałować jego rękę, ale nie pozwolił na to, i wreszcie poczęli biegać za sobą, jak dzieci, po pokoju, mówiąc przytem do siebie słowa dobre i jasne jak promienie. Maryni tak się chciało jechać zaraz do Krzemienia i tak nie mogła myśleć o czem innem, że on w końcu zagroził jej, że stanie się zazdrosny o Krzemień i że go sprzeda.

— Oj! nie sprzedasz! — odrzekła, kręcąc głową.

— Bo co?

Ona zaś, wspiąwszy mu się do ucha, szepnęła:

— Bo kochasz...

A on począł kiwać głową na znak, że tak. Umówili się jednak, ku wielkiej radości Ma-

ryni, że w końcu tygodnia pojedą całym domem do Krzemienia, co było zresztą zupełnie możebne, gdyż Polaniecki urządził dom tak, aby był całkiem gotowy na przyjęcie «dziedziczki». Zapewnił też ją, że prawie nic nie zmienił — i że starał się tylko, by pokoje nie traciły zbyt pustką.

Nagle począł się śmiać.

— Ale! — rzekł: — ciekawym, co też papa na to powie?

Przypuszczalne zdziwienie «papy» było nowym powodem radości dla Maryni. Nie trzeba było zresztą długo na pana Pławickiego czekać, gdyż po upływie pół godziny przyszedł na obiad. Ledwo się pokazał, Marynia, rzuciwszy mu się na ramiona, wypowiedziała jednym tchem szczęśliwą nowinę, a on istotnie zdumiał się nadzwyczajnie i nawet wzruszył. Może odczuł szczęście córki, może ozwało się w nim z nienacka przywiązanie do tego kąta, w którym tyle lat przeżył, dość, że oczy mu zwilgotniały; na-przód wspomniął o swoim pocie, którym ta ziemia była przesiąknięta, poczem począł mówić coś o «starcu» i o «przysłupku na folwarku», a wreszcie, ścisnąwszy za głowę Polanieckiego, rzekł:

— Daj ci Boże, przy większem szczęściu, tylko tak dawać sobie rady, jak ja dawałem —

i bądź pewien, że ani pomocy, ani wskazówek nigdy ci nie odmówię.

Wieczorem zaś u Bigielów, Marynia, upojona jeszcze szczęściem, mówiła do pani Bigielowej:

— No i powiedz! Jak takiego człowieka nie kochać? Powiedz sama!

LXX.

Nazajutrz po przybyciu Połanieckich do Krzemienia wypadła niedziela. Sam Połaniecki wstał późno, gdyż wczorajszego dnia przyjechali po pierwszej w nocy. W Krzemieniu czekała na nich służba z chlebem i solą; potem Marynia, śmiejąc się i płacząc naprzemiany, oglądała wszystkie kąty w domu, a następnie nie mogła usnąć ze wzruszenia prawie do świtu. Z tych wszystkich przyczyn Połaniecki nie puścił jej z łóżka, ponieważ zaś chciała pojechać na sumę do Watorów nieco wcześniej, aby pomodlić się przy kościele za matkę, obiecał, że każe zaprządz i da jej znać, gdy będzie czas. Tymczasem po śniadaniu wyszedł trochę popatrzeć na swoje nowe dziedzictwo. Była druga połowa maja i dzień wyjątkowo piękny. W nocy padał deszcz, a teraz słońce przeglądało się w małych

kałużach na dziedzińcu i przy zabudowaniach folwarcznych, lamało się w brylantowe polyski w kroplach zawieszonych na liściach i rozświecało mokre dachy stodół, obór i owczarni. W tych blaskach i w jasnej majowej zieleni drzew, Krzemień przedstawiał się wcale ponętnie. Wśród zabudowań folwarcznych nie było z powodu niedzieli prawie żadnego ruchu, tylko przy stajni kręciło się kilku fernali, którzy mieli jechać do kościoła. Połanieckiego dziwnie uderzyła ta cisza i to uśpienie. Przed niedawnym czasem, zamierzywszy kupić Krzemień, był w nim kilkakrotnie i wiedział, że jest to majątek opuszczony. Maszko począł wprowadzić wznosić śpichlerz, kryty czerwoną dachówką, ale go nie skończył. Sam nie mieszkał tu nigdy, i w końcu nie mógł nic w majątek wkładać — więc opuszczenie widne było na każdym kroku. Ale nigdy nie przedstawiło się ono Połanieckiemu tak wyraźnie, jak teraz, gdy już mógł sobie powiedzieć: «To moje!» Budynki były jakieś krzywe; ściany w nich niezbyt szczelne, płoty krzywe i rozgrodzone; pod ścianami wały się szczątki rozmaitych połamanych sprzętów gospodarskich; wszędy ziemia zdawała się chcieć wciągnąć w siebie to, co na niej stało, wszędy widoczne było jakieś bierne pozostawienie rzeczy samym sobie, wszędy widoczna niedbalość.

Polaniecki o gospodarstwie wiedział tylko tyle, że trzeba być ostrożnym z wkładami — zresztą, prócz jakichś ogólnych wiadomości, które mu się obily o uszy jeszcze za lat dziecinnych, nie miał o niem najmniejszego pojęcia. Jednakże, spoglądając na swoje królestwo, domyślił się, że i pola muszą być uprawne w prostym stosunku do tego niedbalstwa, które naokół widział; miał wyraźne poczucie, że jeśli tu się coś robiło, to raczej ze zwyczaju, z rutyny, jakby dla tego tylko, że coś się robiło lat temu dziesięć, dwadzieścia i sto. Tego natężenia, tej nieustającej czujnej energii, która jest podstawą handlu, przemysłu i wogóle spraw miejskich, nie było tu ani śladu. «Gdybym nie więcej nie przyniósł do tej martwoty, — myślał Polaniecki — to jużby było bardzo wiele, bo tu tego bezwzględny brak. A ja mam prócz tego pieniądze i przynajmniej tyle rozumu, że naprzód wiem, że nie nie wiem, a powtóre wiem, że się trzeba uczyć i pytać». Pamiętał jeszcze ze swoich czasów belgijskich, że nawet tam, w Belgii, dusza ludzka i napięcie woli więcej znaczyły od najpotężniejszych machin. A pod tym względem liczył na siebie — i mógł liczyć. Czuł się człowiekiem uporczywym i sprężystym. Wszystko, co dotąd brał w ręce, musiało iść, czy chciało, czy nie chciało. Czuł prócz tego, że w interesach ma

głowę nie fantastyczną, ale ściśle rachunkową, i dzięki temu poczuciu, nie tylko nie stracił otuchy na widok opuszczenia, które przed sobą widział, ale znalazł w niem coś naksztalt bodźca. Ta martwota, to zaniedbanie, ta inercya i ta senność zdawały się go wyzywać, a on, wodząc naokół oczyma, mówił im niemal z uciechą: «To dobrze! to się spróbujemy!» I było mu nawet pilno do tej próby.

Te pierwsze oględziny i rozmyślanie nie popsuły mu humoru, ale zabrały sporo czasu. Spojrzawszy na zegarek, spostrzegł, że jeśli chcą być przed sumą w Wątorach, to zaraz czas jechać; kazawszy więc zaprzęgać, wrócił śpiesznie do domu i zapukał do drzwi Maryni:

— Pani dziedziczko! — rzekł: — «służba boża!»

— Można! można! — ozwał się przeze drzwi wesół głos Maryni: — jam już gotowa.

Polaniecki wszedł i ujrzał ją w jasnej wiosennej sukni, podobnej do tej, w jakiej ją widział za pierwszej bytności w Krzemieniu. Ubrała się tak umyślnie, on zaś, ku wielkiemu jej zadowoleniu, zrozumiał jej intencję, albowiem zawołał, wyciągnawszy do niej rękę:

— Panna Pławicka!

A ona, zbliżywszy się, oparła, jakby zawstydzona, swój różowy nosek o jego policzek i ręką wskazała na łóżeczko, w którym spał Staś.

Poczem wraz z papą Pławickim pojechali do kościoła. Dzień był wiosenny, jasny, pełen ciepłych technień i radości. W zagajnikach odzywały się kukulki, a na łąkach widać było brodzące bociany. Wzdłuż drogi dudki i sroki przelatywały przed powozem z drzewa na drzewo. Od czasu do czasu zrywał się powiew i leciał po runi, jak po fali, pochylając żdźbła traw i tworząc chybkie cienie na zieleni pól. Naokół pachniało ziemią, trawą i wiosną. Oboje Połanieckich ogarnął rój wspomnień. W niej odzywała się, przytępiona już nieco życiem miejskim, miłość do ziemi i do wsi, do lasów, do zielonych grudzi, do grusz na polach, do zwężających się w oddaleniu zagonów, do szerokich powietrznych przestworów i do tej, daleko rozleglejszej niż w mieście, przestrzeni nieba. Wszystko to napelniało ją nawpół uświadomioną, ale graniczącą z upojeniem, rozkoszą. Połaniecki zaś wspominał, jak niegdyś jechał tak samo z panem Pławickim do kościoła, i jak tak samo dudki i sroki przelatywały przed nimi z drzewa na drzewo. Tylko teraz czuł przy sobie to różowe stworzenie, które wówczas po raz pierwszy zobaczył, tę dawną pannę Marynię Pławicką. W jednej chwili uprzytomnił sobie w myśli wszystko, co między nimi było: i pierwszą znajomość, i ów czar, jakim go opętała, i dalsze

nieporozumienia, i ten dziwny udział, jaki w ich życiu wzięła Litka, i ślub, i późniejsze pożycie, i wahania się szczęścia, i zmiany, jakie pod wpływem tej jasnej duszy w nim zaszły, i dzisiejsze wypogodzenie się życia. Miał zarazem błogie poczucie, że zło przeszło, że znalazł więcej, niż marzył, i że obecnie mogą wprowadzić przyjąć na niego wszelkiego rodzaju nieszczęścia, ale pod względem stosunku z nią życie stało się już raz na zawsze pogodne, ogromnie cne, jednoznaczne niemal ze «służbą bożą», i o tyle słoneczniejsze, niż dawne, o ile ten widnokrąg, który ich otaczał, słoneczniejszy był od miejskiego. Na tę myśl serce zalewało mu szczęście i miłość dla niej. Przyjechawszy do Wątorów, odmawiał «wieczny odpoczynek» za duszę tej matki, której zawdzięczał taką żonę, z niemniejszą gorliwością, niż sama Marynia. Zdawało mu się, że kocha ten proch, pochowany pod kościołem, takim samem synowskiem uczuciem, jak prochy własnej matki.

Lecz tymczasem zadzwoniono na sumę. W kościele znów dawne wspomnienia poczęły się Polanieckiemu cisnąć do myśli. Wszystko, co go otaczało, było takie jakieś znane, iż chwilami miał złudzenie, że był tu wczoraj. W nawie tak samo pełno było szarych głów chłopskich i za-

pachu tataraku; ten sam ksiądz celebrował przy oltarzu, te same galezie brzozy, poruszane wiatrem, były od zewnątrz w okno — i Połaniecki znów tak samo myślał, że wszystko mija — mija życie, mijają bóle, nadzieje, porywy, mijają kierunki myśli i całe systemy filozofii — a msza po staremu się odprawia, jakby w niej jednej była wieczysta niepożytość. Nową postacią w starym obrazie była tylko Marynia. Połaniecki, spoglądając chwilami na jej spokojną twarz i podniesione ku oltarzowi oczy, odgadywał, że się modli całą duszą za przyszłe ich życie na wsi, więc dostrajał się do niej i modlił się z nią razem.

Lecz po mszy, na dziedzińcu kościelnym otoczyli ich sąsiedzi, dawni znajomi pana Plawickiego i Maryni. Pan Plawicki jednak napróżno oglądał się za panią Jamiszową, albowiem od kilku dni bawiła w mieście. Natomiast radca Jamisz, wyleczony zupełnie z kataru żołądka, zatem zdrów i odmłodzony, wpadł na widok Maryni w prawdziwy zapal:

— Jest moja pupilka! — wołał, całując jej ręce — jest moja gosposia! Jest «złota Marynia!» Aha! wróciły ptaki do starego gniazda. A jakie to zawsze ładne! Dalibóg, istna panienka, czysty podlotek, a przecie wiem, że jest chłopak na świecie!

Marynia czerwieniła się z zadowolenia, lecz w tej chwili zbliżyli się państwo Zazimscy ze swoim sześciorgiem dzieci, a wraz z nimi i pan Gątownski, vulgo «Niedźwiadek», dawny nieszczęśliwy konkurent Maryni i niedoszły zabójca Maszki. Pan Gątownski zbliżył się niezgrabnie i z pewnem zmieszaniem, jakby olśniony Maryniną urodą i zdjęty żalem po szczęściu, które go ominęło. Jakoż i Marynia przywitała go z pewnem komicznem zakłopotaniem, natomiast Połaniecki wyciągnął do niego przyjaźnie rękę ze wspaniałomyślnością tryumfatora i rzekł:

— Ot, i ja tu znajduję znajomych jeszcze z lat dziecinnych. Jak się pan ma?

— Po staremu — odpowiedział pan Gątownski.

A pan Jamisz, który był w wybornym humorze, rzekł, spoglądając przekornie na młodego człowieka:

— Ma kłopoty z uregulowaniem serwitutów.

Pan Gątownski zmieszał się jeszcze bardziej, gdyż cała okolica mówiła o tych kłopotach. Od lat kilku biedaczysko ledwie dyszał na swoim Jalbrzykowie. Uregulowanie serwitutów i sprzedaż lasu mogły go jeszcze wyprowadzić na równą drogę, cóż, kiedy wpoprzek wszelkim, nieraz już blizkim zawarcia układom, stawał wiecznie jednaki zarzut ze strony jalbrzykowskich współsąsiadów: «ze pon dziedzic na bio-

lem koniu jeździ, z pistoleców se strzyło i dziewczkom w ślepią patrzy».

Pan Gątownski, jakkolwiek przywykły od młodych lat do rozmaitych wiejskich korowodów, tracił jednak czasami cierpliwość i wołał z prawdziwą rozpaczą:

— No, co to — psia krew! — ma jedno do drugiego! A żeby was najjaśniejsze pioruny zatrzasyły!

Ale po tak przekonywajacem «dictum» rajcy jałbrzykowscy składali zwykle nową dojrzałą naradę i, po statecznem rozpatrzeniu wszystkich *za i przeciw*, oświadczały znów, drapiąc się w potylicę, że wszystko byłoby dobrze:

«ino ze pon dziedzie na biołem koniu jeździ, z pistoleców se strzyło i dziewczkom... etc.»

Ale tymczasem Marynia, która do pana Jamisza miała takie przywiązanie, jak do człowieka z rodziny, dowiedziawszy się, że jest słomianym wdowcem, zaprosiła go na obiad. Nie spodzianie jednak pan Pławicki, zły, że nie znalazł w Wątorach pani radczyni, a razem pomny dawnych niedzielnych partyjek z «Gątosiem», zaprosił i «Gątosia» — wskutek czego Polanieccy wyruszyli naprzód i bardzo śpiesznie, aby Marynia miała czas wydać odpowiednie rozporządzenia. Za nimi zabrał się pan Pławicki z radcą,

Gątownski zaś pociągnął na ostatku na swojej bryczce, zaprzężonej w chudą jalbrzykowską fernalkę.

Po drodze pan Pławicki rzekł do radcy Jamisza:

— Nie mogę powiedzieć!... Córka moja jest szczęśliwa. On jest dobry człowiek i energiczna sztuka, ale...

— Ale co? — zapytał pan Jamisz.

— Ale narwany! Pamiętasz sąsiad, że on mnie tak przycisnął o jakieś marne dwadzieścia tysięcy rubli, że musiałem sprzedać Krzemień. A potem co? Potem odkupił ten sam Krzemień... Gdyby zaś był mnie nie przyciskał, nie potrzebowałby kupować Krzemienia, bo wziąłby go darmo po mojej śmierci za Marynią. Dobry człowiek, ale tu... (i mówiąc to, pan Pławicki stuknął się palcem w czoło)... szumi jeszcze! Co prawda, to nie grzech!

— Hm! — odpowiedział radca Jamisz, nie chcąc panu Pławickiemu czynić przykrości uwagą, że gdyby Krzemień pozostał dłużej w jego rękach, toby nie nie pozostało z Krzemienia.

Pan Pławicki zaś westchnął i rzekł:

— A dla mnie na starość nowy trud, bo i teraz wszystko tam musi pójść moją głową.

Pan Jamisz z trudnością powstrzymał okrzyk: «Niechże Bóg broni!» — znał jednak Polaniec-

kiego o tyle, iż wiedział, że naprawdę niema niebezpieczeństwa. Pan Pławicki też sam niebardzo wierzył w to, co mówił, zięcia się trochę bał i rozumiał dobrze, że teraz właśnie wszystko pójdzie inną głową.

Tak rozmawiając, zajechali przed ganek; Marynia, która już zarządziła, co było potrzeba do obiadu, przyjęła ich ze Stasiem na ręku.

— Chciałam panu przedstawić syna, nim siądziemy do stołu — rzekła: — duży syn! ogromny syn! grzeczny syn!

I w takt do tych słów poczęła go huścić w stronę pana Jamisza, pan Jamisz zaś dotknął palcami Stasiowego policzka, na co «grzeczny syn» naprzód skrzywił się, potem uśmiechnął i wydał nagle okrzyk, który dla badaczy «ezoterycznej mowy» mógł mieć zapewne wyjątkowo doniosłe znaczenie, ale dla zwykłego ucha dziwnie przypominał skrzek sroki lub papugi.

Tymczasem nadjechał pan Gątownski i, powiesiwszy okrycie w sieni na kolku, szukał w niem właśnie chustki do nosa, gdy dziwnym wypadkiem Rozulka, niania Stasiowa, znalazła się także w sieni i, zbliżywszy się do pana Gątownskiego, naprzód podjęła go pod nogi, a potem pocałowała w rękę.

— Ano, jak się masz! jak się masz! A co powiesz? — spytał dziedzic Jalbrykowa.

— Nie! chciałam się ino pokłonić — odrzekła pokornie Rozulka.

Pan Gątownski przechylił się nieco w bok i począł szukać czegoś palcami w kieszeni od kamizelki, lecz ona widocznie przyszła się tylko pokłonić dawnemu dziedzicowi, bo, nie czekając na datek, pocałowała go znów w rękę i odeszła cicho do dzieciennego pokoju.

Pan Gątownski zaś ruszył z gęstą miną do reszty towarzystwa, podśpiewując sobie basem:

— Um-dry-dry! Um-dry-dry! Um-dramta-ta!!!

Poczem siedli wszyscy do stołu, i rozpoczęła się rozmowa o powrocie państwa Polanieckich na wieś. Pan Jamisz, który sam przez się był człek inteligentny, a jako radca, musiał być z urzędu mądry i wymowny, zwrócił się do Polanieckiego i mówił co następuje:

— Pan przychodzisz na wieś bez znajomości gospodarstwa, ale z tem, czego ogółowi naszych ziemian głównie brak, bo ze znajomością administracyi i z kapitałem. Dlatego ufam i jestem pewien, że nie wyjdiesz źle na Krzemieniu. Powrót wasz to wielka radość dla mnie, nie tylko ze względu na was i na tę moją kochaną uczenicę, ale że to zarazem dowód na to, co ja zawsze mówię i twierdzę, iż większość nas starych musi wyjść z ziemi, synowie jednak nasi, a jeśli nie synowie, to wnuki — wrócą. I wrócą

tężsi, bardziej wyrobieni w życiowej walce, z rachunkiem w głowie, z tradycją pracy. Pamiętasz pan, com ci niegdyś mówił, że ziemia ciągnie i że ona jedna jest prawdziwym bogactwem. Pan wówczas mi zaprzeczałeś, a dziś — patrz — jesteś właścicielem Krzemienia.

— To przez nią! — odpowiedział, wskazując żonę, Polaniecki.

— Przez nią i dla niej! — powtórzył radca. — A myślisz pan, że w mojej teorii niema miejsca dla kobiet i że ja nie wiem, co one warte? One sercem i sumieniem zgadują, gdzie jest prawdziwy obowiązek, i sercem popychają do niego. A prawdziwy obowiązek, równie jak prawdziwe bogactwo — to ziemia.

Tu pan Jamisz, który, na obraz i podobieństwo wielu radców, miał tę słabość, że się sam lubił słuchać, przymknął oczy, żeby się słyszeć jeszcze lepiej, i mówił dalej:

— Tak! wróciłeś przez żonę! Tak, to jej zaśluga! i bodaj nam się takie kobiety na kamieniu rodziły; ale swoją drogą, wyście wyszli z ziemi, i dlatego ziemia was przyciągnęła. My wszyscy powinniśmy się naprawdę pieczętować plugiem! I powiem wam jeszcze, że to nietylko wrócił pan Stanisław Polaniecki, nietylko pani Marya Polaniecka — to wróciła Rodzina Polanieckich, bo się w niej odezwał instynkt całych

pokoleń, które z gleby wyrosły i których prochy tę glebę użyźniają.

To rzekłszy, pan Jamisz podniósł się i wzięwszy kieliszek, zawołał:

— W ręce pani Polanieckiej, zdrowie Rodziny Polanieckich!...

— Zdrowie Rodziny Polanieckich! — zakrzyknął pan Gątownski, który, mając serce czule na wymowę, gotów był przebaczyć w tej chwili rodzinie Polanieckich wszystkie serdeczne męki, jakie z jej powodu przeszedł.

I wszyscy udali się z kieliszkami do pani Maryni, która dziękowała wzruszona, Polanieckiemu zaś, gdy się do niej zbliżył, szepnęła:

— Aj, Stachu, jaka ja szczęśliwa!

Lecz gdy całe towarzystwo znalazło się znowu za stołem, pan Pławicki dodał ze swej strony:

— Trzymać się ziemi do ostatka — oto, co całe życie głosiłem!

— Bo pewno! — potwierdził pan Gątownski.

Ale w duszy pomyślał:

— Żeby tylko nie te psie krwie, korowody!

A w tymże czasie, w dziecinnyim pokoju, Rozuła śpiewała do snu małemu Stasiowi smutną wiejską piosenkę:

«Nieszczęśliwe te pokoje,
Oj, Jasienku mój!!...»

Po obiedzie goście poczęli się zabierać, ale pan Plawicki zatrzymał ich na «partyjkę», tak, że wyjechali dopiero pod zachód. Wówczas Polanieccy, nacieszywszy się naprzód ze Stasiem, wyszli na werendę i dalej do ogrodu, albowiem wieczór czynił się cichy i pogodny. Wszystko, co im przypominało ową pierwszą niedzielę, którą tu spędzili razem, wydawało się im jak jakiś sen cudny i słodki, a tego rodzaju wspomnień było tu na każdym kroku bez liku. Słońce zniżało się tak samo wielkie i promienne, drzewa stały nieporuszone w wieczornej ciszy, czerwieniąc się na czubach od zorzy; z drugiej strony domu klekotały tak samo na gnieździe bociany; ten sam był nastrój — kojący i nieszporny. Oni poczęli chodzić wszędzie, przebiegać wszystkie aleje, zbliżać się do sztachet, patrzeć na pola ginące w oddaleniu, na ciemne pasma lasów, zamykające widnokrąg, i mówić sobie rzeczy ciche, a zarazem tak spokojne, jak spokojny był ów wieczór. To wszystko, co ich otaczało, to miał być ich świat. Oboje czuli, że ta wieś bierze ich w siebie, że poczyną się zawiązywać jakiś stosunek między nią a nimi, i że odtąd życie musi im spłynąć tu, a nie gdzieindziej — pracowite, oddane «służbie bożej», z ludem — na roli.

Gdy słońce zaszło, wrócili na werendę, lecz,

jak niegdyś, tak i teraz pozostali jeszcze na niej, by się zupełnego mroku doczekać. Tylko dawniej Marynia trzymała się daleko od Polanieckiego, a teraz przytulila się całkiem do jego boku i po chwili milczenia rzekła:

— Będzie nam tu z sobą dobrze, Stachu — prawda?

A on objął ją mocno, tak, aby ją czuć przy samem sercu, i począł powtarzać:

— Moja kochana! moja bardzo kochana!...

Tymczasem z ponad spowitych w tumany olszyn podniósł się rumiany księżyc — i żaby w stawach, zwiedziawszy się już widocznie, że wróciła ta panienska, którą niegdyś tak często widywały nad brzegiem, ozwały się wśród wieczornej ciszy jednym wielkim chórem:

— Rade! rade! rade! rade!...

I odtąd poczęło się obojgu snuć życie, nie wolne od trosk, ale w którym było jednak więcej miodu, niż piolunu.

Autor zaś niniejszej książki pil ów miód — mocą wyobraźni.

28.727

W NIEC TOMU DWUDZIESTEGO DRUGIEGO.



2028

„Tygodnik Ilustrowany“ daje rocznie przeszło 1200 ilustracji, oraz bezpłatne reprodukcje kolorowe obrazów artystów naszych.

W „Tygodniku Ilustrowanym“ drukują się stale jednocześnie **dwa utwory** powieściowe i nowelistyczne **oryginalne** cenniejszych autorów polskich.

W dodatku powieściowym, dołączanym w arkuszach, daje Tygodnik utwory powieściowe głośniejszych pisarzy obcych.

Każdy prenumerator

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

otrzyma w r. 1900 bez żadnej dopłaty
dalszych

12 tomów dzieł Sienkiewicza

w nowem wydaniu, obejmującym w 10-cio arkuszowych tomach wszystkie utwory autora „**QUO VADIS**“.

Oprawa 12 tomów Dzieł Sienkiewicza wynosi rs. 2 (złr. 2.40); w tym stosunku na oprawę 6 tomów dołączać należy rs. 1 (złr. 1.20); na oprawę 3 tomów kop. 50 (ent. 60).

Pierwszych 12 tomów, zawierających:

Szkice węglem, Stary sługa, Hania, Janko muzykant, Listy z Ameryki, Z Puszczy Białowieskiej, Bez dogmatu, Jamiół, Organista z Ponikły, Listy z Rzymu, Wenecyi, Paryża, Komedia z pomyłek, Sachem,

mogą nabywać czytelnicy nasi za dopłatą rs. 5 (złr. 6.50), w oprawie rs. 7 (złr. 8.90) za 12 tomów. Przesyłka kop. 80. Prenumerata „Tygodnika Ilustrowanego“ wraz z dodatkiem powieściowym i 12-tu tomami dzieł H. Sienkiewicza wynosi: w Warszawie rocznie rub. 8; z przesyłką pocztową w Król. i Ces. kwart. rub. 3, półrocznie rub. 6, rocznie rub. 12, zagranicą: rocznie rs. 13, półrocznie rs. 6 kop. 50, kwartalnie rs. 3 kop. 25.

W Krakowie kwartalnie 3.30 złr., we Lwowie kwartalnie złr. 3.60, a w Galicyi z przesyłką poczt. kwartalnie złr. 3.75. W Poznaniu rocznie Mk. 24, z przes. pocztową w Cesarstwie Niemieckiem Mk. 30.

Adres Administracyi „Tygodnika Ilustrowanego“:

Krakowskie Przedmieście, 17, Warszawa.

